

William Peter Blatty

# **Dimiter**

ISBN 978-83-245-7906-8

Pamięci Pete'a

CZEŚĆ PIERWSZA

**ALBANIA**

1973

*[...] stało się, że się zbliżał do Damaszku, i nagle oświeciła go zewsząd  
światłość z nieba. [...] I był tam trzy dni, nic nie widząc...*

Dz. 9, 3-9., przeł. J. Wujek

Sto pięćdziesiąt milionów kilometrów od Słońca, w betonowej celi pozbawionej okien, gdzieś w labiryncie innych cel i korytarzy, które nigdy nie widziały łaski ani nadziei, siedział przy drewnianym stoliku Śledczy. Jego umysł był czysty i pusty jak kartka w leżącym przed nim notatniku. Więzień zaś promieniował tajemnicą. Po tygodniu tortur wciąż nie wyrzekł ani słowa. Stał pośrodku celi w oślepiającym blasku skierowanej na niego lampy i milczał ze spuszczoną głową, z rękami w kajdankach.

- Jak się nazywasz?

Głos Śledczego zabrzmiał sucho. Wszystkie pytania już padły. Na żadne nie było odpowiedzi. Pytania się skończyły, została ta ostatnia próba, jakby w imieniu Więźnia tkwił klucz do całej zagadki.

- Jak się nazywasz?

Śledczy czekał ze znużeniem, zmrużonymi oczami wpatrując się w przybrudzone kartki notatnika. Słyszał własny oddech i lekkie, nieregularne stukanie czubka swojego długopisu o poplamiony dębowy blat stolika. Przez moment nasłuchiwał, bo dobiegł go przez ścianę jakiś stłumiony odgłos: szuranie butów, wleczenie czegoś - może ciała? - po posadzce. Nie był jednak pewien, czy to rzeczywiste dźwięki, czy tylko wytwór jego wyobraźni. W tym budynku nawet kurz wirujący w powietrzu potrafił wydać krzyk. Do celi wdarł się inny dźwięk. Co to było? Śledczy odłożył długopis i podniósł na Więźnia znużony wzrok. Ten nadal stał cicho i nieruchomo, ale tak bijąc w oczy, jakby był utrwalonym w czasie zakłóceniem porządku. Z końców palców, spod wyrwanych paznokci na podłogę kapąły mu od czasu do czasu krople krwi.

Śledczy poprawił się nerwowo na krześle.

Zerknął na leżący nieruchomo długopis.

- Jak się nazywasz?

Cisza wstrzymała oddech.

Śledczy sięgnął kciukiem do okularów, podniósł je lekko i pomasaował kącik oka. Potem delikatnie zdjął je i przetarł okrągłe szkła w złotych ramkach spraną bawełnianą chusteczką,

która zalatywała naftą. Następnie szczupłymi dłońmi koloru pergaminu umieścił okulary na nosie i skinął głową w stronę krzepkiego oprawcy.

- Do roboty - rozkazał cicho.

Oprawca wszedł w krąg światła, stanął, poklepał Więźnia po policzku i nagle uderzył go z głuchym łupnięciem w krocze ciężką gumową pałką. Więzień ugiął się, przyklęknął, ale nie wydał dźwięku. Śledczy musnął palcami bliznę przecinającą mu wąskie blade wargi. Poczował, że pod kołnierzem oliwkowego spłowiałego kombinezonu bez żadnych dystynkcji jego szyja jest dziwnie ciepła i napięta. Wbrew wszelkim okolicznościom Więzień napawał go lękiem. Niczym ciemne masywne gwiazdy, które nie emitują światła widzialnego, Więzień promieniował jakimś przerażającym wewnętrznym światłem.

Trafili na niego przypadkiem. W niedzielę 25 września w pobliżu wioski Spaç w górach na północy kraju oddział policji, szkolone psy i ochotnicza milicja obywatelska poszukiwali człowieka podejrzanego o próbę zamachu na Mehmeta Szehu, szefa służby bezpieczeństwa zwanej Sigurimi. Do Szehu, który przebywał w mieście na inspekcji, oddano kilka strzałów z ukrycia, gdy wyjeżdżał z kwatery Sigurimi w gmachu z czerwonego piaskowca w dzielnicy miasta Szkodra zwanej Rusi i Madh. Schwytano jednego człowieka, chłopca z Domni. Ten podczas tortur zeznał w końcu, że miał współnika we wsi, kupca odzieżowego Qazima Bega, który najpewniej uciekł do Jugosławii. Ekipy gończe ruszyły na trasy, którymi mógł uciekać: ku zachodowi brązową od mułu rzeką Buną i ku północy tak zwanym Pasterskim Szlakiem, wijącą się wysokogórską drogą, która prowadzi na drugą stronę gór rejonu Dukagjini. Buna wezbrała po gwałtownych deszczach, ale jej wartki spieniony nurt można było przejść w jednym miejscu, nie szerszym niż dwieście metrów; ponieważ jednak bród znany był nielicznym, a poza tym znajdował się blisko wioski podejrzanego, większe siły poszukiwaczy skierowano na Pasterski Szlak - pięćdziesięciu ośmiu uzbrojonych ochotników i trzy psy. Wspinaczka po serpentynach pnących się wśród pustkowiec piaskowców, margli i łupków była wycieńczająca; uciążliwość marszu zwiększała mróz. To były te „przeklęte granie”. Ale na Pasterskim Szlaku poszukiwacze nie znaleźli nikogo, ruszyli więc w drogę powrotną, która minęłaby bez zakłóceń, gdyby nie zrządzenie losu uznane potem za pierwsze spotkanie z Więźniem. W pewnym momencie coś trzasnęło w lesie, więc spuszczone ze smyczy jednego psa, wielkiego agresywnego mastifa. To była masa mięśni. Pies nie wrócił, a później znaleziono go na złotych i rdzawych liściach leśnej ściółki; wyglądał w jesiennym blasku słońca, jakby spał uwolniony od wszelkich tęsknot. Miał

skręcony kark. Dowódca oddziału milicji, młody kowal Rako Bej, na ten widok poczuł muśnięcie mrozu. Nie do pojęcia było, żeby ktoś zdołał w ten sposób uśmiercić potężnego psa. W chłodzie i zapadającym zmierzchu oddechy unosiły się z ust jak białe płomienie. Rako przecesał głogi i leszczyny zmrużonymi oczyma, szukając własnego losu; nie zobaczył nic prócz mgły, jaka osłania przed człowiekiem przyszłość. Słońce zachodziło. Las wyglądał jak nawiedzony. Gołe gałęzie to lodowate groźby, złe myśli. Bej wspomniął matkę. Zarzucił karabin na ramię i rozkazał oddziałkowi ruszać jak najdalej stąd. Mają jeszcze jedno zadanie do wypełnienia, w Qelëzie: trzeba ująć zabójcę, wioskowego piekarza. Tutaj im się nie udało, ten drugi cel może osiągnąć. Pogmatwany ciąg wydarzeń miał doprowadzić grupkę pościgową do Więźnia, który okazał się księgą napisaną przez Los specjalnie dla Śledczego.

Pościg za piekarzem wiązał się z niebezpieczeństwami. Poszukiwany pochodził z góralskiego rodu, którego członkowie mogą stawiać opór, bo zabójstwo odbyło się przecież w ramach krwawej wroźdy, wendety zagmatwanej do granic pojmwania. Pewien cichy spokojny mężczyzna z Micoi wywłókł swoją niewierną małżonkę z domu - zgodnie z prawem zwyczajowym besa, które nie dopuszcza przemocy pod dachem - i w biały dzień zabił ją strzałem w głowę. Następnie srebrny pocisk wyjęty z uśpionego na zawsze mózgu brat ofiary oddał jej mężowi na znak, że czyn miał jego pełną akceptację. I na tym powinno się było zakończyć. Ale kochanek kobiety wpadł w szał, znalazł męża zabójcę, wdarł się do jego domu i zabił go. Teraz brat zamordowanego, hodowca kóz, musiał tę śmierć pomścić, więc zabił kochanka. Obowiązek pomsty spadł na ojca zabitego kochanka, który odnalazł hodowcę kóz i pragnął mu wymierzyć sprawiedliwość, ale zabójca postanowił pokrzyżować mu szyki i wiedząc, że chroni go besa, odmówił wyjścia za próg domu, w którym mieszkał z żoną i dzieckiem, rumianym dwulatkiem o oczach w cętki. Przez dwa tygodnie nie działo się nic. Hodowca kóz i jego narastający strach snuli się po domu jak duchy, nasłuchując każdego szmeru. Po nocach rozlegały się dziwne stukoty, a hodowca i jego strach tak się zaprzyjaźnili wskutek długotrwałego przebywania razem, że czasami ze sobą rozmawiali, niekiedy nawet wybuchali serdecznym śmiechem. Pewnej bezgwiezdnej nocy z niespokojnego snu obudziło hodowcę meczenie kozy. Meczała żałośnie, jakby coś jej się stało. Hodowca nasłuchiwał przez chwilę, upewniając się, że jego strach głęboko śpi. Spał, bo jego świszczące chrapanie rozlegało się po domu suchym echem. Wstał z irytacją z łóżka, wciągnął wełniane spodnie, narzucił na siebie kapotę i zaspany wyszedł w noc zobaczyć, co z tą kozą. Dobre uczynki nie zawsze spotyka nagroda. Wspiął się na strome zbocze

pierwszego wzniesienia z dwóch wznoszących się między domem a niecierpliwym meczem, nieświadomy, że to pułapka zastawiona przez ojca zabitego kochanka. Mściciel, łagodnooki piekarz nazwiskiem Grodd, leżał w ukryciu za drugim wzniesieniem, mocno trzymając kozę za nogę i ciągnąc ją co chwilę za ucho. Ale wtedy zdarzyło się nieszczęście, wszystko wzięło w łeb. Z powodu zaspania czy roztargnienia, a może wystającego korzenia czy kamienia, którego nie miało prawa być na ścieżce, hodowca, znalazłszy się na szczycie pierwszego skalistego wzniesienia po drodze do kóz, potknął się i już leciał swobodnie na dno głębokiego jaru obok ścieżki. Spadam - pomyślał ponuro, a potem wymamrotał: „To nie w porządku”, bo zawsze żył przykładnie, chociaż ostatnio popadł w pewne kłopoty, lecz powtarzał sobie obiegowe opinie o tym, że w życiu bywa różnie. Groźba plamy na honorze została jednak zażegnana, przynajmniej na jakiś czas, w chwili gdy zakończył definitywnie upadek uderzeniem głową w ostry występ skalny. Grodd usłyszał złowrogi trzask łamanych kości i z przerażeniem uświadomił sobie, że jego zwierzyna może zginąć nie z jego ręki. Do piekarza dotarła z całą mocą groza sytuacji, kiedy stanął, a potem uklęknął przy leżącym hodowcy kóz i poczuł w trzewiach mocne uderzenia krwi, dlatego wydał jęk skargi na niesprawiedliwość świata. Przecież nosił amulet chroniący od uroku. Przecież na każdym upieczonym bochnie chleba rysował kciukiem znak krzyża. Jak to się stało, że tej nocy wzięły górę demony?

Grodd zaniósł hodowcę do domu, obudził jego żonę, a potem pobiegł do pobliskiej wsi, zerwał z łóżka lekarza i sprowadził do domu ofiary. Stary doktor, oceniwszy obrażenia, rozłożył bezradnie ręce. Bez skomplikowanej operacji, i to szybko, hodowca umrze, to kwestia godzin. - Ma krwiał podtwardówkowy – wyjaśnił.

- To nie żaden krwiał, to demony! - krzyknął zrozpaczony piekarz.

Żona przeżegnała się pośpiesznie. Stary lekarz znów rozłożył ręce i wyszedł. Udręczony Grodd przeklinał szeptem swój los u wezglowia nieprzytomnego hodowcy kóz, który wkrótce dostał gorączki, potem zapalenia płuc i za trzy dni nieodwołalnie wyzionął ducha.

Grodd, nie posiadając się z żalu, wybuchnął płaczem.

- Demony go zabiły! - wykrzykiwał.

- Tak, to tylko wyglądało na zapalenie płuc - zgodziła się żona.

Potem nie zostało już nic do powiedzenia. Zgodnie z prawem zwyczajowym wróżdę może zaspokoić tylko zgładzenie męskiego członka rodu zabójcy. Dlatego też w rok po śmierci hodowcy kóz, gdy czujność została uspiona, piekarz Grodd wrócił do domu tegoż hodowcy i tam



natknął się na jego małego synka bawiącego się samotnie na sennym polu. Tam właśnie, wśród zalanych słońcem, kołysanych wiatrem chabrów, błękitniejszych i jaskrawszych od ogni bengalskich; wśród leszczyn i wiśni, i dereni; wśród gorczycy i pasternaku; w jazgocie skowronków; między gwiazdzistymi główkami stokrotek białymi jak polarny lis Grodd przyglądał się chłopcu, który próbował schwycić motylka o czarnych skrzydłach; nasłuchiwał dźwięcznego kołatania krowich dzwonków, przypominał sobie dzieciństwo, słuchał chłopięcego śmiechu. Wziął wdech i strzelił między cętkowane oczy. I właśnie Grodda szukając, oddział milicji ochotniczej znalazł Więźnia.

Zdaniem niektórych nie był to przypadek.

#### Z PROTOKÓŁU PRZESŁUCHANIA RAKO BEYA, DOWÓDCY ODDZIAŁU MILICJI CHOTNICZEJ W QELĚZIE, Z DNIA 10 PAŹDZIERNIKA

Pytanie: Co was skłoniło, żeby iść do tamtej chaty?

Odpowiedź: Właściwie nic. Ślepiec, który tam mieszka, jest krewnym Grodda, ale po prawdzie niemal wszyscy w wiosce są jego krewnymi. Nic szczególnego nas tam nie skierowało, panie pułkowniku. To był los.

P.: Przywołuję was do porządku.

O.: Przepraszam.

P.: Nasz los jest w naszych rękach.

O.: Tak jest.

P.: No więc co z tą chatą?

O.: To była po prostu chata koło wsi. Otoczyliśmy ją niedługo po zachodzie słońca. Było zimno. Weszliśmy, w środku był ten ślepiec. I ten drugi.

P.: Ten drugi?

O.: Tak. Ślepiec siedział przy ogniu. Drugi przy stole. Stół był nakryty obficie: kapusta, chleb, ser, jagnięcina, jaja, cebula, trochę winogron. Gdy zobaczyłem mięso i jaja, wiedziałem, że ten drugi musi być gościem, kimś z zewnątrz, więc skierowałem na niego broń. To mógł być Grodd. Chociaż wątpiłem, by tak było.

P.: Dlaczego?

O.: Bo Grodd miał być niebieskooki i szczupły.

P.: Nie rozumiem.

O.: No, gość nie odpowiadał rysopisowi Grodda.

P.: Czyli waszym zdaniem nie był niebieskooki i szczupły?

O.: Nie, oczywiście, że nie. Był ciemnooki i mocno zbudowany. Osilek. Dlaczego pan pułkownik tak na mnie patrzy?

P.: Nieważne. Czy Więzień stawiał opór?

O.: Nie.

P.: A co robił?

O.: Nic. Spuścił głowę i ani drgnął. Na kolanach miał mały wełniany pled, a dłonie schowane pod nim.

P.: Coś mówił?

O.: Nie. Mówił tylko ślepiec. Zapytał nas, kim jesteśmy i co się stało. Wyjaśniliśmy mu. Zażądaliśmy dokumentów. Ale kiedy ten starzec wstał i zorientowałem się, że jest ślepy, powiedziałem: „Nie trzeba, dziadku. Siadajcie”. Ten drugi wyciągnął dokument z kieszeni i dał mi go. Sprawdziłem, że nazywa się Selca Decani i jest kupcem z Theti, handluje serem feta. Ale myślę, że to nie wszystko.

P.: To znaczy?

O.: Nie wiem. Nie umiem tego wyjaśnić.

P.: Oto dowód osobisty Więźnia. Sprawdziliście go dokładnie?

O.: No, niezupełnie. Uznałem, że to na pewno nie Grodd, więc tylko zerknąłem na fotografię i oddałem mu.

P.: Przyjrzyjcie się zdjęciu jeszcze raz.

O.: Na tym zdjęciu wygląda na szczupłego. A nie jest.

P.: Ale to on?

O.: Tak, to on.

P.: A oczy jakiego koloru? Co tu napisano?

O.: Dziwne.

P.: Co tu napisano?

O.: Że niebieskiego.

P.: A jakiego były? Pamiętasz?

O.: Czarne jak oliwki w beczce. Wiozłem go całą drogę do Szkodry, do więzienia. Były czarne.

P.: No cóż...

O.: Pan mnie sprawdza?

P.: Mów, co było dalej.

O.: W dowodzie jest błąd.

P.: Powiedziałem, mów dalej.

O.: Już wychodziliśmy, staliśmy w drzwiach, gdy ślepiec nagle dziwnie coś powiedział.

P.: Dziwnie?

O.: Dziwnym tonem. Nie umiem tego opisać.

P.: A co powiedział?

O.: Powiedział: „To nie nasz człowiek. To obcy”.

P.: Co miał na myśli?

O.: Nie za bardzo wiem. Odwróciliśmy się, wymierziliśmy w niego karabiny, a ja poleciłem starcowi, żeby wyjaśnił, o co mu chodzi. Nic nie powiedział. Nalegałem: „Dziadku, no dalej, mów. Moja córka ma dziś urodziny, a ja jej obiecałem, że wrócę do domu. Pośpiesz się, mów”. A starzec rzekł tylko: „Zabierzcie go!”. Popatrzyłem temu człowiekowi w oczy i uderzyłem go kolbą karabinu.

P.: Dlaczego?

O.: Nie wiem. Po prostu coś mnie zmusiło, jakiś ruch na dnie jego oczu, jakaś walka wewnętrzna. Poczulem, że mógłby nas wszystkich zabić, gdyby chciał.

P.: Chyba jesteście zmęczeni.

O.: Nie spałem.

P.: Wrócimy do tego. Co było potem?

O.: Uderzyłem go kolbą, stracił przytomność. Skuliśmy mu nogi i zabraliśmy na posterunek w Qelëzie. Zapytaliśmy, czy zameldował się po przyjeździe do wioski. To obowiązek.

P.: Rzeczywiście.

O.: A oni powiedzieli, że nie. To było bardzo podejrzane. Wyjaśniłem wszystko miejscowemu komisarzowi i komendantowi policji.

P.: Bardzo słusznie.

O.: Komendant zadał mu kilka pytań. Ale on nic nie powiedział, ani słowa, więc pomyśleliśmy, że może to niemowa albo jakiś matolek. Po burzy nie było połączenia telefonicznego z Theti, więc nie mogliśmy sprawdzić, czy rzeczywiście jest stamtąd. Ale przypadkiem dopisało nam szczęście. W Qelëzie przebywał akurat kupiec z Theti, kawał chłopa, łysy i gadatliwy. Jakoś go znaleziono i przyprowadzono na posterunek. Zapytano go, czy Więźnia już kiedyś widział. Powiedział, że tak, ale nie pamięta jak się nazywa, chociaż na pewno jest z Theti. Komisarz zapytał, czy to nie jest Selca Decani, a kupiec odparł: „Oczywiście, to on! Jasne! To Selca!”. I dodał: „Jak mogłem go od razu nie poznać?”. I zaczął się temu człowiekowi przyglądać, a potem zrobił dziwną minę i powiedział, że nie wie, jak to się stało, ale jednak się pomylił, umknęło mu z głowy coś ważnego, bo przecież Selca Decani od wielu lat nie żyje, poza tym ten człowiek w ogóle Decaniego nie przypomina. A jeszcze bardziej zdumiewające jest, tłumaczył, że przecież znał Decaniego całkiem dobrze i po jego śmierci był przygnębiony i smutny przez wiele miesięcy. To wszystko było bardzo dziwne.

P.: Co najmniej. A potem?

O.: Śpieszyliśmy się, bo mieliśmy przecież szukać piekarza, więc poprosiłem, żeby tego człowieka zatrzymano w areszcie w Qelëzie, ale komendant i komisarz szybko powiedzieli, że to niemożliwe, i kazali nam go zabrać do Szkodry. Tak w końcu zrobiliśmy i przekazaliśmy go Sigurimi. Wyglądali na zdenerwowanych.

P.: Funkcjonariusze służby bezpieczeństwa?

O.: Nie, ludzie w Qelëzie. Najwyraźniej chcieli się tego człowieka jak najszybciej pozbyć.

P.: Czy nie przyszło wam do głowy, że Więzień może być tym zamachowcem, który próbował zastrzelić Mehmeta Szehu, tym, którego mieliście szukać najpierw?

O.: No tak, owszem, ale powiedziano nam, że tamtego złapano nad Buną.

P.: Kto wam to powiedział?

O.: Ludzie w Qelëzie.

P.: Czy w drodze z Qelëzy do Szkodry Więzień coś mówił? W jakikolwiek sposób udzielił jakiejś informacji?

O.: Nie. Nie odzywał się w ogóle. Ani słowem.

P.: A co jeszcze dziwnego zaobserwowaliście w jego zachowaniu czy wyglądzie?

O.: Bo ja wiem... może jedno. Po drodze do Szkodry zatrzymaliśmy się w południe w Mesi i zjedliśmy obiad na dziedzińcu miejscowego posterunku. Było niezwykle ciepło i wilgotno jak

na tę porę roku, uznałem, że musimy trochę odpocząć. Jeden z moich ludzi zagrał na lutni, trochę śpiewaliśmy. Przykuliśmy Więźnia za nogę do starej moreli i nie spuszczaaliśmy go z oka.

P.: Dlaczego?

O.: Wszędzie unosiły się roje komarów. Cięły bezlitośnie.

P.: A co to ma do rzeczy?

O.: On się w ogóle od nich nie opędział.

P.: Ręce miał wolne?

O.: Tak.

P.: No cóż, wróćmy do rzeczy. Wcześniej zeznaliście, że dokumenty miał w porządku.

O.: Tak mi się wydawało.

P.: I nie stawiał oporu.

O.: Właściwie wcale.

P.: Pytam więc ponownie: dlaczego uderzyliście go kolbą karabinu? Bo dziwne spojrzenie to chyba za mało. Myśleliście, że ma pistolet czy nóż pod pledem?

O.: Nie, nic tam nie miał.

P.: Więc dlaczego go uderzyliście?

O.: Bałem się.

P.: Czego?

O.: Kiedy zerwałem ten pled, zobaczyłem, że ma zakrwawioną rękę. Prawą. Nie pokazał jej przedtem. Była poszarpana, jakby zębami zwierzęcia.

P.: I to was przestraszyło?

O.: Tak.

P.: Dlaczego?

O.: Przypomniałem sobie tego psa ze skrzyconym karkiem.

#### FRAGMENTY PROTOKÓŁU PRZESŁUCHANIA NIEWIDOMEGO LIGENIEGO SIROUIEGO, PRZEPROWADZONEGO W OELĚZIE 12 PAŹDZIERNIKA

P.: Drzwi chaty nie były zamknięte na klucz?

O.: Nie. Usłyszałem pukanie, więc zawołałem: „Proszę wejść, zapraszam”.

P.: Nie baliście się?

O.: To nie ma znaczenia. U nas, w górach, jest inaczej. Nie jak tutaj, w dolinach. Nawet gdyby zabił mi dziecko, musiałbym go ugościć. Przysłowie mówi: „Mieszkasz w domu, ale dom nie jest twój, należy do Boga i gości”.

P.: Nie ma żadnego Boga.

O.: W mieście może nie ma, pułkownika, ale u nas, w górach, wydaje się nam, że jest.

P.: Przywołuję was do porządku, dziadku.

O.: Niewiara w Boga pomaga?

P.: Pomaga spojrzenie prawdzie w oczy.

O.: Z chęcią spojrzę, *efendi*, ale gdzie jej szukać? Jak pan wie, z tym nie jest łatwo.

P.: Wróćmy do tego, co zaszło...

O.: Zawolałem: „Proszę wejść” i usłyszałem, że wchodzi. Lało jak z cebra. Zagrzmiało i na skórze poczułem blask błyskawicy. Ta burza rozpełtała się tak niespodziewanie jak nagły żal. Wstałem i przywitałem przybysza jak należy: „Bóg cię...”

P.: Dajmy temu spokój. Powiedzieliście coś, coś, co doprowadziło do jego aresztowania: „To obcy”. Co przez to rozumieliście?

O.: Że to nie człowiek z gór, nie jest Gegiem.

P.: To jeszcze nie zbrodnia.

O.: Ale on mi powiedział, że jest Gegiem.

P.: Powiedział?

O.: Tak jest.

P.: Mówił?

O.: W górach to się zdarza, *efendi*.

O.: Nie bądźcie taki dowcipny. Opowiedzcie mi wszystko, co mówił.

O.: Od czego mam zacząć?

P.: Od początku.

O.: A więc, jak mówiłem, a raczej próbowałem powiedzieć, przywitałem go jak się należy. „Bóg cię tu sprowadził”, rzekłem mu. I dodałem: „Jak się miewasz?”. „Cieszę się, że cię widzę w dobrym zdrowiu” - odparł. Tak wygląda u nas zwyczajowe powitanie.

P.: Przecież wiem. Co było potem?

O.: Zaprosiłem go do stołu, wystawiłem poczęstunek, sporo jedzenia. Chyba zauważył, że nie widzę, bo powiedział, żebym nie robił sobie tyle kłopotu. Odparłem: „Dzięki Bogu mam czym nakarmić gościa. Byłby wielki wstyd, gdybym nie miał”. On nic na to nie powiedział, a ja stawiałem na stole jedzenie i rakiję.

P.: Po co tyle jedzenia?

O.: Z powodu jego tuszy. Kawał chłopca. Taki nabity. Potężnie zbudowany.

P.: Niby skądście to wiedzieli?

O.: A stąd co wiem, że pan jest z północy. Poznałem po krokach. Poza tym wstał i dołożył polano do ognia. Tak się nie robi, to niegrzeczne. Pomyślałem więc, że to na pewno jakiś mieszczuch.

P.: Mówcie dalej.

O.: Więc spytałem, skąd jest, a on odparł, że z Theti. A potem dodał, że handluje serem. To już wiedziałem oczywiście, po zapachu.

P.: I natychmiast mu o tym powiedzieliście?

O.: A co w tym złego?

P.: Nieważne. Co było potem?

O.: Kiedy się zorientowałem, że jest chrześcijaninem, to rozumie pan, zabrałem rakiję i poczęstowałem go winem.

P.: A po czym poznaliście, że jest chrześcijaninem?

O.: Po czapeczce. Usłyszałem, jak ją ściąga i kładzie na stole. Guziczek na szczycie uderzył ze stuknięciem. Poznałem, że nie jest z Theti, nie jest też Gegiem. My tutaj, *efendi*, mamy zwyczaj stąpać mocno. To dlatego, że chodzimy po górach, zawsze w górę albo w dół. I on tak stąpał, gdy podchodził do drzwi. Ale potem krok mu się zmienił. Zmiękł, zrobił się lżejszy. Chyba wtedy, gdy się przekonał, że nie widzę.

P.: Myślicie, że przestał udawać?

O.: Możliwe.

P.: A waszym zdaniem skąd on może być? Z południa?

O.: Nie wiem.

P.: Z zewnątrz?

O.: Co pan przez to rozumie?

P.: Mówił z jakimś akcentem? Obcym?

O.: Nie, obcego akcentu nie miał. To mnie zmyliło: mówił dokładnie tak, jak my tu, na północy, z najdrobniejszymi szczegółami gwary z Theti.

P.: Co jeszcze powiedział?

O.: Niewiele. Niewiele słowami.

P.: Nie rozumiem.

O.: No więc zapytałem go, jak się nazywa, a on się przedstawił. Potem...

P.: A jak się przedstawił, jakie nazwisko podał? Pamiętacie?

O.: Tak, powiedział, że nazywa się Selca Decani. I to było dziwne. Nie tyle samo nazwisko, ile moja reakcja. Znałem kiedyś pewnego Selcę Decaniego, a kiedy usłyszałem to nazwisko, pomyślałem: „Oczywiście! Przecież to on! Jak mogłem od razu nie poznać go po głosie!”. Więc rzekłem: „Wybacz mi, stary przyjacielu, pamięć mi na starość szwankuje”. I wtedy sobie przypomniałem jeszcze coś.

P.: Że Selca Decani zmarł wiele lat temu?

O.: A skąd pan wie?

P.: Nieważne.

O.: Tak, zmarł.

P.: Ale głos miał jak Decani?

O.: Właściwie nie. Zupełnie nie. Tylko z początku.

P.: A co było potem?

O.: Poprosiłem, żeby jadł. Ale nie chciał. Siedział i milczał. Ale wyczuwałem, że coś się w nim kłębi, walczą ze sobą jakieś straszne emocje. Jakby wojna. Potem uspokoiło się i to, a ja poczułem, że bije od niego jakaś nowa energia, coś uspokajającego, ciepłego, jakby omywała mnie jakaś czułość. Z początku nie wiedziałem, o co chodzi. Potem przemówił i zadał mi niezwykle pytanie. Zapytał, czy kiedykolwiek widziałem Boga, a jeśli widziałem, to czy właśnie od tamtej pory jestem ślepy.

P.: Dziwaczne.

O.: Ale właśnie to powiedział.

P.: W porządku. Zapytaliście go, o co mu chodzi?

O.: Nie. Pana też bym nie zapytał, jak dawno się pan przeniósł z gór do miasta. Takie pytania są niegrzeczne.

P.: Uszy macie groźne.



O.: Słyszą wiele. Słyszałem, jak pan chodzi, więc wiem, że jest pan górą.

P.: No a co mówiliście gościowi?

O.: Z początku nic. Nie mogłem dojść do siebie. Potem spytałem, czy mu jest ciepło.

P.: I co odpowiedział?

O.: Nic. Ale byłem świadom emanującej z niego siły. I nagle uświadomiłem sobie, co to było: to było miłosierdzie, miłosierdzie tak intensywne, że niemal dotykalne, fizyczne. To nie była litość, która wzbudza niechęć, której się nie chce. To było coś innego, miłosierdzie, które koi, uzdrawia. I jeszcze jedno: przez chwilę wydawało mi się, że go widzę, na pewno. Był młody, o stanowczym obliczu, miał uśmiech archanioła. Czy to na pewno było złudzenie? Są rzeczy, które się tylko złudzeniem wydają.

P.: Oszałeliście. Czy to już wszystko?

O.: Tak, wszystko. Wtedy właśnie wpadli pańscy ludzie. Sprawdzili dokumenty. Były w porządku. Już wychodzili, kiedy ich zatrzymałem.

P.: Mówiliście, że roztaczał miłosierdzie.

O.: Tak.

P.: To dlaczego go zdradziliście?

O.: Jestem dobrym obywatelem, posłusznym władzom.

P.: Bez przesady.

O.: Nie mogłem wytrzymać jego obecności ani chwili dłużej.

P.: Dlaczego?

O.: Chodzi o to, co od niego czułem.

P.: To miłosierdzie?

O.: Nie, coś innego. Brutalną przerażającą energię. Aż paliła.

P.: To się wam urodziło w głowie.

O.: Nie, to było coś rzeczywistego.

P.: Czyli co?

O.: Wtedy byłem pewien, że to dobroć.

Decani jest trupem, który grasuje po górach, by zaistnieć na chwilę w czyichś omyłkowych migawkach pamięci. Prawdę mówiąc, wierzyli w to potajemnie zarówno komisarz, jak i komendant posterunku w Qelëzie (a potem funkcjonariusze bezpieczeństwa w Szkodrze, choć żaden by się do takich niebezpiecznych przekonań nigdy nie przyznał). Dlatego właśnie tak pośpiesznie pozbywali się Więźnia - przecież kto wie, co się może zdarzyć zwykłemu śmiertelnikowi w zetknięciu z ucieleśnioną mgłą. No bo kim jest ten Więzień?

Kłopotliwe pytanie.

W Szkodrze próbowano postępować z nim sensownie. Poddano go badaniom naukowym, jakby był obiektem rzeczywistym, mierzalnym. Dalsze, bardziej przyziemne przypuszczenia były następujące: zatrzymany jest wrogim agentem przysłanym w ramach jakiejś nieodgadnionej misji. Ponieważ jedynym sojusznikiem Albanii były dalekie Chiny, któż mógł rozszyfrować cele i interesy wszystkich krajów na tej planecie? Nie ma na to czasu, przyznawali funkcjonariusze w głębi serca, ale brnęli naprzód, choć bez entuzjazmu, próbując znaleźć dowody, że obcy nie spadł tu z nieba. Badano wosk z jego uszu i próbki stolca, szczegółowej analizie poddano brud spod paznokci, szukając śladów substancji nieznanych w tym kraju. Odzież naświetlano niewidzialnymi promieniami, by dojrzeć ślady pralni chemicznej. Ale te wszystkie mądre sposoby nie zdały się na nic. Sprawdzono zęby Więźnia, lecz ustalono tylko, że plomby ma zużyte i kiepskiej jakości, a dwie korony ze stali chromowo-kobaltowej są niedopasowane od początku, co doprowadziło do ubytków dziąseł. Bez wątplenia stomatologia albańska. Jak to możliwe? Jak to wszystko możliwe? Przecież w tym kraju każdy człowiek jest policzony, dobrze znany i śledzony. Nazwisko każdego obywatela jest na gigantycznej liście aktualizowanej codziennie, przy każdej zmianie miejsca pobytu kogokolwiek: wiadomo, kiedy kto idzie na targ i do pracy, a kiedy wraca do domu. Kiedy i gdzie bierze udział w wydarzeniach „kulturalnych” i w kolektywnych prasówkach, w których uczestniczy się z nieobecny wzrokiem i umysłem. Tu nikt nie mógł udać się donikąd niepostrzeżenie. Nikt się nie prześlizgnął.

Jak zatem możliwe, by Więzień był stąd i poruszał się bezgłośnie, bez towarzystwa, z dokumentami ducha? W podziemiach budynku Sigurimi w Szkodrze Więźnia rozebrano do naga. Agentki służby bezpieczeństwa biły go i przesłuchiwały na trzy zmiany, od piątku rano pierwszego października niemal do południa następnego dnia, gdy w końcu oprawcy, zadający dotąd bez emocji ciosy, wpadli wreszcie w emocje i zaczęli wykrzykiwać w autentycznej furii

najgorsze przekleństwa. I jeszcze gorzej. A mimo to Więzień nie puścił pary z ust. Dlatego też wieczorem drugiego października, miotając się między gniewem i zdumieniem, agenci ze Szkodry przewieźli go do stolicy, Tirany, do głównego gmachu Służby Bezpieczeństwa Państwa, i oddali w ręce prawdziwych specjalistów. Ci mieli metody. I środki.

Tu padały odpowiedzi na pytania, których nikt jeszcze nie zadał.

- Jak się nazywasz? - powtórzył Śledczy ze znużeniem.

Poderwany brutalnie z ziemi Więzień trwał w niesamowitym milczeniu, jego spojrzenie lekko muskało kamienną posadzkę. Śledczy patrzył na wzory z zaschniętej krwi na bandażu owijającym głowę więźnia. Zastanawiał się, co mu to nasuwa na pamięć. Nagle sobie przypomniał. „Milczący Chrystus”. Mała reprodukcja symbolistycznego obrazu wisiała w celi jezuickiego seminarium w śródmieściu miasta. Zobaczył ją, gdy wypędzali stamtąd duchownych na parę tygodni przedtem, nim postanowili zastrzelić przełożonego seminarium i zastąpić go Sarnią Sabrilu, osławioną piętnastolatką wybraną do tego zadania ze względu na bezczelność, okrucieństwo i spryt, a także przedwczesną dojrzałość seksualną i nienawiść do ojca. To było na rok przed wtrąceniem wszystkich księży, którzy przeżyli, do obozów pracy i przekształceniem starego seminarium w knajpę, której specjalnością były dania kuchni z północy kraju. Śledczy wyduł wargi w zamyśleniu. Nie, to nie tylko ten święty obraz. Jeszcze coś. Musiał już gdzieś tego człowieka widzieć. Gdzieś tu, w Tiranie. Na jakimś przyjęciu?

Albo we śnie.

- Kim jesteś? Jak powiesz, damy ci się wyspać.

Najpierw był głód, chłód, izolacja, potem syrena prosto do ucha i jaskrawe białe światło w oczy. Później zupełna ciemność i cuchnąca woda pełna brudów, wlewająca się do celi ze wszystkich szczelin, wznosząca się coraz wyżej, wyżej, aż się zatrzymała paręnaście centymetrów od stropu i chlupotała, obojętnie czekała i śmierdziała, po czym powolutku opadła, a potem jeszcze raz wszystko zaczęło się od początku. Ta faza trwała trzy dni (mierząc z punktu widzenia obiektywnego obserwatora); następnie przyszli oprawcy, a każdy bezimienny, znany tylko z przezwiska mającego go ochronić przed ewentualnym odwetem w przyszłości. Dwaj z nich to byli mężczyźni: jeden zwany „Marzycielem”, bo wyglądał, jakby patrzył w dal, a drugi, młody, zawsze się uśmiechał, więc go zwali „Śmieszkiem” (był synem Śledczego). Trzecia była ekspielnia o ciężkim kroku. Znana jako „Anielica”. Miała ziemistą cerę, spojrzenie bez blasku i jakiś wściekły, niemożliwy do opanowania tik w jednym oku, co sprawiało, że

wyglądała, jakby puszczała chytrze oko. Chodziła w granatowym uniformie i była niczym duch tych kazamatów. Więzień leżał na poplamionej krwią drewnianej ławie. Trójka oprawców stała nad nim, a Anielica wpatrywała się w Śledczego. Gdy tylko usłyszała słówko „Zaczynajcie”, jej giętka pałka przecięła ze świstem powietrze i spadła z głuchym dźwiękiem na nerki Więźnia z rezultatem, który się nikomu obecnemu w pomieszczeniu nie spodobał. Powieki Więźnia rozchyliły się bowiem leniwie, jakby budził się z letniej drzemki w hamaku. Śledczy przestąpił nerwowo z nogi na nogę, bo przeczuwał nadchodzącą niesamowitość. Wkrótce spadła lawina ciosów pałek i pięści, przestrzeń wokół ławy spowiły przekleństwa niczym żywa mgła powstała z żywiołowości, wściekłości i samonienawości. Śledczy słuchał krzyków i ciężkich stęknień, łoskotów i łupnięć, prymitywnych inwektyw, wyszczanych oskarżeń i złorzeczeń. Był świadom, że wkrótce to wszystko zgęstnieje, przerodzi się w jedną, skumulowaną żywą gorączkę, która wysze ludziom rozumy, choć pozostanie bezrozumna, wchłonie wszystkie dusze, choć będzie bezduszna, jak bestia w oku cyklonu.

Świnia! Degenerat! Kanalia!

Epitety ociekały słuszną furiją, od której drżały, załamywały się przy każdym ciosie głosu. Śledczy poczuł, że sam drży z podniecenia, więc poddał się na chwilę bestii, ale otrząsnął się szybko, bo zauważył, że oczy Śmieszka, jego własnego syna, lśnią szaleńczą rozkoszą, jakąś bezimienną emocją, której próżno szukać w słodkawym zaduchu.

Dość! Coś innego! - rozkazał.

Na to Anielica włożyła palce Więźnia między skrzydło a futrynę drzwi i powoli je zamykała, najpierw z uśmiechem, rzucając półgębkiem sprośne uwagi, potem ze zmarszczonym czołem, w pogłębiającej się konsternacji, bo twarz Więźnia pozostawała spokojna i obojętna. Wtedy właśnie w desperacji pomyśleli o wrywaniu paznokci. Założyli mu najpierw na głowę metalowy hełm służący do tego, żeby przesłuchiwany lepiej słyszał własne krzyki. Hełm nic nie dał. Więzień ani krzyknął. Gdy już ostatni paznokieć wyrwano, zamknął oczy i powoli osunął się na kamienną posadzkę z czymś jak westchnienie i z łoskotem kości. Śledczy się nagle zaniepokoił, rzucił spojrzenie starszemu wyniszczonemu mężczyźnie w tanim brązowym garniturze, który cały czas stał poza zasięgiem kręgu światła. Na jego wychudłą pociągłą twarz padał cień, dłonie, trzymające w mocnym uchwycie czarną lekarską torbę, wyciągnął przed siebie, więc sygnet ze sztucznym zielonym oczkiem, który nosił na palcu wskazującym, rzucał błyski w takt

nerwowych ruchów palców. Wyglądało to jak znaki latarnią sygnałową przesyłane z odległego statku.

- Szybko, zbadajcie go. - Śledczy chrząknął z napięcia, bo wpadł w panikę, że Więzień mu się wyślizgnie, pójdzie sobie w krainę cieni wraz ze swoją tajemnicą. - Zbadajcie go. Już! Szybko!

Stary lekarz podszedł, trzeszcząc stawami i szurając nogami, znużony, pochylony pod ciężarem znużenia powtarzaniem bez końca bezsensownych czynności w pozbawionym celu świecie. Ciągnął za sobą stłamszoną duszę niczym pusty szmaciany worek.

- Żeby mi tu nie zszedł! - krzyknął Śledczy.

Pokrwawioną drewnianą ławę przetoczono szybko z cienia w światło. Gdy Śmieszek pochylił się, by dźwignąć Więźnia z podłogi, Anielica bez ceregieli złapała ciało w pół i poderwała je bez wysiłku, po czym rzuciła na ławę niczym torbę patyków.

- Nic nie waży - mruknęła, a potem zrobiła coś zagadkowego: stanęła, przyglądając się Więźniowi z uwagą i z dziwnie łagodną miną, zupełnie do niej niepasującą, tak jakby nagle ujęła ją niewinność, jakieś wspomnienie łaski z dzieciństwa. Cofnęła się o krok, poza zasięg światła.

Stary doktor sapał nad pacjentem. Poszukał tętna suchymi szeleszczącymi palcami, jakby wypchanymi słomą, palcami drugiej ręki nacisnął zatrząsk torby i otworzył ją. W ciszy rozbrzmiewało lekkie dzwonięcie narzędzi, między którymi lekarz gmerał w poszukiwaniu stetoskopu. Znalazł go na dnie torby i wyciągnął. Jeden z przewodów stetoskopu uderzył w torbę, wydając dźwięk uderzenia biczem.

- Żyje? - spytał niespokojnie Śledczy.

Doktor podniósł oczy, przed którymi jak zwykle widział kontury tylko i szarość, bo musiał patrzeć na świat przez błonę kurzu pokrywającą mu rogówkę. To przewlekłe i dziwne schorzenie zdiagnozował u siebie jako „zaburzenie duszy”, bo zaczęło się u niego, gdy przestał wierzyć, że wszechświat ma jakikolwiek sens. Nagle otoczenie odzyskało ostre kształty i barwy (patrzac, nauczył się omijać ten szary kurz) i zobaczył przed sobą Śledczego z głęboko zatroskaną miną. Lekarz przez chwilę obserwował go zawodowym okiem, zwrócił uwagę na zmęczenie malujące się na pomarszczonej zniszczonej twarzy, zauważył gniew przytłumiony, ale zawsze obecny. Opuścił spojrzenie na leżącego w ciszy i bezruchu pacjenta.

- Potrzebny mi nowy stetoskop - mruknął, wkładając słuchawki do uszu zgodnie z regułami sztucznej konstrukcji, którą jak dobrze wiedział, były przestrzeń i czas. - Nic na tym świecie nie trwa wiecznie - dodał.

Ten element reguł nawet mu się podobał.

- Żyje? - jeszcze raz zapytał Vlora.

- Proszę być cicho.

Bojąc się pięści i pustego brzucha, lekarz udawał, że jest pochłonięty zadaniem. Marszcząc mądrze czoło, przesuwał głowicę stetoskopu po ciele pacjenta, nasłuchując niecodziennego głosu życia. I jak zawsze gdy usłyszał, trochę się przestraszył.

- Tak, żyje - odparł. - Ma mocne serce. Po prostu śpi.

Śledczy zamrugał oczami zdumiony. Nagle ogarnęła go złość, aż nim zatrzęsło. Po chwili się jednak uspokoił, ulegając wpływowi nieprzeniknionej tajemnicy, która zawisała nad ławą niczym mgiełka stworzenia, ciepła i pełna oczekiwania na pierwsze tchnienie.

Myśli Śledczego pełzały różnymi ścieżkami: może Więzień został uodporniony na ból za pomocą hipnozy? „Bramki bólu” ma zamknięte, więc impulsy bólowe nie docierają do mózgu? Lekarz opukiwał, ostukiwał i mamrotał, a Śledczy usilnie wpatrywał się w Więźnia, zastanawiając się nad zagadką rozbieżnych rysopisów podawanych przez świadków. Czterej wieśniacy przesłuchiwani oddzielnie, niezależnie i pod przysięgą, stwierdzili, patrząc na jego fotografię, że widzieli go gdzieś w Theti w czasie, gdy na pewno siedział w areszcie w Szkodrze. Nie dawali sobie wytłumaczyć, że to niemożliwe. Śledczy musiał przyznać, że twarz Więźnia jest krańcowo zwyczajna, niczym biała tablica, na którą umysł obserwatora może rzutować własne obrazy. Rysy Więźnia miał delikatne, można powiedzieć wykwintne, a dowódca ochotniczej grupy pościgowej opisał go jako człowieka o grubych rysach, przysadzistego osiłka; nie można tego zeznania określić inaczej niż jako odległe od prawdy. Spojrzenie Śledczego wędrowało po ciele Więźnia. Wyglądał jak wykuty z marmurów Michała Anioła, wyrzeźbiony dłutem w czymś twardym i roztaczającym lekko świetlistą aurę gotowości do ruchu, czekającego tylko na modlitwę.

- A to co takiego?

- Co? - Lekarz podniósł zmrużone oczy.

- Ta blizna.

- Chodzi panu o ten dołek? To pewnie po tracheotomii.

- Nie, nie na gardle. Na ręku. - Śledczy pokazał palcem.

- A, to.

Spojrzenie doktora przebiło się przez szary kurz i znalazło zagłębienie w górnej części lewego ramienia Więźnia. Kawałek nagiej skóry, blady, bez włosów, wielkości mniej więcej opuszki kciuka. Skóra była pokryta brodawkami.

- Co to takiego? - pytał Śledczy.

- Nie mam pojęcia.

- Znamię?

Słowa płynęły bez myśli jak podróżni bez paszportu.

- Nie, to nie znamię.

- Rana postrzałowa?

- Może. To może być cokolwiek. Nie mam pojęcia.

Śledczy nie mógł oderwać wzroku od blizny. Coś mu mówiło, że ona ma znaczenie. Jakiś mglisty, ale niepokojący podszept intuicji. Stłumił to.

- Jeśli pan sądzi, że to coś ważnego - mruknął nadąsany lekarz - proszę się zwrócić do specjalistów. Ja tu jestem od prostych spraw. - Wysunął słuchawki stetoskopu z uszu, poskładał go i włożył z powrotem do torby. - To na razie wszystko z mojej strony - burknął. Wziął torbę i powlókł się na swoje miejsce, odwrócił i ogłosił z mroku: - Jest zdrowy.

Oprawcy ustawili się wokół ławy.

- Nie! - rzucił stanowczo Śledczy. - Do klatki go.

Zauważył błysk w oku Anielicy i lekkie wygięcie ku górze kącików jej warg. W klatce nie dało się wyprostować nóg, odwrócić ani stanąć. Można było tylko tkwić w kucki. Udręka nie do zniesienia nawet przez jeden dzień. Dłuższe przebywanie w klatce łamało psychikę. Czy Anielica rozpromieniła się na myśl o zbliżającej się rozkoszy? Uśmiech wyraźnie nie pasował do martwoty jej spojrzenia. Śledczy wymienił z synem spojrzenia bez wyrazu, jego uśmiech był mniej dwuznaczny. Oczy uczciwie błyszczały oczekiwaniem na przyjemność i czymś niepokojąco podobnym do chuci. Vlora odwrócił się z niesmakiem i wymaszerował z pomieszczenia. Stojący za drzwiami wartownicy zasalutowali wzorowo, stukając kolbami karabinów w posadzkę, a potem jeden z nich złożył dłoń w muszelkę i do wartowników stojących kawałek dalej syknął głośno, że idzie osoba uprawniona. Opatulony w posępne myśli Vlora kroczył ciemnym korytarzem, a prowadziły go stuki i syknięcia.

Tymczasem w celi piekło trwało.

Sekretarka Śledczego usłyszała jego zbliżające się kroki. Powolna, ciemnooka, po trzydziestce, zaciągnęła się tureckim papierosem, zgasła zapalną, machając nią w powietrzu, i włożyła ją w charakterze zakładki między kartki zamykanej właśnie książki.

- Miał pan telefony, pułkowniku.

Wręczywszy mu karteczki z zanotowanymi wiadomościami, przyglądała się, gdy szybko i z roztargnieniem je przeglądał. W oczach wciąż miał rozgorączkowanie, widziała też, że ręce mu jeszcze drżą. Miałyby ochotę wziąć go teraz.

- Żadnych pilnych - dodała trochę nieśmiało. Zaciągnęła się znów głęboko, przez chwilę trzymała dym w płucach, a potem wydmuchnęła go bokiem ust.

Vlora oddał notatki bez komentarza, zwrócił uwagę na górę niedopałków w fioletowej szklanej popielniczce na biurku. Na popielniczce widać było starte już częściowo litery: „Pamiętka z Dobraci”.

- Ten nałóg cię zabije, Ledo.

Kiwnęła głową i spuściła oczy.

- Wiem - odparła, gasząc niedopałek.

- Wystarczy trochę silnej woli - dodał.

Zadzwonił telefon. Leda z ulgą podniosła słuchawkę. - Sekcja czwarta - rzuciła sucho. Słuchając, podniosła oczy na Śledczego, a on pokręcił lekko głową. Skinęła, że rozumie. - Pułkownik Vlora wyszedł - poinformowała rozmówcę tonem chłodnym, ale równocześnie trochę poirytowanym, jakby w odpowiedzi na niestosowną uwagę. To była jej metoda na uniknięcie dalszych pytań. - Czy mam mu coś przekazać? - zapytała zdawkowo. Śledczy odwrócił się i odszedł. Przez chwilę posępnie patrzyła w jego plecy, po czym sięgnęła po nowego papierosa.

Wchodząc do swojego gabinetu, Vlora zmrużył oczy oślepiiony niespodziewanym południowym słońcem, wpadającym przez kwadratowe okna niczym płomienne błogosławieństwo jakiegoś nieznośnego świętego. Wiele ostatnich godzin spędził w półmroku celi tortur. Podszedł do starego drewnianego biurka i usiadł plecami do jasnego bezlitosnego światła, bo inaczej nie mógłby ochronić swoich iluzji. Odpoczywał chwilę, czekając, aż spłynie na niego spokój. Potem, jakby chciał dodać sobie otuchy, wysunął szufladę biurka i popatrzył na wstęgi i odznaczenia: Gwiazda Partyzancka, Order Skanderbega, Order Bohatera Narodowego. Popatrzył na nie z niechętnym uznaniem, zatrzasnął szufladę i przyjrzał się swoim rękom. Już nie drżały, znaczy, że się uspokoił. Podniósł słuchawkę telefonu, wybrał numer.



Podług jakiegoś zmiennego poczucia równowagi, codziennie innego, zaczął przestawiać niektóre przedmioty na biurku: tackę ze spinaczami do papieru, bukiet kwiatów w szklanym wazoniku wypełnionym do połowy wodą, koszyk na korespondencję przychodzącą pełen raportów na temat Więźnia, stare pokolorowane zdjęcie w oprawce przedstawiające chmurną kobietę, jego matkę, i pięcioletniego chłopca o zielonych oczach. Spod kolorowania i nieudolnego retuszu ich uśmiechy wylaniały się senne i odległe jak wyblakłe, zamazane pozdrowienia z dawno minionej epoki. Na papierach w koszyku leżał niezgrabny przycisk do papierów, zrobione z gliny serce pomalowane na wściekle wesołe kolory, podpisane od spodu małutkimi literkami „Kiri”. Kwiaty i gliniane serce były w tym gabinecie jedynymi żywymi rzeczami, z tym że kwiaty już zdradzały oznaki nadchodzącej śmierci. W tym budynku wszystko umiera. Jest tu coś takiego w powietrzu.

W słuchawce rozległ się głos żony Śledczego:

- Halo?

Vlora popatrzył na więdnące kwiaty, chłonąc smutek, który płynął linią telefoniczną, i wyciągnął rękę, żeby poprawić fiołek zduszony między czerwonymi makami.

- To ja - rzekł ze znużeniem.

- Tak.

- Jak mała Kiri?

- Już lepiej.

- Ma gorączkę?

- Już nie. To po prostu trzydniówka.

- Powiedz jej, że tata śle milion buziaków.

- Powiem.

- I uścisków też, Moricani.

- Dobrze, powiem.

Śledczy patrzył na ścianę naprzeciwko, czekając, aż ból przemówi znowu. Głos żony robił się coraz smutniejszy i martwy. Muszę powiedzieć coś miłego, pomyślał. Ale co? Ściany nagle pociemniały, usłyszał szybki terkot deszczu o szyby okien. Sięgnął do włącznika biurkowej lampy pomalowanej na kolor zgniłozielony, rozległo się pstryknięcie i na blacie biurka rozlał się krąg światła.

- Mała się ucieszy - powiedziała żona głucho.

Słowa zabrzmiały jak nagana.

Śledczy przekręcił klosz lampy, żeby świeciła na kwiaty i wazon.

- Dobrze. - Poczucie winy ustąpiło gniewnemu rozżaleniu, bezsilnie szukał pocieszających słów, które umykały przed nim jak rozbitkowie w szalupie ratunkowej, okruchy na skraju przejmującego zimnem morza. - Muszę kończyć - dodał nieobecny tonem. Nie mógł tego opanować.

Pomyślał o sztucznej wściekłości oprawców.

- Jeszcze jedno - rzuciła szybko.

- Słucham cię, Moricani.

Miała do niego sprawę.

- Elez, ten nowy sklepikarz na placu - zaczęła.

Śledczy patrzył na papiery w koszyku. Zaczął myśleć znów o Więźniu, słuchał tylko jednym uchem.

- Wiem, że on kłamie - mówiła. - Wiem to dobrze. Kiedy kłamie, jego lewa ręka zaczyna drgać. - Vlorą próbował się skupić na potoku słów ze słuchawki. Chodziło o jakąś fasolkę w puszcze. - Słyszysz, co do ciebie mówię? - zapytała.

- Chodzi o fasolę.

- Właściwie o bób. Mówi, że nie ma bobu, ale kłamie. Ma na zapleczu puszek. Chce w łapę. Gdybyś ty do niego poszedł, dałby ci parę puszek bez niczego, bałby się.

- Nie, nie mogę, Moricani.

- Dlaczego?

- Bo tak nie można. Nie mogę używać swojego stanowiska do osiągnięcia korzyści osobistych.

Przez chwilę słuchał ciszy nabrzmiałej nicością. Teraz nie wypadało odłożyć słuchawki. To ona musi zakończyć rozmowę.

- Kiri tak lubi bób - powiedziała żona z rozżaleniem. - Na zimno, z oliwą, sokiem z cytryny i czosnkiem. Myślałam, że będzie mogła zjeść na kolację.

Przegrał.

- Niczego nie obiecuję - ostrzegł ze znużeniem. - I nie mam zamiaru mówić, kim jestem.

- Oczywiście. - Naraz jej głos zabrzmiał raźniej. - Wystarczy, że pogada z nim facet. Jemu się wydaje, że kobiety można okłamywać. Tak to już jest. - Wiedziała, że jej męża rozpoznają

wszyscy i wszyscy się go boją. Tylko on tego nie wiedział. Jego naiwność nie ma granic. Była przekonana, że w głębi duszy, za fasadą rewolucyjnej żarliwości, musi być albo naprawdę szlachetnym człowiekiem, albo po prostu dzieckiem. Chciałby, aby wszyscy byli szczęśliwi, jeśli się ich traktuje jednakowo! Powinien być mnichem jakiegoś zakonu kontemplacyjnego, pomyślała, przeżywając rozgoryczenie, zajęta równocześnie przyrządzaniem doskonałego sera. - Po prostu patrz na jego rękę - dodała. - Będiesz wiedział, czy mówi prawdę.

- Zapamiętam, Muki. - Używał tego pieszczotliwego zdrobnienia, kiedy chciał jej sprawić przyjemność. Nadanie głosowi tonu czułości kosztowało go wiele wysiłku. Ale warto było. Miał spokój, przynajmniej do czasu, gdy znów zrobi smutną minę, a na pytanie: „Co ci jest?” spuści oczy i wymamrocze żałośnie: „Nie, nic, zupełnie nic mi nie jest”.

- Wróć nie za późno - upomniała go lekko.

- Będę na czas.

Vlora odłożył słuchawkę z ulgą, potem jak przez mgłę słyszał, że Leda odbiera jakiś telefon, i nagle jaskrawo przypomniał mu się realistyczny sen, który miał ostatniej nocy, jakiś niekończący się koszmar przerażonego dziecka opuszczonego w narożniku przepastnej nocy. Później przypomniał mu się jeszcze jeden, z którego pamiętał tylko oderwane fragmenty: Rosjanie. Ho Szi Min. Bankiet w Tiranie. Śmierć.

Co to może znaczyć?

Któż to wie?

Spojrzał na raporty w koszyku, wyciągnął plik kartek. Zaszleściły zagadkowo, czasami tak właśnie człowiek słyszy o brzasku wyszeptane przez nie wiadomo kogo własne imię. Ułożył je starannie przed sobą na biurku. W tych papierach, pomyślał, jest odpowiedź na dręczące pytania, musi tam być, choć nie znalazł jej jeszcze. Wpatrując się w czerwień, nie dostrzega się kryjącej za nią zieleni, znał tę zasadę. Trzeba spojrzeć z właściwego punktu widzenia. Na wierzchu pliku leżał biały dowód osobisty, pobrudzony i zniszczony od długotrwałego używania. Godło na okładce, orzeł i wieniec z kłosów, zbladło i wyglądało jak własny cień. Śledczy wziął dokument delikatnie w dłonie, rozłożył, przyjrzał się wypisanym w dwóch kolumnach danym personalnym: imię ojca... imię matki... miejsce zamieszkania... zawód... oczy... usta... znaki szczególne. Zamyślony wzrok Śledczego powędrował niżej, na zdjęcie przyklejone u dołu lewej kolumny. Więzień miał ufne spojrzenie człowieka o czystym sercu.

Do zdjęcia wbił się w garnitur, koszulę, krawat. Głowę i ramiona przeżył dumnie, jak czynią zwykle chłopi, gdy pozują do oficjalnego zdjęcia. Przyciasna marynarka, zapięta na wszystkie guziki, leżała źle, wyglądała na pożyczoną na tę okazję od znajomego lub wziętą z wypożyczalni. Czy się uśmiechał? Owszem, odrobinę. W efekcie emanował dziecięcą niewinnością, rozczulającą wręcz, ze zdziwieniem zauważył Śledczy. Jak Więzień zdołał uzyskać taki wygląd? Vlora nagle skonstatował, że przypomniła mu się scena z *Braci Karamazow*, przemowa małego Iliuszy na łożu śmierci: „Tatusiu, nie płacz... a jak ja umrę, to weź dobrego chłopczyka, drugiego, sam go wybierz spośród nich, dobrego, nazwij go Iliusza i kochaj zamiast mnie...”<sup>\*</sup>. Gdy to kiedyś czytał, nie mógł powstrzymać łez. Dlaczego teraz sobie tę scenę przypomni? Nie miał pojęcia. Czym to skojarzenie mogło być wywołane? Odłożył dowód osobisty na bok i później przez długie godziny studiował papiery, polerując, szlifując, wygładzając każdy fakt, każdą fałdkę, a potem odwracając je do światła rozumu; wciąż jednak nie uzyskiwał połysku zrozumienia. Żaden ukryty fakt nie wykrzyczał swego tajnego imienia; mgła była wciąż tak samo szyderczo nieprzenikniona jak na samym początku.

I ten dziwny powiew lęku.

Śledczy odłożył raporty i nasłuchiwał swojskiego bębnienia deszczu. A może wszystko jest w porządku? Może te niepokoje to wytwór imaginacji? Urojenia? Usłyszał pomruk dalekiego grzmotu, dobiegał gdzieś z wysoka, z gór Selki Decaniego; zerwał się nagle porywisty wiatr i chłostał strugami deszczu w szyby. Tajemnicze błyski zatańczyły w szklach okularów, daleka błyskawica, wspomnienie słońc. Później wiatr się uspokoił, pozostał tylko cichy szept drobnego deszczu. Vlora nasłuchiwał nieruchomo, wpatrując się uporczywie w najniższą szufladę biurka. Wysunął ją po chwili, sięgnął do środka i wyjął pożółkłe pudełko z tektury. Ustawił je na blacie tak delikatnie, jakby zawierało jakąś bezcenną relikwię. Pudełko spięte było dwiema solidnymi taśmami gumowymi. Vlora przez chwilę w zamyśleniu gładził kciukiem supeł na jednej z taśm.

Potem zsunął gumy, zdjął pokrywkę i zajrzał do środka. W pudełku znajdowały się: ogryzek ołówka, pudełko zapalek, stary portfel z taniej popękanej skóry, kwota 57 leków w banknotach i bilonie, sfatygowany podłużny notes zawierający rejestr transakcji serem wpisywanych gęstym, drobnym ręcznym pismem, fotografia kobiety oraz list napisany pośpiesznym, ale eleganckim charakterem pisma. Była to zawartość kieszeni Więźnia w chwili, gdy go zatrzymano w miejscowości Qelëz.

---

<sup>\*</sup> F. Dostojewski, *Bracia Karamazow*, przeł. Aleksander Wat, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Kraków 1995.

Vlora popatrzył na zdjęcie kobiety. Było zniszczone, wyblakłe i miało postrzępione krawędzie, wyglądało, jakby twarz kobiety wycięto z jakiegoś większego zdjęcia. Kobieta była młoda, dwudziestoparoletnia, lecz jej rysów nie było dokładnie widać, bo zdjęcie było nieostre. Jakby przez welon, jakby przez łzy jej ciemne oczy pały gniewem. Vlora położył zdjęcie koło przycisku do papieru w kształcie serca. Następnie ostrożnie sięgnął znów do pudełka, ujął róg listu w dwa palce, a potem powoli i bezdźwięcznie wyciągnął go niczym miniaturowy chwytak zabawkę w automacie do gier dla dzieci. List składał się z pojedynczej kartki złożonej wielokrotnie; znaleziono ją wciśniętą między kartki notesu z rejestrem handlowym. Vlora odsunął pudełko grzbietem dłoni, nachylił niżej lampę, skierował strumień światła na blat tuż przed sobą, starannie rozwinął kartkę, położył, przeczytał.

*Mój świecie cały! Któż może wiedzieć, czy ten list do Ciebie dotrze? Enver nie żyje. Traktował mnie dobrze, więc życzę mu, by Bóg był dlań łaskawy. Przybądź do mnie rychło, me serce jedyne! Ach, Selca, moja zorzo, mój aniele! Nawet nie masz pojęcia, jak za Tobą tęskniłam! Przybądź do mnie! Przybądź jak najrychlej, mój najśłodszy!*

*Mój kochany, mój najdroższy, moja młodości! Pragnę Cię wziąć w ramiona. Nie zwlekaj! Jestem już wolna, ale nie swobodna.*

*Morna.*

Każdy wieśniak w Theti opowiadał to samo: Selca Decani i Morna Altamori zakochali się w sobie do szaleństwa we wczesnej młodości. Wbrew woli rodzin. Nic - żadne groźby, żadne kary - nie było w stanie ich rozdzielić. Gdy dziewczyna skończyła siedemnaście lat, rodzice wydali ją za innego - za spokojnego statecznego specjalistę od melioracji na wygodnej państwowej posiadzie. Dla młodego Selki Decaniego był to najstraszniejszy dzień w życiu; rozdarto mu pierś i wyrwano duszę. Wyniósł się z wioski i osiedlił daleko, na południu kraju, nad bagnami. Wkrótce wszyscy o kochankach i ich wielkiej miłości zapomnieli. Potem głos zabrała Śmierć. Najpierw mąż Morny zginął od pioruna, gdy burza zaskoczyła go na polu. Niecały rok później Morna, wciąż smutna, z podkrążonymi oczami, wpadła w objęcia choroby. Nie wiadomo było, co jej dolega, ale kobieta nikła w oczach. Po śmierci męża Morna napisała do Decaniego, lecz gdy Selca dotarł do Theti, nie zastał jej przy życiu. Zdawało się, że jego żal i rozpacz są ponad ludzką miarę. Osiadł w wiosce, wkrótce jednak i on zapadł na chorobę, której nie potrafił

nazwać żaden lekarz. Gdyby zapytać kogokolwiek w Theti, co Decaniemu jest, odpowiedziałby: złamane serce. Na to się umiera, więc śmierć dosięgła go szybko.

*Jestem już wolna, ale nie swobodna.*

Vlora przyglądał się tym słowom. Co oznaczały? Przez kłębowisko myśli przedarło się do świadomości Vlory przerywane bębnienie kropli deszczu o szyby, niepewne jak stuknięcia laski niewidomego. Drobiazgowa analiza wykazała, że list był wielokrotnie składany i rozkładany. Niezliczoną ilość razy. Kto mógłby tak starannie przechowywać i tak często czytać list, jeśli nie jego adresat?

Trup. Widmo. Selca Decani.

Vlora poderwał wzrok. Wzmogły się niesamowite smagnięcia wiatru, rozlegały się jakby ciche jęki i łomotanie w okna za plecami. Poczul się nieswojo, jakby ktoś go obserwował. Obrócił się wraz z fotelem i popatrzył przez okno na rozmigotaną północ, skąd gęste czarne chmury zrodzone w górach pędziły na miasto niczym gniewne wierzenia hord fanatyków. Za chwilę ich cień padnie na plac poniżej, na otaczające go bezosobowe granitowe gmachy instytucji rządowych, na szerokie ulice prowadzące posepnie donikąd, na połyskujący od deszczu pomnik Lenina dowodzącego szeregiem pustych wystaw, zaludnionych tylko duchami milionów pragnień, kurzem i mglistym wspomnieniem nadziei. Dwa rozklekotane auta pełzły z chłupotem bez celu wśród strumieni rowerzystów o ponurych obliczach, posepnie pedałowujących w swoich sprawach - mokre szare dusze pod kolorowymi pelerynami przeciwdeszczowymi; przechodnie w nędznych ciuchach brnęli wzdłuż ścian oblepionych plakatami, nawołującymi do „walki z wrogiem” i „tropienia zdrajców” wielkimi drukowanymi literami, które z powodu deszczu i tandetnej farby drukarskiej rozmywały się w żałosne czerwone i czarne zacieki. Śledczy wyłowił wzrokiem kolumnę dzieci w kombinezonach ze stójkami - karnie parami szły do Pałacu Kultury albo jakiegoś monumentalnego muzeum, których wokół placu nie brakowało. Orszak przechodził przed frontem hotelu Dajti, przez chwilę Śledczy żałował, że nie jest czerwiec i że nie siedzi sobie w ogródku hotelowej kawiarni, popijając piwo i przekąszając czymś, co dobrze smakuje przy dźwiękach tanga albo walca *Nad pięknym modrym Dunajem*, chrypliwie sączącego się przez głośniki w zmęczonym wieczornym powietrzu.

Vlora zmarszczył czoło. Dzieci się zatrzymały. Na co się tak gapią? Na coś, czego nie widać, bo znalazło się poniżej skraju pola widzenia z okna. O, inni przechodnie też stają i przyglądają się. Milczący i nieruchomi w mżawce, wyrastają z chodników niczym trupio szare

duchy. Śledczy wstał, w kolanach mu strzyknęło, podszedł do okna, by się dokładnie przyjrzeć ulicy. I wtedy zobaczył: na środku ociekającego wodą skrzyżowania leżało zalane krwią i brudnym deszczem bezwładne ciało księdza o sinej skórze i niewidzących oczach nadal czekających odpowiedzi na przerwana modlitwę. Ksiądz w czasie pobytu w obozie pracy ochrzcił noworodka. Postawiono go przed sądem i skazano za to przestępstwo, a dziś rano wykonano wyrok: został rozstrzelany. Teraz jego ciało, ubrane w liturgiczną szatę i skrępowane sznurem jak szynka u rzeźnika, rzucono na ulicę, by tam leżało trzy dni i uczyło ludzi, że Bóg ma krótsze ręce niż Sigurimi.

Śledczy zauważył kątem oka drobny ruch, szybki, nieznaczny, ukradkowy ruch dłoni. Ktoś w tłumie się przeżegnał. Krew Vlorze napłynęła z dudnieniem do blizny przecinającej wargi. Wściekły obrócił się na pięcie i wybiegł z gabinetu na dół, na mokrą ulicę, bez kapelusza, bez płaszcza, bez żadnej obstawy, jeśli nie liczyć towarzyszącej mu wściekłości i ostrego bólu blizny. Gdy znalazł się przed gmachem Sigurimi, zobaczył puste ulice i deszcz, w górze niebo, po którym pędziły obojętne chmury, na chodniku ciało mężczyzny, który kupił śmierć tanio - za parę kropli prysniętej wody. Dwaj Chińczycy w maoistowskich uniformach wyszli z hotelu Dajti. Szli pod połyskującymi czarnymi parasolami ze szlaczkiem z małych żółtych smoków. Podeszli wolnym krokiem do krawężnika, gdy zobaczyli trupa, wytrzeszczyli oczy, ale tylko na moment, po czym zwrócili wzrok na Vlorę, który sadył długim krokiem, rozchlapując wodę wojskowymi butami. Prócz dwóch doskonale obojętnych Chińczyków nie było żywego ducha. Vlora jednak wiedział, że to nieprawda. Oni tam są. Obserwatorzy. Chowają się. Czuł na plecach ich zranione spojrzenia niczym palące grzechy.

- Myślicie, że ta świnia była bohaterem? - ryknął. Słowa odbiły się mokrym echem w betonowej pustce. - Myślicie, że was kochał? Przecież to przez te kłamstwa tkwiliście w nędzy, a wasze dzieci były głupie i chore! Wciąż wierzycie w diabła? To jest wasz diabeł! O, tu! - Oskarżycielskim gestem wskazał na trupa, po czym odwracając się w różne strony, krzyknął jeszcze parę razy: - Jest tutaj! - Nagle wielkie zmęczenie wlało mu się ołowiem w ręce i nogi, więc opuścił bezwładnie rękę. Chińczycy spojrzeli na niego bez zaciekawienia i wyszczerzyli zęby w uśmiechu, gdy się natknęli na jego wzrok. Vlora zauważył tylko, że mają wielkie siekacze, i odwrócił się z wolna, zwieszając głowę; był przemoczony, w gardle mu zaschło, stał przez chwilę, nastawiając uszu na cichy plusk deszczu, który wszywał rozpacz w kamienny upór nieprzyjaznych ulic.

Następnego dnia, 20 marca, Vlora z rana polecił, by Więźnia przeniesiono do zatłoczonej, ciasnej, choć bez wymiarów celi zbiorowej; do ponurego mrocznego morza rojącego się od jęków i nieustannego niesamowitego szeptu, który przebijał się ponad łkania, litanie żalów nad utraconym lepszym życiem, szelest słomy sienników na pryczach. Wisiała tam na drucie u sufitu goła żarówka, nasączając mrok żółtawą poświatą w porach, gdy podawano przez judasza posiłki - zimne kluski z makiem i gliniasty chleb; od czasu do czasu, nieregularnie, kran prychał i chlustała z niego woda. Gdy do celi przybył Więzień, siedziało w niej już trzynastu mężczyzn i sześć kobiet, ale strażnicy pojawiali się często i kogoś zabierali. Do 22 marca zostało w celi tylko pięcioro, wśród nich Więzień i na wpół oszalały jednooki ksiądz, któremu przypomniało się nagle, że jest niedziela.

- Przed Wielkim Wybuchem cały Wszechświat miał zerowe rozmiary i nieskończoną masę - wygłaszał kazanie do celi. - Potem ten punkt wybuchł, tworząc przestrzeń, a wraz z nią czas i jego bliźniaka, nieporządek. A mimo to siła pierwotnej eksplozji, która stworzyła Kosmos, musiała być dopasowana do siły ciężenia z taką dokładnością, jaka potrzebna jest do trafienia pociskiem w monetę po przeciwnej stronie obserwowalnego wszechświata, z odległości trzynastu miliardów lat świetlnych.

Z mroku wypadła pięść i trafiła księdza w kość policzkową; rozległ się chrzęst.

- Mówiłem, że chcę spać - burknął ktoś gniewnym basem.

Ksiądz słuchał dzwonienia i szumu w uszach, a także klaskania dłoni po kamiennej posadzce, gdy jego prześladowca oddalał się na czworakach. Był to krzepki i niezwykle łatwo wpadający w złość muzułmanin, który gdy tylko pojawił się w celi, oznajmił, że „niejednego już zabił” i że „nie ma absolutnie nic wspólnego” z tym, o co się go oskarża: z brutalnym pobiciem ze skutkiem śmiertelnym montera rowerowego ze skweru Szkoderskiego.

- Później pojawiła się żywa komórka - nie dawał za wygraną ksiądz, choć przezornie ściszył głos. - Ale skąd? A tak, była ta zupa chemiczna, tak nas uczono, w której jak to zwykle bywa, przez nasz ulubiony przypadek powstał wirus. A potem następny i następny. Mam kontynuować? Dajmy spokój zupie, później się okazało, że wcale jej nie było albo że prawdopodobieństwo pojawienia się takiego wirusa w ciągu miliarda lat jest mniejsze niż przy rzucie monetą uzyskanie orła sześć milionów razy z rzędu. Nasza ukochana odpowiedź brzmi: „wydarzenie wyjątkowe”.



Nieuprzejmością byłoby sugerować, że przy prawdopodobieństwach tego rzędu rozróżnienie między „wyjątkowym” a „nadprzyrodzonym” nie ma, jak się wydaje, większego sensu.

Gdzieś z głębi dochodziło stękanie i westchnienia pary uprawiającej seks.

Ksiądz zerknął w tamtą stronę.

- Akt płciowy to jedna z największych przyjemności - zauważył. - A dlaczego tak jest? Chodzi o zapewnienie przetrwania gatunku. Taki jest cel. Z tym że celowość to przecież atrybut umysłu. A więc widzimy, że...

Cios trafił go w bok głowy. Ksiądz się zachwiał, przez moment próbował złapać równowagę, po czym upadł i dłuższą chwilę leżał na wznak bez ruchu; oddychał ciężko i od czasu do czasu spluwał krwią.

- Niech to będzie msza za Wszechświat - wymamrotał wreszcie niezbyt przytomnie - a moja homilia na tę niedzielę... czy to niedziela? Mniejsza o to. Tak czy owak nie mamy tu wina. - A potem czując, że światło wymyka mu się z jedyne go oka, podniósł do góry trzęsącą się dłoń, jakby miał pobłogosławić noworodka czy stodołę, poruszył ustami, z których kącika ciekła strużka krwi, i zanim stracił przytomność, rzekł: - Idźcie! Ofiara spełniona.

Po paru minutach... a może po kilku godzinach czy dniach - któż to może wiedzieć, bowiem ramiona bólu ściskają czas tak, jak chcą - księdza gwałtownie obudziła cisza. Usiadł i rozejrzał się wokół.

- A więc ci wszyscy szaleńcy sobie poszli. Zabrano ich do domów wariatów, nie ma wątpliwości. Żartuję. Na pewno nie żyją - powiedział. Spojrzał na Więźnia, który siedział na posadzce opodal, z głową zwieszoną, z przedramionami wspartymi na podkurczonych kolanach w ten sposób, że dłonie zwisały swobodnie w dół. Nie wyrzekł dotąd ani jednego słowa. - Ach, jesteś, witaj - rzekł ksiądz. - Jak ci na imię? O co cię oskarżają, o jaką niewymowną zbrodnię? Oczywiście oprócz tego, że oszalałeś, co jest karygodne, zwłaszcza jeśli wywołane wspomnieniami Edenu. Powiedz, coś uczynił?

Więzień nie odpowiadał. Nawet nie drgnął.

Ksiądz z niesmakiem zmierzył go wzrokiem.

- Nie musisz na mnie zwracać uwagi - oświadczył oschle.

- Przecież jestem tylko nic nieznaczącym reakcyjnym klechą, psem łańcuchowym Watykanu i wrogiem ludu. Nie przejmuj się niczym, co mówię. - Czekał przez chwilę na odpowiedź, po czym odwrócił wzrok. - To te dzieci - mruknął zagadkowo. - Przykro mi. Nie jestem Stephenem

Kurtim. Z żołnierzami, którzy przyszli mu zniszczyć kościół w Drinie, Stephen Kurti bił się własnymi rękoma, na pięści. Wsadzili go do więzienia, potem posłali do obozu pracy, a on tam potajemnie ochrzcił dziecko i za to go rozstrzelali. Czy jakikolwiek święty bał się Boga bardziej niż ci złoczyńcy? - Zwiesił głowę na piersi. - Nie, nie jestem Kurtim - ciągnął cicho. - Moje ciało jest obolałe od stóp do głów, cierpię męczarnie, ogarnęło mnie szaleństwo i powódź żalu, a mimo to nie mogę ugasić w sobie pragnienia życia. Żyję dla tych zimnych śliskich klusek, które nam tu dają.

Ksiądz poderwał głowę do góry i spojrzał ku drzwiom, za którymi rozległy się właśnie stalowe kroki, nieubłagane, z niezachwianą pewnością i rozmysłem zbliżające się korytarzem ku celi. Minęły jednak drzwi, a ich echo nie odbiło się śmiercią. Ksiądz znów spuścił głowę.

- Był też ojciec Lazar Szantoja, słynny pisarz - ciągnął żałośnie. - Wypuścili go po latach ciężkiego obozu. Wiesz, co zrobiła jego matka, gdy go zobaczyła? Gdy zobaczyła swojego jedynaka, ukochanego syna, gdy pojawił się na jej progu po tych wszystkich latach rozłąki? - Odwrócił się i znów popatrzył na Więźnia. - Zatańczyła. Tak. Nie mogła wydobyć słowa, więc zatańczyła. Tańczyła bez opamiętania, nie mogła przestać. Parę miesięcy później Szantoję znów aresztowano. Odpiłowano mu dłonie, połamano ręce i nogi, dopiero wtedy pozwolono matce go odwiedzić. Do pomieszczenia, w którym na niego czekała, mógł wejść tylko w jeden sposób, bo tylko taki mu został: na łokciach i na kolanach. Matka krzyknęła do strażników, by okazali litość i zabili go. Posłuchali jej. Widziałem, jak go wlekli za nogi po schodach; zanim go dociągnęli na drugie piętro, czaszka pękła mu na kawałki. Kiedy zauważyli, że to widziałem, zamknęli mnie na miesiąc do izolatki. Wypuścili mnie, żebym mógł zagrać w meczu siatkówki.

Podniósł głowę, spojrzał w dal.

- Och, kiedyś chyba byłem odważniejszy. Kiedy mnie zamknęli po raz pierwszy, pytali, czy naprawdę jestem szpiegiem Watykanu? Czy się tego wyprę? Czy przysięgnę lojalność wobec nowej Albanii, pierwszego ateistycznego państwa na świecie? Powiedziałem, że nie. Wtedy zaczęły się tortury.

Elektrody. Błękitno-białe błyskawice wypełniły mi czaszkę. Wydawało mi się, że głowa mi eksploduje. Krzychałem i zaciskałem zęby, mało sobie języka nie odgryzłem. Poczulem na twarzy ciepły płyn. Myślałem, że to woda, która ma poprawić i przewodnictwo elektryczne, ale usłyszałem śmiech. Otworzyłem oczy: jeden z oprawców sikał na mnie. Niedługo później, doprowadzony do szaleństwa przez pragnienie, zanurzyłem rozpaloną głowę w śmierdzącym

kuble i chleptałem wyschniętym językiem jak wściekły pies. I piłem tak, nie zważając na krzyki, groźby, kopniaki i razy kolbą po plecach i głowie. Nie, nic, żadna siła, nawet błagalne głosy aniołów nie mogły mniej powstrzymać. W końcu kilku silnych mężczyzn oderwało mnie od kubła siłą. I chyba wtedy to się zaczęło. Moja odraza do siebie jako człowieka. Dopiero wtedy, przedtem byłem niezłomny. Nie złamał mnie nawet tamten dzień, gdy strażnik przyniósł wieść, że moją starą matkę, ciężko chorą, zabrała karetka pogotowia, ale kierowcy i sanitariuszowi się śpieszyło, zapadał zmrok, a kolacja czekała, więc uznali, że nie warto sobie brać kłopotu na głowę, i wyrzucili moją matkę z górskiej szosy do przepaści. Tak nawiasem mówiąc, sanitariuszem był syn Vlory. Tak, ten oprawca. We własnej osobie. Strażnik, który mi to wszystko opowiadał, powiedział, że jest mu przykro, i dał mi morelę. Morela zamiast matki.

- Ale nawet tamtej nocy, gdy pogrążony w żalu w lodowatej celi, w obliczu cierpienia niewinnych zacząłem nagle wątpić w istnienie Boga, usłyszałem jego głos. A tak, najprawdziwszy głos Boga. „Jakubie, czyja cię prosiłem, byś rozwiązał problem Zła? - szydził. - To mój problem - oznajmił. - Prosiłem cię tylko, byś najlepiej jak możesz wypełniał powinność księdza”. Przemawiał surowo, jak Bóg Hioba, może dlatego, że widział, jak się ukradkiem rozglądam po celi, wypatrując schowanych głośników i mikrofonów. Potem powiedział: „Miej ufność, a rozmyślania i teologię pozostaw mnie”. Jasne, to był Bóg, bez wątpienia, najwyraźniej stęskniony za dniami na pustyni, gdy się ukazywał w postaci chmury albo ognistego słupa nocą. Miałbym do niego parę uwag, ale roztropnie się od nich powstrzymałem, bo nie miałem ochoty wysłuchiwać drwin, czego to ja dokonałem, kiedy On stwarzał podwaliny świata. Tortury? Nie warte wzmianki, wszystko się dobrze skończyło. Muszę wyznać, że się zaniepokoiłem, gdy mi powiedział: „Miej ufność”, choć w sumie jego słowa wywarły na mnie cudowny wpływ, od tej chwili postanowiłem zostać wspianym księdzem, pocieszycielem i opiekunem towarzyszy więziennej niedoli, który dodaje im otuchy jak najlepiej potrafi. „I wynidę do ołtarza Bożego - śpiewało me serce - do Boga, który uwesela młodość moją.” Wtedy właśnie poczułem ciepły mocz spływający mi po twarzy. I po tym chyba incydencie zaświtało mi we łbie, że jeśli Bóg rzeczywiście istnieje, to po prostu nie jest możliwe, by mnie kochał.

- Ach, odprawiałem potem mszę w tym obozie pracy koło miejscowości Mali, gdzie pracowaliśmy na bagnach, nieprzeliczona rzesza mężczyzn w łachmanach topiących się w błocie sięgającym piersi. Udzielałem nawet rozgrzeszenia, bo byli tacy, którym chciało się spowiadać. Wyobrazasz sobie, jakie nędzne grzechy można w takim miejscu popełnić? Tylko że to była

żadna odwaga. Po prostu niewiele ich to obchodziło. Co innego chrzest. Tego się bali, tego nienawidzili. Ale ja nikogo nie ochrzciłem. Nikogo. W obozie żadne dzieci się nie rodziły. - Spuścił głowę i zniżył głos. - Jestem tutaj, bo nie zdołałem wyrobić normy. - Przez jakiś czas milczał. Raptem wybuchnął płaczem, szlochając rozpaczliwie i bijąc się куłakiem w piersi. - *Mea culpa, mea culpa!* - powtarzał.

Uspokoił się po jakimś czasie, oparł o ścianę celi i obrócił głowę w stronę Więźnia.

- Czy jesteś księdzem? - zapytał z cicha w ciemność. Odczekał, po czym powiedział:

- Myślę, że tak. Czuję na twoich rękach zapach olejów świętych. Czy wysłuchasz mojej spowiedzi?

Więzień milczał. Rozległo się tylko uderzenie pojedynczej kropli, która kapnęła z kranu.

- Niedługo po nas przyjdą. Tak ma być, w końcu całe życie jest przygotowywaniem się na śmierć. Ale miałem nadzieję, że stanę przed boskim obliczem... no, chodzi mi o te wszystkie dzieci, których do niego nie doprowadziłem... - głos zamarł mu w gardle, a po policzkach popłynęły łzy; ciało opadło na bezlitosny kamień posadzki ze stłumionym jękiem poczętym z niewysłuchanych modlitw całego życia.

- Mamo, mamo - mamrotał, wzywając matkę, póki spazmy nie spłynęły w równym, pewnym nurcie oddechu.

Więzień podniósł głowę i popatrzył na księdza. A potem z wolna wyciągnął rękę. Po chwili rozległy się na korytarzu ciężkie kroki. Ksiądz się poderwał, chwycił Więźnia za ramiona, potrząsnął nim i zaczął gorączkowo wołać:

- Idą! Idą po nas. Na miłość Chrystusa, udziel mi rozgrzeszenia. Żałuję wszystkich grzechów. Rozgrzesz mnie! - Otworzyły się drzwi do celi, goła żarówka rozbłysła jaskrawo. Strażnicy, klnąc siarczyście, wywlekli księdza, który nie przestawał krzyczeć: - Rozgrzesz mnie! Udziel mi rozgrzeszenia!

Nie to nie ksiądz.

- Jesteś tego pewien?

- Tak. Zupełnie pewien.

Siedzieli przy wielkim stole w kształcie litery T w ogromnej wysokiej sali. Vlora u szczytu stołu, muzułmanin i jednooki ksiądz po przeciwnej stronie. Jednooki ksiądz, czysty, gładko ogolony, z klapką na oku, ubrany schludnie w brązowe tweedowe spodnie i zielony wełniany

golf. Zaciągnął się wymiętym tanim papierosem bez filtra, popatrzył w bok i wydmuchnął postrzępiony strumień dymu.

- Każdy ksiądz - wyjaśnił - wysłuchałby mojej spowiedzi. - Rzucił niechętnie spojrzenie muzułmaninowi. - Nie musiałeś walić tak mocno - rzekł oziębło.

Zdjął sobie z wargi drobinę tytoniu.

Muzułmanin niepewnie wzruszył ramionami i odwrócił wzrok.

- Taką mam metodę - odparł.

- Też mi metoda.

Wszystko było zainscenizowane.

Zbiorową celę zaludniali aktorzy.

- Nie narzekaj, wypuszczamy cię - powiedział do księdza Vlora. - Co jeszcze można dodać? Jakies spostrzeżenia? Pytam was obu.

- Mój ból - powiedział ksiądz od rzeczy.

Roztargnione spojrzenie utkwiał w zadrapaniu na ciemnym drewnie stołu. Zadrapanie przypominało małą literę omega.

Vlora zmarszczył czoło.

- O co chodzi z tym bólem?

Ksiądz podniósł oczy.

- Po tych wszystkich ciosach potwornie bolała mnie głowa. Bez przerwy. Nie byłem w stanie nic na to poradzić. Ten facet położył mi rękę na czole i przestało boleć.

Przez chwilę Vlora patrzył tak, jakby nie rozumiał. Po chwili kącik ust uniósł mu się drwiąco.

- Nadal wierzysz w księżowskie zabobony? - Splunął. - Jesteś zmęczony. Jedź do domu, do żonki.

Vlora chciał ostrym tonem pokryć swoje zakłopotanie, obawę i frustrację. Na dzień przedtem, nim wymyślił prowokację w celi, znów śnił mu się bankiet w Tiranie, Ho Szi Min i śmierć, ale tym razem we śnie pojawił się jakiś widmowy służący, pracownik kuchenny o twarzy bez rysów. Potem Vlora znów znalazł się w pokoju przesłuchań, z Więźniem przykutym do ściany z rozkrzyżowanymi rękami. Przed Więźniem stała Anielica, podając mu do ust kubek chłodnej wody. „Eleno!” - zawołał ją Śledczy po imieniu. Odwróciła się z uśmiechem. Później miło sobie gawędzili, oczywiście o Więźniu. „Kim on jest?” - pytał ją ciepło Śledczy, a ona

z miłym uśmiechem odparła: „To twój wybawca”. W następnej chwili Vlora stwierdził, że stoi na ulicy, patrząc na przemoczonego naiwnego gnębiciela, który leżał na deszczu - na księdza, na którym wykonano wyrok. Gdy trup podniósł powieki i wbił w niego pełen wrogości wzrok, Vlora obudził się z nowym niejasnym podejrzeniem: może Więzień należy do tych irytujących męczenników o odwadze tak nieludzkiej, że aż nienawistnej? Czyżby człowiek posługujący się papierami Selki Decaniego był księdzem domokrażcą, który w przebraniu handlarza kruchym białym serem wędrował po górach na północy kraju, odprawiając msze, spowiadając i udzielając komunii? Prowokacja w celi tego nie potwierdziła, a co gorsza, przyszła nowa wiadomość, druzgocąca: raport anatomopatologów Służby Bezpieczeństwa, którzy badali bliznę na ramieniu Więźnia.

*Podejrzany obszar okazał się śladem po zabiegu chirurgicznym dokonanym najprawdopodobniej przez chirurga plastycznego. Wygląda to na przeszczepiony fragment skóry, co można wywnioskować z odmiennego niż w otaczającej skórze układu cebulek włosowych i gruczołów łojowych. Przeszczep był pobrany najpewniej z prawego uda badanego, z jego wewnętrznej strony, gdzie znaleziono nieznaczną bliznę. Pod przeszczepionym fragmentem stwierdzono wyraźnie mniejszą grubość skóry właściwej, zbliznowacenie tkanek głębszych oraz występowanie zgrupowań komórek charakterystycznych dla stanów zapalnych. Wniosek ostateczny jest taki, że przeszczepu dokonano po to, by ukryć bliznę po szczepieniu przeciwko ospie.*

Siedząc w chłodnym o świetle biurze, Śledczy raz po raz czytał ostatnie zdanie raportu. Ukryć bliznę po szczepieniu? Kto sobie zadał tyle trudu? Po co? Odłożył raport, zachmurzył się. Różowe i błękitne kwiaty w szklanym wazoniku na biurku wydawały ostatnie tchnienie, a Śledczy z gniewem przypomniał sobie nie wiedzieć czemu o zacofaniu ludu swojego kraju. O analfabetyzmie, krwawych zemstach rodowych, o aranżowanych w dzieciństwie małżeństwach, o przerażonych, zanoszących się płaczem dzieciach trzymanyh przez pierwszy rok życia w ciemnych pomieszczeniach bez okien, żeby nie zobaczyły ich demony i nie uczyniły im krzywdy. O innych jeszcze niezliczonych strasznych i szkodliwych przesądach, które nabierają prawdopodobieństwa, prawdziwości, sensu tylko dlatego, że się wierzy w cierpiącego,

krwawiącego Boga. Vlora zerknął na swoje dłonie na biurku. Zwinęły się w pięści. Rozprostował palce. Drżały. On sam był jednym z takich dzieci w ciemności.

Odwrócił się i wyjrzał na ulicę. W szarawym świetle świtu przesączającego się delikatnie przez opatulającą miasto mgłę sylwety budynków wyglądały jak widmowe ruiny. Skąd teraz takie myśli? Nie miał pojęcia. Z rozdrażnieniem wrócił do lektury raportu patologów, „...by ukryć bliznę po szczepieniu przeciwko ospie”. Co to może znaczyć? Któż to wie? Ale gdy przeniósł wzrok na zdjęcie swojej zagubionej gdzieś w czasie żony i dziecka, wstrzymał oddech, bo nagle przypomniał sobie z niepokojem, że dopiero po katastrofalnej epidemii ospy, która spustoszyła kraj trzydzieści pięć lat temu, wprowadzono w Albanii obowiązek szczepienia dzieci przeciw tej zarazie.

Więzień, mężczyzna po czterdziestce, urodził się ładnych parę lat wcześniej, więc jeśli rzeczywiście jest rodowitym Albańczykiem, nie mógł być szczepiony w dzieciństwie!

Vlora się wzdrygnął. Zdawało mu się, że w gabinecie pochłodziło. Komu mogłoby przyjść do głowy, że trzeba ukryć bliznę po szczepieniu, jeśli nie groźnemu agentowi nieprzyjacielskiemu w jakiejś złowrożej misji? Vlora zaczął rozmyślać o dziwnym zeznaniu ślepego i o doskonale niedoskonałej stomatologii albańskiej; o psie uduszonym w lesie i o widmowym, niepokojącym Selce Decanim. Jeśli Więzień nie jest obcym szpiegiem, musi być diabłem.

- Albo jednym i drugim - mruknął Vlora.

Słyszał już kiedyś o takim agencie z piekła rodem.

Tej nocy Vlora spał z demonami.

Dalej wypadki potoczyły się zupełnie nieplanowo.

Wczesnym rankiem 3 kwietnia na wezwanie Vlory przybył do Tirany z Pekinu, skróciwszy wizytę u chorego ojca, wysoki chudy chiński lekarz wojskowy, major Liu Ng Tsu, specjalista od aplikowania przesłuchiwanym hipnozy i narkotyków, w albańskiej Służbie Bezpieczeństwa na etacie doradcy. Trzeciego i czwartego kwietnia ekspert studiował raporty i rozmawiał z Vlorą. Piątego przystąpił do działania. Więźnia, którego od 36 godzin pozbawiano snu, a od 24 godzin - wody, ułożono na szpitalnych noszach na wózku, przypięto skórzanymi pasami i wwieziono do wąskiej salki wyłożonej białymi kafelkami. Było tu nieskazitelnie czysto i jasno, pod sufitem

wisiała lampa jak w sali operacyjnej; salkę nazywano Pokojem Czarów. Tu odbywały się sztuczki nad sztuczki.

Rozpoczęto od zastrzyku z pentotalu sodu. Potem zaczęła się hipnoza. Krnąbrnym przesłuchiwanym wmawiano: „Twoja ręka robi się bardzo ciepła”, to miało ich przekonać, że rzeczywiście ulegli hipnozie i że wszelki opór jest bezcelowy; tymczasem tak naprawdę ręka hipnotyzowanego była podgrzewana z ukrytego aparatu diatermicznego. Inną metodą było zastosowanie holografii. „Czy widzisz przed sobą litą ścianę? - Tak. - Teraz popatrz przez nią. Zobacysz róże unoszące się w powietrzu”. To były gry na początek. Potem wstrzykiwano metamfetaminę, by wywołać nieodpartą chęć nieustannego mówienia, opowiadania bez namysłu wspomnień, pomysłów, refleksji. Zdarzało się, że na końcu niewyraźnego słowotoku pojawiała się dziwna niewyraźna rzecz zwana prawdą.

- No zaczynaj! Czemu się wahasz?

Wyczerpany, podniecony, niecierpliwy, zżerany ciekawością Vlora patrzył ze zdziwieniem na Tsu stojącego po przeciwnej stronie szpitalnego wózka. Już się pochylił, żeby wstrzyknąć pentotal, i nie wiadomo dlaczego zatrzymał się z igłą w powietrzu. Stojąc tak bez ruchu, przyglądał się dziwnie długo twarzy Więźnia.

Vlora się zaniepokoił.

- O co chodzi? Co się stało?

Tsu pokręcił głową, czekał jeszcze moment, po czym powiedział:

- Nie, nic.

Pochylił się i zrobił zastrzyk.

- Przez chwilę wydawało mi się, że już gdzieś tego człowieka widziałem.

Szurając nogami, wszedł specjalista obsługujący wariograf. Niski, w średnim wieku, o oczach osadzonych blisko siebie. Miał na sobie wytarty garnitur, sporo za duży, workowate spodnie fałdowały mu się na butach.

- Jestem - wymamrotał kwaśno na powitanie. Oderwano go od śniadania, więc był obrażony. Hałaśliwie rozłożył metalowy stolik i krzesło, z łomotem ustawił przy wózku. Na stoliku ustawił wariograf, podłączył Więźnia do aparatu, po czym usiadł, demonstrując miną rozżalenie i niechęć. Pociągnął nosem, założył słuchawki, skinął głową i wymamrotał cierpiętniczym tonem: - Jestem gotów.



- Jeśli nam trochę pomożesz, będziesz mógł to wypić. - Tsu przyłożył Więźniowi do policzka zroszoną szklanę zimnej wody. - Świeża źródłana woda - poinformował Więźnia życzliwie. - Jeśli spełnisz moje następne polecenie, będziesz mógł wypić. Dobrze? Nic uciążliwego. Po prostu otwórz oczy.

Vlora pokręcił głową.

- To się nie uda - powiedział. - Nie uda się. - Przyglądał się w napięciu twarzy Więźnia i zakiełkowało mu w głowie niewiarygodne, mrozące krew w żyłach podejrzenie co do jego tożsamości.

Wtedy Więzień otworzył oczy.

Vlora aż odskoczył od wózka.

Podtrzymując dłonią głowę Więźnia, Tsu drugą ręką podsunął wodę do ust leżącego.

- Nie za dużo na raz, łyk lub dwa - ostrzegł łagodnie. I złożył spokojną obietnicę: - Jeszcze dostaniesz.

Więzień przemówił.

- Dziękuję - rzekł.

Vlora nie wierzył własnym zmysłom. Tsu popatrzył na niego z uśmiechem. I tak zaczęła się seria wydarzeń, które doprowadziły przesłuchujących do przekonania, że Więzień się poddał. Przekonanie to w końcu trzeba było uznać - później, gdy już kronika Pokoju Czarów była skompletowana, a końcowy raport gotowy - za najzupełniej nieprawdziwe, śmiertelnie groźne złudzenie.

Wszystkie wstępne kroki odbyły się rutynowo. Przygaszono światła, ścieżka hipnozy rozwijała się jak zwykle. Monotonny rytm, w tym przypadku oświetlona wskazówka metronomu, którą Więzień obserwował, jak kiwa się w tę i z powrotem. Takie rzeczy zwykle okazywały się bardzo skuteczne w pokonywaniu oporu przed hipnozą i prób utrzymywania przez przesłuchiwanego jasności umysłu i siły woli. Potem zastosowano ulubione sztuczki Pokoju Czarów, a gdy już wszyscy byli przekonani, że zaklęcie zadziałało, Tsu wstrzyknął metamfetaminę w większej niż zwykle dawce - 6,4 miligrama na kilogram masy ciała; taką stosowano wobec neurotycznych introwertyków. A następnie zwyczajnym, bez cech szczególnych głosem, z bezbłędnym akcentem i niuansami języka górali z północy Więzień nie tylko przemówił, lecz także odpowiedział na wszystkie pytania.

Dla przesłuchujących byłoby lepiej, gdyby tego nie był uczynił.

Zapytywany Więzień wielokrotnie zapewniał, że nazywa się Selca Decani i handluje serem, że kochał się w Mornie Altamori, i wyjaśnił, że nie zmarł, ale po prostu wyjechał, uciekł na Zachód, pogłoski zaś o jego śmierci były rozpuszczane celowo, aby władze państwowe nie nękały jego rodziny. Wrócił do Albanii, bo ciężko zachorowała jego matka i wydawało się, że umrze. Tak wyglądała w ogólnych zarysach Historia Numer Jeden.

Były także następne.

Znane są przypadki wrogich agentów tak przygotowanych za pomocą hipnozy i narkotyków, że powstała u nich „blokada pentotalowa”, która sprawia, iż taki agent, czy go torturować, czy przesłuchiwać z użyciem narkotyków i hipnozy, powtarza zaprogramowaną recytację. Dlatego też przesłuchujący starali się dotrzeć głębiej, zaatakować blokadę silniejszymi narkotykami i hipnozą. Zdarzało się, że ta druga historia, ukryta pod pierwszą, była taka jak pierwsza - sfabrykowana. Podobno u kogoś kiedyś znaleziono trzecią blokadę, ale to rzadki przypadek, a może w ogóle plotka. Na razie wszystko przebiegało jak trzeba, potwierdziło się każde paranoiczne podejrzenie, gdy pod wpływem głębszego wniknięcia przesłuchujących historia Więźnia radykalnie się odmieniła. Wprawdzie ramy pierwszej historii w ogólnych zarysach się utrzymały, lecz subtelne różnice tkwiły w szczegółach. Tym razem Więzień przyznał, że Selca Decani faktycznie nie żyje, a on sam nazywa się Sabri Melcani i wiele lat temu uciekł do Jugosławii, a stamtąd przeniósł się do Grecji; uciekł przed oskarżeniem o zabójstwo, którego dokonał w ramach krwawej waśni rodowej. Niedawno usłyszał, że człowiek, którego - jak sądził - zabił, wyzdrowiał i żyje sobie zadowolony. Melcani poczuł zatem - „ukłuło go sumienie”, jak się wyraził - że musi wrócić i dopełnić zemsty. To była w ogólnych zarysach historia numer dwa, która gdyby ją przyjąć, nie byłaby taka znów niepokojąca. Okazało się jednak, że są też historie numer trzy, numer cztery i numer pięć, zaś historia numer sześć - ku wściekłości i totalnej konsternacji wszystkich przesłuchujących - nie różniła się zupełnie niczym od historii numer jeden, co oznaczało, że wszystkich - gdyby oczywiście Więzień przeżył zwiększane sukcesywnie dawki narkotyków - czeka niekończące się bezowocne błędne koło. Ale jeszcze nie to było najbardziej bulwersujące. Najbardziej bulwersujące były wyniki badania wariografem.

Wykrywacz kłamstw potwierdzał prawdziwość wszystkich kolejnych historii Więźnia.

Na tym rozdrożu nie było wiadomo, co począć dalej, a zatem naturalnym i logicznym rozwiązaniem, niosącym ulgę wszystkim, którzy żywili nadzieję na to, że może być tak jak zwykle, było pójście na żywioł. Zrozpaczony Vlora przyjął nową taktykę, która ani nie leżała

w jego naturze, ani nie umiał nią kierować. Ten scenariusz był od początku do końca autorstwa Tsu.

Zaczęło się spokojnie. Nawet przyjemnie. Więźnia przeniesiono do bardzo wygodnej kwatery, gdzie opatrzone mu najpierw wszelkie obrażenia, a następnie przez tydzień pozwolono się kąpać, jeść i pić, na co tylko miał ochotę, ubierać się w czyste rzeczy i spać w wygodnym łóżku o takich porach i tak długo, jak tylko miał ochotę. Tymczasem major Tsu wydał rozkaz, by absolutnie nikt się z Więźniem nie kontaktował, nikt nie mówił ani do niego, ani w ogóle do kogokolwiek w jego obecności. Ósmego dnia, w poniedziałek, akcja się rozpoczęła. Czterech uzbrojonych strażników przeprowadziło Więźnia do sali ze stołem w kształcie litery T, przy którym siedział tylko Vlora. Czarne story w wielkich wysokich oknach były rozsunięte, więc do środka wpadały jasne słupy słonecznego światła, rozpraszając się na drobinkach kurzu i strachu, które krążyły w powietrzu. Więźniowi kazano stanąć przy końcu stołu, po czym wszyscy strażnicy wyszli. Więzień pozostał sam, stał ze spuszczoną głową z rękami złożonymi przed sobą, jakby były skute niewidzialnymi kajdankami. Z głośników w ścianach płynęła cicha muzyka. Okna były otwarte, więc słychać było ruch uliczny daleko w dole. Od czasu do czasu dobiegał dziecięcy okrzyk czy śmiech.

- A więc dotarliśmy tutaj - zaczął Vlora jak zwykle. - Nowe otoczenie działa niekiedy odświeżająco. Wzmacniająco. Może nas wyrwać z utartych kolein, ze sztywnych nawyków myślenia. Ale, ale, proszę siadać. Poczuc się wygodnie. Naprawdę. Nie? Nie, to nie, w porządku. Jak pan uważa. Przy okazji, czy muzyka panu odpowiada? Możemy zmienić. Mam zmienić? To Strauss. W porządku, niech zostanie. Tymczasem wyjaśnię, co się tu naprawdę dzieje. Po pierwsze, chciałbym podziękować za te wszystkie fascynujące historie, które nam pan opowiedział. Uwielbiam historie i opowieści i mam ogromny podziw dla wyobraźni. Wiele pięknych historii przetłumaczyłem na albański: *Makbeta* Szekspira i *Hamleta*, i *Otella*. I *Panią zamku Östrot* Ibsena. *Don Kichota*. Dziwi się pan? Tak, zrobiłem to osobiście, gdy pracowałem na uczelni. Dostałem Gwiazdę Partyzancką za moją pracę literacką. Zresztą nieważne. Za dużo gadam. Skąd się człowiekowi bierze ten uporczywy przymus usprawiedliwiania przed każdym, kogo spotka? Wie pan, o czym mówię? Pewnie nie. No dobrze, już koniec. Wróćmy do rzeczy. Proszę posłuchać, chciałbym panu powiedzieć, do czego doszliśmy. Dobrze? Chcemy sobie ułożyć z panem stosunki od nowa. Stare, musi pan przyznać, nie były satysfakcjonujące. - Vlora

gestem pokazał koszyk na stole, w którym piętrzyły się świeże owoce! - Proszę się poczęstować morelą - zaproponował. - Są doskonałe.

Do pokoju weszli trzej oprawcy, trzej potężni mężczyźni, jako pierwszy - Śmieszek. Niósł neseserek z błyszczącej granatowej skóry, a za rękę prowadził dziesięcioletniego chłopca o koślawych stopach, ubranego w oliwkowy więzienny drelch. Chłopiec miał ręce związane sznurem. Syn Vlory podprowadził chłopca do plamy światła słonecznego pod oknem, mały skrzywił się i zmrużył oczy.

- Aha, to jesteśmy w komplecie - zaczął Vlora, zwracając się do Więźnia. - Przejdźmy do rzeczy, szkoda czasu. Ten chłopiec to Cygan, ma wadę wrodzoną. Nie chodzi tylko o stopy, ma też bezwładną rękę, lewą, pozbawioną zupełnie czucia i wrażliwości na ból. Jest niedorozwinięty umysłowo - głuchoniemy. Zabił swoich rodziców, gdy spali. Czyn, który można zrozumieć, ale nie można go puścić płazem. Ktoś mógłby powiedzieć, że lepiej by było dla niego, gdyby nie żył. Ale my go nie mamy zamiaru zabijać. Nie do nas należy osąd. Prawdę mówiąc, możemy go puścić wolno. Wszystko zależy od pana.

Na sygnał Vlory Śmieszek położył neseserek na stole, pstryknął zamkami, podniósł pokrywę i wyciągnął ze środka torbę z przezroczystej folii zamykaną na rzemień. Oczy chłopca rozszerzyły się ze zdumienia i strachu, gdy oprawcy wsunęli mu torbę na głowę. Vlora zerknął na zegarek, jakby sprawdzał, ile ma czasu do następnego umówionego spotkania.

- Śmierć przez uduszenie jest straszna - rzucił od niechcienia. - Ale jeszcze gorzej jest umierać w ten sposób wielokrotnie, raz za razem, nieustannie. Póki nie ujawnisz mi swojego prawdziwego nazwiska i natury swojej misji, a także nie dostarczysz informacji, które umożliwią nam sprawdzenie, czy to prawda, zamierzamy dusić tego chłopca wielokrotnie, choć nie pozwolimy mu umrzeć. Jego los jest w twoich rękach. Ale proszę, nie czuj się do niczego zmuszany. Masz czas. Jak już mówiłem, dość się wycierpiałeś. - Jeden z oprawców zaciągnął rzemień i zawiązał węzeł. Drugi chwycił chłopca za barki i trzymał go mocno, gdy ten się szarpał, gdy oczy wychodziły mu na wierzch ze strachu, a usta otwierały się szeroko w bezgłośnym krzyku, który nie zakłócał sączącej się melodii *Nad pięknym modrym Dunajem*.

- Jest mi przykro - powiedział Vlora ze smutkiem. - Naprawdę. Bardzo przykro. Ale bezpieczeństwo tysięcy ludzi jest ważniejsze niż ból jednostki. - Wstał, podszedł do drzwi, otworzył je szeroko. - Zapraszam! - rzucił w półmrok poczekalni, na co wszedł Tsu i skrzypiący stary lekarz z czarną walizką. Lekarz szybko ulokował się w kącie, a Tsu zajął miejsce Vlory

za stołem. - Od tej chwili zastępuje mnie major Tsu - oznajmił Vlorę. Przyglądał się więźniowi z ojcowską cierpliwością. - Za bardzo ci już spowszedniałem. O, tak. Za dobrze ci z tym. Widać to wyraźnie. Major Tsu odnowi twoje zainteresowanie sprawą. A nie pomyśl sobie czasem, że ten chłopiec to aktor. W żadnym razie. Jeśli wątpisz, teraz dostaniesz dowód.

Ruchem głowy Vlorę wskazał chłopca, na co Śmieszek wyciągnął z kieszeni składany nóż, otworzył i odciął wrzeszczącemu chłopcu mały palec, po czym rzucił go od niechcenia na stół przed Więźniem. Palec upadł koło koszyka z owocami.

Śledczy zgromił syna spojrzeniem pełnym wściekłości.

- Niech cię szlag trafi! - zaklął, kipiąc ze złości. - Niech cię szlag trafi!

Wbrew temu co było ustalone, syn Vlory nie odciął palca z ręki pozbawionej czucia, lecz z tej drugiej, o normalnej wrażliwości na ból. Vlorę odwrócił się i gniewnie wymaszerował z sali nękany przez moment kłującą wątpliwością (co mu się zdarzało od czasu do czasu), czy rzeczywiście dobro tysięcy wolno okupić cierpieniem jednostki.

Zazwyczaj dusił taką wątpliwość w zarodku.

Tym razem tego nie uczynił.

Wydarzenia, które nastąpiły później, analizowano potem dokładnie, ale nigdy ich do końca nie wyjaśniono; bezspornych faktów było bowiem bardzo mało. Wychodzącemu Vlorze gorliwie zasalutowali dwaj uzbrojeni strażnicy postawieni pod drzwiami. Stamtąd Śledczy poszedł prosto do swojego gabinetu, mijając po drodze innych strażników na posterunkach. Po trzydziestu siedmiu minutach nagle coś go tknęło i postanowił zakończyć eksperyment Tsu, więc wypadł z gabinetu, jakby szukał zwady, i szybkim krokiem podążył do sali przesłuchań. Wartowników na posterunku pod drzwiami nie było. Vlorę znalazł ich wewnątrz pomieszczenia, bez mundurów i broni. Byli nieprzytomni, ogłuszeni, pod wpływem leków narkotycznych pochodzących z walizeczki lekarza. Sam lekarz nie miał żadnych obrażeń, najwyraźniej jednak doznał śmiertelnego zawału serca. Ponieważ zaś upośledzony chłopiec żył, oznaczało to, że zamordowanych było czterech, a nie pięciu, jak sądzono początkowo. Jeden z oprawców zginął od miażdżącego ciosu w tchawicę, prawdopodobnie nasadą dłoni, drugiemu złamano kręgosłup jednym uderzeniem w kark, majorowi Tsu zgruchotano czaszkę o ścianę. U Śmieszka, syna Vlory, śmierć nawet się nie odmalowała na twarzy, może tylko w oczach, w których zastygło na zawsze coś, czego nikt nie umiał z wszelką pewnością zidentyfikować, ale co najbardziej przypominało zdziwienie.

Miał skręcony kark.

Dwaj wartownicy, którzy przeżyli, nie mieli wiele do powiedzenia. Jeden zeznał, że usłyszał „skrobanie” za drzwiami, więc zajrzał do sali, Więźnia ujrzał „tylko na mgnienie oka”, po czym poczuł jego dłonie na szyi i natychmiast stracił przytomność „wskutek jakiegoś ucisku na nerwy”. Drugi wartownik, który zajrzał zaraz po pierwszym, opowiedział mniej więcej to samo. Podobnie czterej inni wartownicy na innych piętrach. Dlaczego Więzień darował im życie, nie mieli pojęcia. Nikt nie miał pojęcia. Wszczęto gorączkowe poszukiwania, przesłuchania, wezwano ekipy kryminologiczne, lecz w sumie skończyło się na niczym. Gdy zapadł zmrok, labirynt korytarzy gmachu Służby Bezpieczeństwa Państwowego wypełniły gorączkowe szept i paranoiczny lęk; ani jedno serce nie biło równo i spokojnie.

Więzień uciekł.

Trzy dni później, wieczorem w niedzielę 17 maja, dokładnie 40 minut po zachodzie słońca, w stodole w górskiej wiosce Domni spotkało się - jak każdej niedzieli o tej porze od wielu miesięcy - siedmiu młodych mężczyzn tracących już nadzieję. Dwudziestoparoletni krzepcy wieśniacy rozmawiali mało i szeptem, żeby wzbudzająca groźbę bezpieka nie odkryła ich obecności. Przy pierwszych spotkaniach kipieli jeszcze podnieceniem, cieszyli się swoją misją, zapierającym dech w piersiach niebezpieczeństwem tych tajnych zgromadzeń, ale młot czasu stępił ich entuzjazm, została nuda, nawyk, poczucie obowiązku. Siedzieli skuleni w ciemnościach na zasianym słomą klepisku i czekali na człowieka, który miał przyjść, a nie przychodził.

- Co myślicie? - przerwał ciszę chrapliwy szept. - Myślicie, że go złapali? - ciągnął muskularny kowal z pobliskiej wioski Driszti. - Może nie żyje?

- Cieszę się, że was widzę w dobrym zdrowiu.

Mężczyźni aż podskoczyli. To był obcy głos. Nie należał do żadnego z nich. Zerwali się na równe nogi ogarnięci nagłym lękiem. Kim jest ten ktoś w ciemności, ten obcy? Kto to taki? Skąd się wziął? Niczego nie widzieli ani nie słyszeli. Żadnego skrzypnięcia drzwi. Żadnego ruchu. Żadnych kroków.

Pierwszy opanował się młody kowal.

- Gość w dom, Bóg w dom - zaryzykował głosem pełnym nadziei. Czuł, jak mu serce wali, gdy dodawał pierwszą część hasła: - Powiedz, czy przybywasz tą mniej uczęszczaną drogą?

Więzień postąpił krok w przód i podał odzew:

- Gdyż stworzenie z upragnieniem oczekuje objawienia.

Kowal odetchnął głęboko.

- Księżę biskupie! Witamy! Nareszcie!

Po chwili młodzi mężczyźni jak jeden mąż klęczeli szeregiem na klepisku stodoły ze skłonionymi głowami, a Więzień podszedł lekko do pierwszego z nich, kowala, położył mu dłonie na głowie i wypowiedział szybko i płynnie formułę katolickiej modlitwy wyświęcenia:

- Prosimy Cię, Ojcze wszechmogący...

Obrządek trwał mniej niż minutę, Więzień przeszedł do następnego mężczyzny, nałożył ręce i powtórzył modlitwę, potem przechodził do kolejnych, aż za siódmym razem jego dźwięczny pewny głos zaczął się łamać, pozbawione paznokci dłonie zadrżały, skończywszy zaś, padł na kolana i zaniósł się płaczem. Świeżo wyświęceni księża popatrzyli po sobie.

Vlora stał nad swoim biurkiem w mroku i ciężko oddychał.

Czuł widmowy zapach martwych kwiatów w wazonie. Rozległo się pstryknięcie włącznika lampy biurkowej. Śledczy położył w kręgu światła zagadkowy przedmiot, tajemniczy symbol - cały i nienaruszony. Znalazł go w ustach swojego zamordowanego syna, ktoś go tam wepchnął.

Złocista dojrzała morela.

- Dimiter - wymamrotał głucho Vlora.

Tak brzmiało imię agenta z piekła rodem.

CZEŚĆ DRUGA

**JEROZOLIMA**

1974



## ROZDZIAŁ 1

Doktor Moses Mayo każdy dzień rozpoczynał tak, jakby oczekiwał, że wieczorem nastąpi koniec świata. Nie miał lepszego sposobu na radzenie sobie ze zgrzyzotami, jakie ów świat niósł, i z cichym przerażeniem związanym z tym, że jest się kruchą istotą ludzką. Budził się codziennie pod chłodnym dotykiem świtu; o siódmej, żując bajgla z makiem i popijając słodką herbatę, tkwił już przy biurku nad ponurymi nagłówkami „Jerusalem Post” i mamrotał: „No i co z tego? Dziś nastąpi koniec świata”. Jednakże tego poranka w początkach marca było inaczej. Neurolog ocknął się w środku nocy w swoim ciasnym mieszkaniu służbowym na terenie kliniki Hadassa z jakimś tętniącym lękiem. Całkowicie rozbudzony leżał nieruchomo i wpatrywał się w ciemność, nasłuchując brzęczenia i furkotu własnych myśli. Miał jakiś sen. Śniło mu się coś dziwnego. Ale co? Podniósł się, zapalił lampkę nocną i mrużąc oczy, spojrzał na wskazówki małego budzika o okrągłej tarczy, który tykał głośno w ciszy kręgu światła lampy. Mayo jęknął. Druga w nocy. Westchnął, opuścił stopy na podłogę, wsparł głowę na dłoniach i poczuł, że spływa na niego przemożny smutek, przygnębienie. Skąd się to wzięło? - zastanawiał się. Z tego snu? Patrząc tępo na podkurczone białe palce u stóp, Mayo poruszył nimi leniwie.

Wczorajszej nocy umarł mu jeden pacjent. Potem zawsze przychodzi poczucie winy i zwątpienia. Czy to właśnie to? A może to wciąż skutki tego horroru na oddziale psychiatrycznym, tego wstrząsającego mordu, którego nikt nie był w stanie pojąć? Mayo podrapał się po wątlej piersi przez flanelę piżamy w czerwono-białe pasy. Nie, uznał, to ani jedno, ani drugie, Wstał i poszedł do łazienki wyłożonej białymi kafelkami. Jego stopy wydawały miękkie plaśnięcia na posadzce. Zapalił światło, odkręcił kran, chlapnął sobie na twarz zimnej wody. W rurach szczęknęło, zabulgotało obudzone powietrze, lecz ucichło zaraz. Tak cicho, pomyślał Mayo. Chorzy śpią.

- Ale ja nie śpię - mruknął do siebie. - Ja nie.

Wysuszywszy twarz wytartym spłóviałym niebieskim ręcznikiem, Mayo zerknął w lustro, skąd spojrzwały na niego smutno i jakby z wyrzutem zielone oczy w kościstej twarzy przykrytej z góry szczecinią stalowoszarych włosów.

- Dyletant! - mruknął z goryczą. - Oszust.

Zagłębił się w myślach o pacjencie, który zmarł. Odwiesił ręcznik na haczyk i znów spojrzął do lustra, przyglądając się teraz nieznacznemu znamieniu, mlecznobiałemu owalnemu zagłębieniu przy opadającym kąciku prawego oka. Co też mi się śniło? zadał sobie znów pytanie. Niczego sobie nie przypomniawszy, odwrócił się od lustra.

I wtedy nagle sen otworzył przed nim swe serce; zaczynał, się od Dzieciątka Jezus w wieku około pięciu lat. Jezus ubrany tylko w przepaskę i brązowe skórzane sandały, ze stetoskopem dyndającym na szyi, z pełną powagą robił obchód pacjentów na oddziale neurologicznym. Wiódł za sobą orszak studentów, skrupulatnie notujących każde słowo, do łóżka ślepcy, którego uzdrowił przy sadzawce w Betsaidzie. Jezus miał łagodny i słodki wyraz twarzy, a jego postać spowijała delikatna biała poświata. Krzepiąco kiwnął głową ślepcowi.

- Znów się widzimy - powiedział z uśmiechem.

Adresat cudu leżał sztywno na poduszkach, nie odpowiadał, oczy miał pełne lęku i podejrzliwości. Jezus zdjął kartę choroby z poręczy łóżka, przestudiował i odwiesił na miejsce, po czym zwrócił się do studentów, którzy pilnie podnieśli notatniki i pióra.

- Mamy tu przykład autentycznego cudu - oświadczyło Dzieciątko Jezus. Wytknęło pacjenta palcem wskazującym, na którym miało plaster z opatrunkiem. - Ten człowiek był niewidomy od urodzenia - opowiadało - więc zaaplikowałem mu na palcu odrobinę śliny, a następnie zapytałem, czy widzi. Odparł: „Tak. Widzę. Widzę ludzi. Ale gdy chodzą, dostrzegam ich niby drzewa”.

Na te słowa eksniewidomy najwyraźniej się rozluźnił, jakby w końcu zrozumiał, że ci ludzie nie przyszli tu, żeby go oskarżyć o jakąś zbrodnię albo na przykład o niedostateczną wdzięczność, i że cud przywrócenia wzroku nie zostanie cofnięty. Zamknął spokojnie powieki i skinął głową jakby na potwierdzenie tego, co słyszał.

- Więc wykonałem drugi zabieg - ciągnęło Dzieciątko - tym razem bez śliny, zastosowałem samo dotknięcie czubkami palców. I od razu zobaczył wszystko jak trzeba, bez zniekształceń. I zwracam państwa uwagę, że dopiero to był faktyczny cud, to drugie nałożenie rąk. Dzieciątko popatrzyło po studentach, którzy pilnie notowali. - Czy może mi ktoś powiedzieć dlaczego? - zapytało dobrotliwie.

Dziewczyna o fioletowych włosach podniosła zaciśniętą w pięść wytatuowaną dłoń, po czym rozpostarła palce i z dłoni z furkotem wyfrunęła nieskazitelnie biała gołębicą.

- Słucham - zwróciło się do niej Dzieciątko, unosząc brwi wyczekująco.

- No więc tak, jeśli ślepotą miała podłoże psychosomatyczne... - zaczęła, ale eksniewidomy gwałtownie podniósł powieki i wpadł jej w słowo:

- Nazywa mnie pani kłamcą? - spytał gniewnie.

Gołębicą krążyła nad grupą i od czasu do czasu pikowała, dziobiąc na oślep do krwi.

- Nie - odparła studentka - ja tylko chciałam powiedzieć, że przyczyna nie ma tu znaczenia.

Po wielu latach niewidzenia człowiek nie ma poczucia głębi ani nie potrafi wyodrębnić konturów i kształtów. Czy pamięta pan, jakie to było przykre, gdy otworzył pan oczy? Wszystko co pan widział, to była skłębiona masa światła i jaskrawych barw, prawda? Owszem, oczy były naprawione, ale mózg wciąż nie umiał przetwarzać danych wizualnych. Potrzeba miesięcy ciężkiej pracy, by nauczyć się rozróżniać kilka prostych przedmiotów.

Ślepiec udobruchany przymknął oczy i bezgłośnie pokiwał twierdząco.

- Oczywiście, że pan nie kłamie - podsumowała studentka. - Pańską prawdomówność potwierdza to, że po odzyskaniu wzroku widział pan najpierw ludzi, którzy wyglądali jak drzewa. Jako kłamca zdemaskowałby się pan, twierdząc, że od razu widział pan idealnie.

Nagle gołębicą rzuciła się błyskawicznie w dół i uderzyła Dzieciątka w delikatny jasny policzek. Z rany trysnęła krew, plamiąc białą pościel na łóżku ślepego. Krew płynęła pulsującym strumieniem, a gołębicą stała się zakrwawioną uskrzydloną strzykawką, która odleciała korytarzem, szybko machając skrzydłami, po czym błysnęła, zakręcając za rogiem, i znikła. Na koniec snu fioletowowłosa studentka stała przed Mayem w wiktoriańskich wdowich szatach. Podniosła rękę i pokazała trzymane w dłoni trzy jaskrawozielone, połyskujące od rosy owoce; w drugiej ręce trzymała zwiniętą gazetę.

- Kuzynko Harriet - wyrzekła smętnie - oto egzemplarz „The Boston Evening Transcript” i kilka ślicznych zatrutych fig.

Mayo położył palec na ustach i skinął głową, myśląc, że wie, co spowodowało ten sen. Ostatnio czytał ten właśnie fragment Ewangelii świętego Marka, w którym ślepiec uzdrowiony w Betsaidzie z początku „dostrzegał ludzi niby drzewa”, a przejrzał zupełnie dopiero po powtórnych nałożeniu rąk. Mayo był zaprzysięgłym agnostykiem, choć tajemniczość konstrukcji ludzkiego ciała kazała mu wierzyć w jakąś bezpostaciową inteligencję istniejącą w świecie, którą

czasami nazywał „Maurycym”. Dlatego też ta opowieść z Ewangelii zbijała go z tropu. I irytowała. W czasach Chrystusa lekarstwa na ślepotę nie znano. Więc jeśli uzdrowienie w Betsaidzie nie wydarzyło się naprawdę, skąd Marek mógł znać objawy „zespołu poślepotowego”? Mayo podniósł rękę, popatrzył na paznokcie, skinął głową. Tak, ten sen międlif ponownie jego własne rozmyślenia.

Ale skąd skrzydlata strzykawka? Krew? Zatrute figi?

Neurolog dokończył poranne ablucje, ubrał się, zagotował wodę na elektrycznej maszynie, zaparzył sobie herbatę w wielkim białym porcelanowym kubku, posłodził ją szcudrze i zabrał ze sobą na korytarz oświetlony mdłym światłem. Tu stał chwilę w milczeniu, nieruchomo, niezdecydowanie, ze zwieszoną głową, ręką w kieszeni lekarskiego kitla, który tak samo jak wygniecione workowate spodnie był stanowczo za duży na jego patykowate ciało. Wyglądał tak, jakby nie nosił ubrań, lecz mieszkał w nich.

- Cuda! - wymamrotał. Cuda stały się nagle w tych aseptycznych korytarzach równie pospolite jak jęki żołnierzy na oddziale oparzeń nocą. W poniedziałek pielęgniarka Samia Maroon doniosła mu bez tchu, że widziała jakąś zjawę. Potem ten dwulatek na onkologii dziecięcej z mięsakiem mięśni prądkowanych, złośliwym i bardzo szybko rozwijającym się nowotworem tkanek miękkich, nieuleczalnym i śmiertelnym. Od tygodni na zdjęciach rentgenowskich klatki piersiowej chłopca widać było rozrastający się nieustannie guz. I nagle, z dnia na dzień, guz znikł. Przyglądający się prześwietleniu onkolog aż zaklął ze zdumienia. Chłopiec cierpiał też na zespół Riley-ya-Daya, zagadkową uwarunkowaną genetycznie neuropatię, która dotykała wyłącznie aszkenazyjczyków, potomków Żydów z Europy Środkowej i Wschodniej, a objawiała się między innymi zniesieniem wrażliwości na ból. Choroba i jej wszelkie symptomy po prostu znikły, tak samo jak nowotwór. Maurycy! - pomyślał Mayo. Ten cholerny *ganew* przestrzega tylko własnych reguł! A jeśli idzie o zjawę, którą widziała pielęgniarka: to niemożliwe!

Wpatrując się w herbatę, neurolog westchnął smętnie; o tej porze nie dostanie się bajgla z makiem. Szkoda, że nie lecą z nieba jak manna. Powlókł się dalej z niepocieszoną miną koło zasłoniętych jeszcze żaluzjami okienek agencji Izraelskiego Banku Państwowego i minawszy dwuskrzydłowe drzwi, wyszedł z uniwersyteckiego wydziału medycyny na kamienny dziedziniec, skąd poszedł do holu izby przyjęć szpitala.

Dwie tęgie kobiety myły podłogę, chlapiąc wodą z mydlinami i hipnotycznie rozsmarowując je po beżowo-czarnych płytkach terakoty. Każdy dźwięk w przepastnym holu rozbrzmiewał echem. W ciągu dnia kłębił się tu tłum, teraz panowała cisza i prócz sprzątaczek nie było żywego ducha. A, jest jeszcze ktoś, zauważył z irytacją Mayo. Stary pomarszczony Arab z twarzą szarą od nieogolonego zarostu, w wytartym garniturze, granatowym w prążki, siedział na jednej z cedrowych ławek, na których czekając na swoją kolejkę, siadywali pacjenci umówieni na wizytę w ambulatorium. Wyprostowany jak struna chudy Arab wpatrywał się w Mayo intensywnie, jakby z nadzieją i wyczekiwaniem. *Meszuge*, pomyślał Mayo, wariat. Z cichym jękiem skierował się ku ławce i usiadł.

- Dzień dobry - przywitał się po arabsku.

- Dzień usłany różami.

- Dzień obsypany złotem. Powiedz mi, mój bracie, po co tu przyszedłeś tak wcześnie? Przecież już to przerabialiśmy, przyjacielu, prawda? - Mayo spotkał go ostatnio, wracając z nocnego wezwania do pacjenta, którego nękał nie do zniesienia ból fantomowej kończyny. Stary Arab miał niewzruszone przekonanie, że jeśli nie stawi się jako pierwszy w kolejce do przychodni, nie zostanie obsłużony, bo jest Arabem.

- Czy lekarz cię w zeszłym tygodniu nie przyjął?

- Przyjął.

- Udzielił porady, dał leki?

- Tak.

- No to po co znowu przyszedłeś, przyjacielu?

- A dlaczego nie?

Mayo wyjął wargi. Zatkaną go. „A dlaczego nie” pełni w potocznym arabskim taką samą funkcję jak w jidysz „nu”, czyli jest odpowiedzią mglistą, wieloznaczną, pozwalającą na niezliczone interpretacje. Zanim jednak neurolog spróbował się dowiedzieć czegoś więcej, Arab dotknął palcami skroni i oznajmił żałośnie:

- Kiedy muszę. Mam coś nowego. Rozboliła mnie głowa.

- Ale nie ma potrzeby przychodzić tak wcześnie. Naprawdę. Arab czy Żyd, bez różnicy. Czy już się, bracie, o tym nie przekonałeś?

- Cóż, jest wojna.

Mayo zerknął na formularz zgłoszeniowy, który Arab trzymał zrolowany w lewej dłoni. Widząc to spojrzenie, Arab zacisnął dłoń; rozległ się lekki szelest zgniatanego papieru.

Mayo podniósł wzrok z nieprzeniknioną miną.

- Wypełniłeś formularz? - zapytał spokojnie.

- Tak.

- I znowu napisałeś, że jesteś Portorykańczykiem?

Arab miał spojrzenie winowajcy, ale przekorną minę.

- A dlaczego nie?

Mayo spuścił głowę, po czym znów popatrzył starcowi w oczy.

- Jesteś rolnikiem, przyjacielu?

- Sklepikarzem.

- Sklepikarzem. A czym handlujesz?

- Pamiątkami.

- Ach, rozumiem. Interes kiepsko idzie ostatnio?

- Tak. Kiepsko. Bardzo kiepsko. To ta wojna.

Mayo przyglądał się twarzy Araba. A potem wstał energicznie.

- Na górze zrobią ci prześwietlenie czaszki - oświadczył - ale podejrzewam, że bóle głowy masz ze stresu. Gdy wrócą turyści, przejdzie ci. Tymczasem jedz więcej pieczonych zielonych bananów. To zalecenie lekarskie. Mają dużo potasu, przyjacielu. Twoi krajanie za nimi przepadają. To portorykański specjał. Jedz ich dużo.

Mayo odwrócił się zamasyście i odszedł.

- Niech cię Bóg prowadzi - zawołał za nim Arab.

- Pieczone banany, pamiętaj!

Mayo ominął mokry mop sprzątaczkki i ruszył powoli w stronę wind. Jedna czekała otwarta, więc wszedł do środka i nacisnął czarny guzik z oznaczeniem „3”. Drzwi się zasunęły. Lekkie szarpnięcie i winda wzniosła się bezgłośnie. Zatrzymała się na „3”, lecz Mayo nie wysiadł. Pod wpływem impulsu nacisnął czarny guzik opisany „mem”, zjechał na dół, znów przycisnął guzik z trójką. Ponieważ w normalnych godzinach szpitalne windy były zapchane do niemożliwości, luz w kabinie napawał Maya poczuciem luksusu. W którymś momencie mruknął: „Do Krainy Zabawek poproszę”. Wysiadł z windy, pękając z zadowolenia.

Po drodze do gabinetu zatrzymał się przy dyżurce pielęgniarek, gdzie za wysokim kontuarem ładna ciemnowłosa trzydziestoparoletnia siostra pisała coś pilnie w księdze chorych.

- Dzień dobry, siostró Samio.

- Dzień dobry.

Pielęgniarka nawet na niego nie spojrzała. Mayo z westchnieniem spuścił głowę. Ostatnio naraził się jej, bo wykpił historię, którą mu z rozgorączkowaniem opowiedziała. Chodziło o chorą, niejaką Isabell Lakhme, kobietę w podeszłym wieku z łagodną demencją, która ostatnio doznała złamania kości biodrowej.

- Około pierwszej w nocy - zaczęła wtedy Samia - poszłam zajrzeć do pokoju 304, gdzie leży ten poparzony. Wyjrzałam na korytarz i kogo zobaczyłam? Przysięgam na Boga, nie kłamie! Panią Lakhme!

- Żarty sobie siostró stoisz.

- Przysięgam. Naprawdę. To była ona. Chociaż wyglądała trochę...

- Jak, siostró? Jak wyglądała?

- Kwitnąco. Wie pan? Jakby młodzieńczo. Odwróciła się, popatrzyła mi prosto w oczy i uśmiechnęła się. Szczeka mi opadła. Nie mogłam uwierzyć, że chodzi! Prawda? Więc zawołałam: Hej, Pani Lakhme! Po prostu szok. Poszła dalej, znikła mi z oczu, więc ja za nią. Ale gdy wyskoczyłam na korytarz, już jej nie było. Pusto. Znikła!

- Siostró...

- Nie, nie, niech pan posłucha, co było dalej. Poszłam prosto do jej pokoju i...

- Chce siostró powiedzieć, że nie było jej w łóżku?

- Nie, była. Leżała w łóżku. Spała.

- Powie mi siostró, o co właściwie chodzi?

- Chodzi o to, że gdy następnego dnia byłam w jej pokoju, przyszła z odwiedzinami jej córka i...

- Powiedziała im wtedy siostró, że ją widziała?

- Mógłby pan nie przerywać? Nie, nie powiedziałam. Nie powiedziałam ani słowa. Córka podeszła, wzięła ją za rękę i pocałowała. Widać było, że jest bardzo zmartwiona. Wie pan? Bliska płaczu. I powiedziała matce, że bardzo by chciała, żeby matka nie była na zawsze przykuta do łóżka. A wtedy pani Lakhme - przysięgam na Boga! To najszczęśliwsza prawda - mówi do niej: „Nie martw się. Wcale nie jestem przykuta. Ciągłe podróżuję z młodymi ludźmi”. A do

mnie zwróciła się z uśmiechem: „Siostra wie, że mówię prawdę, bo siostra mnie widziała wczoraj w nocy, prawda?”. O mój Boże, omal nie zemdląłam! Uwierzy pan?

- Nie - odparł neurolog. - A co więcej, siostra nie ma prawa mieć urojeń. To przywilej zarezerwowany dla lekarza naczelnego i personelu szpitalnego wyższego szczebla.

Nie należało z niej wtedy żartować, pomyślał Mayo ze skrucą. Słuchał przez chwilę skrobienia wiecznego pióra; pielęgniarka wciąż pilnie pisała, nie podnosząc głowy. Powiedziała mu też wtedy, że widziała tamtej nocy coś jeszcze. Mayo z powątpiewaniem spojrzął na szkarłatną gwiazdę Dawida przyszytą do za dużego, sztywnego od krochmalu białego czepka. Miał trudność z uwierzeniem bez zastrzeżeń w jej opowieści, a prawdę mówiąc, niespecjalnie się starał w nie uwierzyć, bo wiedział, że nie tylko jest neurotyczką, lecz także ma skłonność do wyrafinowanej paranoi. Któregoś dnia na przykład gorzko i głośno narzekała, że sprzedawcy w sklepie spożywczym koło niezamożnej dzielnicy Wzgórza Jerozolimskie, gdzie mieszkała, nie chcieli jej pomóc w odniesieniu torby z zakupami do samochodu, „bo cały personel w tym cholernym sklepie jest antyarabski”, podczas gdy w rzeczywistości właściciele sklepu są Palestyńczykami. Mayo czekał cierpliwie w nadziei, że pielęgniarka przestanie pisać, w końcu dał za wygraną i ciężko westchnąwszy, ruszył dalej. Za jego plecami skrobienie pióra od razu ucichło.

Mayo pokręcił głową i szedł dalej, przepychając się korytarzem zastawionym łózkami, na których leżeli śpiący niespokojnie ludzie. Awaria głównego komputera szpitala opóźniła wypisy dziesiątków chorych, których przyjęto tylko na rutynowe badania. Nad tym Mayo też pokręcił głową. Pod drzwiami swojego gabinetu pogrzebał w kieszeniach i wyciągnął klucz, ale wsunąwszy go w zamek, nie przekręcał, tylko przez chwilę w zamyśleniu patrzył w głąb korytarza, którego ciemnawy koniec wabił tajemniczością.

Tam, pomyślał. To było tam.

- Samia, zupełnie zwariowałaś - mruknął do siebie. Wyjął klucz z zamka, wrzucił z powrotem do kieszeni i pośpieszył do długiego holu z oknami, minął próżnujące teraz butle z tlenem i puste nosze na kółkach, aż dotarł do ściany udekorowanej kolorowymi postaciami z kreskówek, co oznaczało, że tu zaczyna się oddział dziecięcy. Zatrzymał się. Coś leżało na podłodze. Schylił się i podniósł; był to biały czepiec kucharza, malutki rozmiar. Prawdopodobnie fragment dziecięcego przebrania na święto Purim; Mayo uśmiechnął się ciepło i odłożył czapkę na stojący w oczekiwaniu na poranny obchód stolik na kółkach na leki. Za plecami usłyszał



lekkie metaliczne stuknięcie, jakby na posadzkę upadła igła. Obejrzał się szybko, ale nie było nikogo. Korytarz był pusty. Co spodziewałem się zobaczyć? - zapytał sam siebie. - Panią Lakhme? - dodał na głos.

Zatrzymał się przy oknie obserwacyjnym oddziału dziecięcego, popatrzył na wąskie szare metalowe łóżeczka, każde ze śpiącym dzieckiem. W zamyśleniu przyjrzał się ciemnowłosemu chłopcu, u którego znikł nowotwór i zespół Riley-Day. Ta podwójna remisja to była tylko część tajemniczych wydarzeń. Pojawiła się tu inna zagadka - ta druga nieprawdopodobna historia opowiedziana przez siostrę Samię.

Mayo zauważył jakiś ruch, spojrzał w tamtą stronę: jedno z dzieci nie spało, dwuletnia dziewczynka o różowych pulchnych policzkach. Leżała na boku z kciukiem w buzi. Spoglądała na Maya z psotnym uśmiechem, z czymś w rodzaju rozbawionego oczekiwania w oczach. Gdy zobaczyła, że lekarz na nią patrzy, usiadła z chichotem zadowolenia i klasnęła w rączki. Potem siedziała dłuższą chwilę bez ruchu, patrząc na Maya z nadzieją, ale w końcu wesołość w oczach z wolna zbladła. Dziewczynka westchnęła i wetknąwszy sobie kciuk z powrotem do buzi, położyła się i odwróciła głowę. Neurolog przyglądał się jej jeszcze jakiś czas zdziwiony, w końcu odwrócił się i odszedł, wciąż ściskając w ręku kubek herbaty, wychłodniałej już tak, jak i jego ciekawość sensu życia.

Przy drzwiach gabinetu ponownie się rozejrzał. Wydawało mu się, że w końcu korytarza coś mu mignęło, coś ciemnego, lecz gdy się odwrócił, znów nic nie zobaczył. Westchnął i pokiwał głową z politowaniem, otworzył gabinet i wszedł do środka. Groźny wirus Samia się rozprzestrzenia, pomyślał. Trzeba zawiadomić Światową Organizację Zdrowia! Poczłapał do dębowego obrotowego fotela czekającego wiernie przy biurku, usiadł i bez większego zainteresowania rozejrzał się po bałaganie panującym w pokoju. W czasach gdy był lekarzem naczelnym - z którego to stanowiska zrezygnował ku zdziwieniu wszystkich, gdy zaczął gwałtownie chudnąć - jego ciasny gabinet pasował do stanu jego umysłu: był cichą świątynią schludności i porządku. Ale po rezygnacji klitkowane sanktuarium zamieniło się stopniowo w zagraconą norę, w której książki i czasopisma medyczne przepychały się z jakimiś ciekawostkami, notatkami, a na pustych niegdyś ścianach tłoczyły się cytaty w ramkach, zdjęcia i takie osobliwości, jak wyblakła etykieta płynu w kolorze śliwkowym o działającej na wyobraźnię nazwie „Sok buraczany Nosferatu”; na etykietce tuż poniżej widniał napis „Produkt

importowany”. Wisiały też dwie plakietki z cytatami z izraelskiego satyryka Efraima Kiszona. Jedna nosiła tytuł „Rada dla chorych”:

*Nie grymas. Jeśli prosileś o rosół czysty, a dostałeś z kluskami, pielęgniarka ci powie: zjedz rosół, zostaw kluski.*

Drugi cytat z Kiszona brzmiał:

*Cóż można dziś dostać za funta? Przekleństwo żebraka!*

Cytaty wisiały strategicznie pośrodku między plakatem biura turystycznego, reklamującym wycieczkę do Carmel-by-the-Sea na wybrzeżu Big Sur w Kalifornii, a fotosiem z *Casablanki* przedstawiającym żegnających się kochanków w końcowej scenie filmu. Mayo traktował oba cytaty jako przestrogi przed zbytnim pośpiechem w marszu przez życie.

Smętnie spojrzał na śmietnik na biurku. Listy. Sprawozdania. Notatki służbowe. Pogryzmołone karteczki. Czubkami palców odsunął na bok część papierów, aż odsłonił się blat z bejcowanej sosny niczym fragment morza spośród lodowej kry. Odstawił kubek na oczyszczoną powierzchnię i zaczął myśleć o wykładzie, który miał zaplanowany na dziesiątą. Wiedział, że powinien się przespać. Ale był zbyt pobudzony, za bardzo prześladowało go jakieś mgliste złe przecucie. Pomyślał o tym plastrze na palcu we śnie. Co mógł oznaczać? Drzwi do gabinetu pozostawił otwarte na oścież, jak to miał w zwyczaju od czasu, gdy gwałtownie schudł. Teraz podniósł głowę i wyrztał na korytarz z dziwnie smutną, tęskną miną, jakby miał nadzieję, że zobaczy tam przechodzącą miłość z dawnych lat. W korytarzu jednak nie było żywego ducha. Mayo westchnął. Zateśnił za poranną gazetą, za balsamem zanurzenia się w rutynie, więc w desperacji sięgnął do kosza na papiery pod biurkiem i wyciągnął wczorajszy „Jerusalem Post”, rozłożył na biurku i zaczął czytać drugi raz, przeskakując wzrokiem z tytułu na tytuł. „Syria może wznowić wojnę sześciodniową”, „Ława przysięgłych skazała siedem osób z afery Watergate”, „Amerykańska studencka mania streakingu dotarła do Europy”, „W wyniku ataku Wietkongu zginęło 22 dzieci”, oraz „W Bangladeszu pyton pożarł kobietę”.

Przy ostatnich dwóch doniesieniach Mayo jęknął, lecz nic nie powiedział.

Zużył już wszystkie światy, które się mogły tego dnia skończyć.

Szukając czegoś pogodniejszego, zaczął czytać reklamę perfum „Hucpa” stworzonych przez Avivę Dajan, córkę szefa sztabu armii izraelskiej. Przy tej lekturze Mayo odnalazł wreszcie ironiczny uśmiech, którego mu brakowało. Z ustami wydętymi w prowokacyjne, nadąsane „o” Aviva Dajan patrzyła na neurologa uwodzicielsko. Linijki pod zdjęciem zachwalały nowy zapach:

*Arogancki! Bezpośredni! Prowokujący!  
Ale równocześnie odświeżająco naturalny,  
jak rodowite Izraelki,  
dla których został stworzony!*

Na dole reklamowano jeszcze jedne perfumy:

*Mazel Tow - perfumy, które przynoszą szczęście!*

Szelest papieru zmieszał się z chichotem, Mayo przewrócił stronę i zajrzał do działu miejskiego zatytułowanego „Co dziś w Jerozolimie”.

*Czwartkowy spacer: czternaście stacji do bazyliki Grobu Świętego. Darmowa przekąska w chińskiej restauracji Mandaryn. Zbiórka: kaplica Biczowania.*

Uśmiech. W jeszcze lepszy humor wprawiły Maya dwie notatki na ostatniej stronie gazety:

*Policja londyńska prowadzi obławę na cierpiącego na wzdęcia funkcjonariusza, który nie przeprosił.*

*Londyn (Reuters) - Policja brytyjska poszukiwała we środę funkcjonariusza, na którego złożyła skargę pewna rodzina. Podczas rewizji w ich domu w Londynie funkcjonariusz puścił bąka i nie przeprosił. Rzecznik Scotland Yardu potwierdził dziś, że sprawą zajął się wydział do spraw etyki zawodowej.*

Druga notatka była również najzupełniej poważna:

*W Norwegii napalony łoś wziął mały żółty włoski samochód za samice, ale ponieważ jego erotyczne awanse pozostały bez odpowiedzi, zrobił na samochód kupę!*

- Znalazł się więc sposób - mruknął Mayo beznamyślnie - na problem oziębłych żon, które boli głowa.

Jego spojrzenie padło teraz na jeszcze dwa doniesienia, które już wczoraj zwróciły jego uwagę, choć nie wiedział dlaczego. Jedno mówiło o tym, że w ramach zmiany w kontyngencji pokojowym ONZ na wzgórzach Golan oddziały radzieckie zastąpiły jednostki albańskie, które opuszczają posterunek. Druga notatka dotyczyła zwłok mężczyzny znalezionych pod wieżą cerkwi rosyjskiej. Wprawdzie nie było jeszcze wyników sekcji zwłok, ale mężczyzna prawdopodobnie spadł ze stromych schodów wieży, co - jak pisano w artykule - tłumaczyłoby odniesione urazy, choć nie wykluczono wciąż wersji zabójstwa.

Bezpośrednią przyczyną zgonu było skręcenie karku.

Mayo oderwał się od lektury. Usłyszał jakiś trzask. Zerknął w róg pokoju, gdzie stał zakurzony czarny futerał na skrzypce oparty pod dziwnym kątem. Wewnętrzne dziecko Maya przyjrzało się futerałowi nieufnie: czyżby ostatni wysyp dobroczynnych zdarzeń nadnaturalnych oznaczał, że należy się liczyć z czającym się w korytarzach złem? Wolne żarty! Futerał ze skrzypcami po prostu się osunął i stąd ten dźwięk. Ale może to być znak ostrzegawczy od Maurycego, przypomnienie, że na skrzypcach trzeba ćwiczyć systematycznie. A w ogóle przywołanie do obowiązków. Dlatego też Mayo złożył „Jerusalem Post”, wrzucił z powrotem do kosza i zaczął grzebać w stosach papieru na biurku, chcąc znaleźć artykuły, które miał przejrzeć w ramach przygotowań do dzisiejszego wykładu.

Jeden z tych artykułów dotyczył rzadkiego i dziwaczego schorzenia neurologicznego, zespołu pedunkularnego Lhermitte'a, objawiającego się omamami, w których pacjent ma wrażenie, że widzi grupy liliputów, często bohaterów kreskówek, jak Prosiak Porky czy Kaczor Daffy, ubranych w mundury wojskowe, bywa, że esesmańskie. Drugi artykuł dotyczył bólu; zawierał wyniki niezwykłego doświadczenia przeprowadzonego niedawno na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles z udziałem mężczyzny w wieku sześćdziesięciu kilku lat nazwanego „Siwowłosym”. Eksperyment polegał na tym, że w cienką tablicę drewnianą o rozmiarach metr na metr wbito setkę gwoździ, tak aby wystawały ostrymi końcami na

wysokość około 2,5 cm. Aby się upewnić, że nie ma żadnego oszustwa, tuż przed eksperymentem kilkoro członków wydziału medycyny uniwersytetu sprawdziło dłonią, że gwoździe są ostre i wystarczy jedynie minimalny nacisk, by wbiły się w ciało. Następnie Siwowłosy zdjął koszulę i podkoszulek, położył się koło deski, przeturlał na nią plecami i ułożył na wystających gwoździach. Badany w żaden sposób nie okazywał, że czuje ból czy nawet niewygodę, leżał na gwoździach kilka minut, po czym „sturlał się z deski z szarpiącym nerwy dźwiękiem gwoździ rozdzierających ciało”. Nie zanotowano krwawienia z nakłuc z wyjątkiem jednego miejsca na barku, ale gdy tylko badanemu o tym krwawieniu powiedziano, natychmiast ustało. Są osoby cierpiące na wrodzoną niewrażliwość na ból, bardzo rzadkie zaburzenie neurologiczne polegające na tym, że połączenia między nerwami przewodzącymi bodźce z receptorów bólowych a mózgiem z nieznanymi jeszcze przyczyn są nieczynne. Badany mężczyzna jednak do takich osób nie należał.

- Ciekawa z ciebie osoba, Maurycy - mruknął Mayo, czytając jeszcze raz artykuł. - Niektóre z twoich stworzeń nie ronią łez, a inne zrobiłeś tak, że nie czują bólu. Czy to błogosławieństwo czy przekleństwo?

- Czy czegoś panu potrzeba, doktorze Mayo?

Mayo podskoczył.

Przed biurkiem stał wysoki brodaty blondyn o grubo ciosanych rysach ubrany w biały szpitalny uniform, wolontariusz, który pełnił w szpitalu obowiązki pomocy pielęgniarzkiej, ale większość czasu poświęcał na czytanie pacjentom książek na głos.

- Ach, to ty, Wilson. Nie słyszałem, kiedy wszedłeś.

- Właśnie przechodziłem i pomyślałem, że może coś panu doktorowi trzeba.

- Owszem. Czy mógłbyś mnie nauczyć teleportacji?

- Przepraszam, czego?

Z korytarza dały się słyszeć zbliżające się kroki.

Wilson nieznacznie zerknął w tamtą stronę.

- Nie widziałem cię od tygodni, Wilson. Byłeś na wakacjach czy coś w tym rodzaju? - zapytał Mayo z lekką drwiną w oczach. - Pławiłeś się rażno w Morzu Martwym, napawając się urokami przyrody, upijając koszernym winem, objadając pastą z ciecierzycy i radując się życiem? - Mayo popatrzył na korytarz, którym właśnie przechodził rudobrody franciszkanin w brunatnym habicie, grzechocząc paciorkami różańca z drewna oliwnego.

Ojciec Dennis Mooney, czterdziestoparoletni przystojny wielbiciel cygar i długich opowieści, opiekował się kościołem na Polu Pasterzy w osadzie Bet Sahur pod Betlejem. Odwiedzając od czasu do czasu Jerozolimę, zawsze przychodził z posługą duszpasterską do szpitala Hadassa. Mayo nie przepadał za nim, męczyła go jego gadatliwość, więc ucieszył się, że ksiądz nie zatrzymał się na pogawędkę.

Przeniósł wzrok na wolontariusza.

- Co ci się stało w rękę? Oparzyłeś się?

- Gorący piecyk.

- Piecyk srecyk! Zrozum, Wilson: nie można podsmażać pianek cukrowych w ten sposób, że się polewa macę naftą, a potem zapala zapalką. Potraktowana w ten sposób maca na pewno zaatakuje. I przestań obgryzać paznokcie, na miłość boską. Po co tu się snujesz o tej porze? Komu tu czytasz na głos, Wilson? Nietoperzom?

- Byłem na oddziale poparzeń. Tam są ludzie, co nie mogą spać.

Mayo spuścił oczy i kiwnął głową.

- Tak, wiem - mruknął.

- Schodzę na dół, do laboratorium. Potrzebuje pan czegoś?

- Nie. Niczego. Dziękuję za troskę.

Mayo znowu wpadł w ponury nastrój, srebrzysta zbroja humoru okazała się za ciężka, by ją nosić dłużej. Wilson stał jeszcze chwilę, przyglądając mu się uważnie, po czym bez słowa odwrócił się i wyszedł. Mayo podniósł głowę i popatrzył za nim. Raz w miesiącu Mayo jeździł do Ramalli, gdzie jako wolontariusz pomagał w leprozorium prowadzonym przez austriackie zakonnice. Spotkał tam ze dwa razy Wilsona. Czytał książki lub gazety trędowatym, którzy nie umieli czytać bądź stracili wzrok. To przypominało neurologowi o jeszcze jednym „cudzie”, tym razem dotyczącym pewnej pensjonariuszki leprozorium, grubokościstej wieśniaczki w podeszłym wieku, która stopniowo traciła wzrok. Siedziała sama, w milczeniu, w zaciemnionej celi i krzywiła się lub wydawała okrzyk bólu, jeśli nie daj Boże nagle odsłonięto okno. Dwa miesiące temu wzrok jej powrócił. Trąd wprawdzie pozostał, ale nie musiała już tkwić w samotności.

- Muszę sobie zrobić operację nosa! - Do gabinetu wpadła Samia z szelestem wykrochmalonego fartucha. Opadła na zielony wytarty fotel ze skaju. - O, widzi pan?!

- Odwróciła się profilem, naciskając sobie czubek nosa palcem. - Potrzebuję naprawę dobrego chirurga plastycznego.

Mayo patrzył na nią w niemym zdumieniu. Pielęgniarka zapadła się głęboko w fotel, wyciągając daleko przed siebie stopy w obuwiu numer dziesięć.

- W przyszłym tygodniu mam na kolacji Amerykanów - mówiła dalej. - Co mam ugotować? Co mam im podać? Dania żydowskie? Arabskie? No co?

Gestykułując żywo i ciskając błyski z ciemnych oczu, wygłaszała zapalczywy monolog, przeskakując z tematu na temat: od prozowanej kolacji do wzgórz Golan i właściwej ilości soku cytrynowego w paście z ciecierzycy. W końcu tematy się skończyły, więc zerwała się z fotela i zaczęła przyglądać się zdjęciom i napisom na ścianach.

- Widzę tu sporo nowych rzeczy - zauważyła.

- A owszem.

- Czy to Wilson był u pana przed chwilą?

- Tak.

- On roztacza taką aurę spokoju. Zauważył pan to?

- Nie.

- Jest pan gruboskórny. On jest może trochę powolny, za to jaki ma uśmiech! Kolana się uginają! Tylko dlaczego nie zgoli tej brody? Wie pan, mieszka przy tej samej ulicy co ja, naprzeciwko. Wciąż go spotykam.

- To się dobrze składa, siostró.

- Tak, wiem. Jest fajny. Ale dla mnie za młody.

Mayo zrobił zdziwioną minę.

- Za młody? Przecież jest od siostry starszy.

- Skądże! Poza tym zadaje się z tymi szumowinami z „Clubu 2000”.

- A skąd ta wiadomość? Śledzi go siostra?

- Niech pan nie będzie taki mądry. Czasami patrzę na drugą stronę ulicy i widzę w mieszkaniu Wilsona faceta. Odsuwa zasłonki i wygląda na handlarza owocami, gdy usłyszy jego dzwonek. Widać, że jest w pizamie. Myśli pan, że Wilson jest homo-niewiadomo?

- Wątpię.

- Ale mógłby zgolić tę brodę. Zasłania mu twarz. A co to? Czy to coś znaczy? Co? To cytat z tego filmu? - Pielęgniarka wskazywała na wypisany drukowanymi literami tekst pod fotosem z *Casablanki*:

*Nigdy niczego nie planuję tak daleko naprzód.*

- Tak, to coś oznacza.

- Co?

- Nieważne.

- Nieużytek z pana. A to co znowu? - pytała znowu pielęgniarka. - To zdjęcie koło Merala, gdy dokonywał tamtego wielkiego aresztowania? - Patrzyła na zdjęcie dwóch uśmiechniętych nastolatków trzymających się za ramiona, zawieszane obok zdjęcia policjanta w mundurze. Pokazała palcem jednego z chłopców. - Ten tu to pan, prawda? Ten z lewej.

- Tak, to ja.

- A ten drugi to kto?

- Meral.

- W życiu bym się nie domyśliła.

- Dlaczego?

- Bo się uśmiecha.

Mayo spojrział na zdjęcie ze smutkiem, przypomniał sobie bowiem, że trzy miesiące po zrobieniu tego zdjęcia zmarła ostatnia żyjąca osoba z rodziny Merala, jego matka, a dwunastoletni Meral musiał się zająć organizacją pogrzebu.

- Jaki to spokojny człowiek - zauważyła pielęgniarka. - Czy się z kimś widuje?

- Ma siostra na myśli psychiatrę?

- Kobietę.

- Nie sędzę.

- Szkoda.

Pielęgniarce zabłyśły oczy.

- Ach, jak on sobie świetnie dał radę z tym wariatem na psychiatrii!

W samotności siódmego piętra, na oddziale chorób psychicznych, przebywali kiedyś dwaj chorzy na schizofrenię, którzy uważali się za Jezusów Chrystusów. Obaj byli spokojni i łagodni. Ale sześć tygodni temu jeden z nich zamordował drugiego. Zabójca, siedemnastoletni jeniec syryjski, który w bitwie utracił genitalia, ni stąd, ni zowąd poderzwał ofierze gardło trzydziestocentymetrowym nożem kuchennym, który następnie przyłożył do własnej szyi, grożąc samobójstwem. Służba ochrony szpitala nie wiedziała, co zrobić, więc ktoś wezwał Merala, nie



zważając na to, że jest środek nocy. W chwili gdy wszedł Meral, czarnobrody zabójca wygłaszał bełkotliwie kazanie jako dowód swojej nadprzyrodzonej misji. Na widok wchodzącego zamilkł nagle, a gdy Meral podszedł do niego z wyciągniętymi rękami, z otwartymi dłońmi, mówiąc cicho po arabsku: „Ibni, mój synu”, młody żołnierz wypuścił nóż, który upadł na podłogę, i rzucił się z rozłożonymi rękami w ramiona Merala, ściskając go, a Meral położył mu dłonie na głowie i wciąż powtarzał po arabsku: „Tak, mój synu, mój biedaku. Wiem. Wiem”.

- Był niesamowity - trąkotała dalej Sarnia, zwracając się znów do ściany. - Ma w sobie coś takiego ujmującego. Nie wiem, co to jest, ale człowiek mu ufa. Rozumie pan? Po prostu się mu ufa. A to co takiego? - Teraz wskazywała na plakietkę z napisem: „Cuba, si, Masada, no!” - Nie chwytam, o co tu...

- No dobra, niech już siostra przestanie! - przerwał jej bezceremonialnie neurolog. - Dajmy temu spokój. Proszę usiąść i opowiedzieć mi wszystko jeszcze raz od początku.

Pielęgniarka popatrzyła na niego zdezorientowana.

- Co mam opowiedzieć?

- Siostra już dobrze wie co.

- Nie, nie wiem.

- Tę historię z klaunem.

- A, to. - Machnęła ręką bagatelizująco i dalej się przyglądała zdjęciom. - Wie pan, tak naprawdę to nie jestem zupełnie pewna, czy mogę...

- Niech siostra przestanie, powiedziałem. Poddaję się. Nie powiem już ani słowa o paranoi. Przemyślałem sprawę i chcę wysłuchać jeszcze raz całej historii, ze szczegółami, ze wszystkim, co może sobie siostra przypomnieć. Zamieniam się w słuch, nie będę przerywał. Przysięgam.

Maska obojętności opadła z twarzy pielęgniarki. Z miną znamionującą wzruszenie i wdzięczność szybko podeszła do fotela ze skaju, ale tym razem nie zapadła się w nim z wyciągniętymi przed siebie nogami, lecz usiadła wychylona do przodu i zaczęła gorliwie opowiadać, co się zdarzyło dwa dni wcześniej, 11 marca o trzeciej nad ranem, gdy poszła na oddział pediatryczny, żeby się zobaczyć z Tzipi Tam, swoją przyjaciółką, która miała tam nocny dyżur. Po drodze zatrzymała się zdziwiona, spojrzawszy przez szybę na salę dziecięcą, gdzie klaun w kompletnym cyrkowym kostiumie i makijażu żonglował zręcznie trzema pomarańczowymi piłeczkami przed publicznością złożoną jedynie z dwójki dzieci, które nie spały: dziewczynki o różowych policzkach i chłopczyka z mięsakiem mięśni prążkowanych,

tego, który cudownie ozdrowiał. Skończywszy opowieść, siostra opadła na oparcie i złożyła ręce na piersi. Mayo zapytał, czy jest pewna daty wydarzenia. Była pewna.

Właśnie tego dnia rano okazało się, że u chłopca cofnęły się zarówno nowotwór, jak i zespół Riley-Daya.

- Czy wie siostra, kto to był? - zapytał Mayo.

Pielęgniarka rozłożyła ręce.

- Poznałaby go siostra?

- Przebranie, charakterystyka. Ruda peruka. Długa, kędzierzawa. Nie sposób - odparła.

- To musiał być ktoś z personelu szpitalnego - drążył Mayo.

- Nie mam pojęcia.

- Może ktoś wynajęty przez rodziców któregoś z dzieci?

Pielęgniarka zmarszczyła czoło.

- Tak pan myśli?

- Może któreś z dzieci miało urodziny.

- Kiedy?

- No, tego dnia. - Mayo pamiętał, że kiedy był na stażu w Kalifornii, spotkał się z tym, że rodzice z okazji urodzin dziecka wynajmowali klauna na rolkach.

Ale żeby w środku nocy?

- Nie wiem, doktorze. Dlaczego pan pyta?

- Mniejsza z tym. Był wysoki?

- Raczej tak. Wysoki. Solidny.

- Chodzi ci o to, że mocno zbudowany? Kawał chłopca?

- No właśnie.

- Czyli to mężczyzna.

- Nie jestem pewna.

- Nie wie siostra?

- Po prostu nie wiem na pewno, tylko tyle.

- Ale podejrzewa siostra, że facet?

- Widział pan kiedyś klauna kobietę?

- Nawet z paroma romansowałem. Rozmawiała siostra z nim?

- Nie. Przeszłam tylko.

- Widział siostrę?
- Nie wiem. Chyba nie.
- Nie przerwał żonglowania?
- Nie. Nie przerwał.
- Czy dzieciom to nie przeszkadzało?
- Były zachwycone. Dziewczynka wyciągała rączki, klaskała i chichotała.

Mayo spojrział na pielęgniarkę z nieprzeniknioną miną. Potem spuścił wzrok na biurko i pokiwał głową.

- Tak - rzekł z roztargnieniem. - Wierzę siostrze. To tak musiało wyglądać. - Znow podniósł wzrok. - Dlaczego nie wezwała wtedy siostra służby ochrony szpitala?

- Nie wiem. Pomyślałam, że to musi być z kimś uzgodnione i najpierw chciałam zapytać Tzipi. Tylko że jej nie było w dyżurce. Więc wróciłam, ale jego już nie było.

- Znaczą klauna?
- Tak, klauna.
- A dzieci. Nadal nie spały?
- Tylko chłopiec.
- Czy nie wyglądał jakoś szczególnie?
- Chłopiec? To znaczy jak?
- Może zdrowiej albo coś.

Pokręciła przecząco głową.

- Nie zauważyłabym.
- Proszę się zastanowić.
- Nie zauważyłabym, nie. To nie mój oddział, nie znam pacjentów.
- No tak, rzeczywiście.

- Czytałam gdzieś, panie doktorze, że w Europie pojawił się jakiś taki środek wywołujący amnezję, który mężczyźni wsypują potajemnie kobietom do napoju, a potem je gwałcą.

Mayo kiwnął głową.

- A, tak. Rohypnol.
- Czy to naprawdę działa?
- Co się tak siostra zainteresowała? Chce go sobie siostra sama dosypać?

Pielęgniarka prychnęła, później popatrzyła na neurologa z sympatią.

- Pan to ma poczucie humoru.

Mayo spuścił oczy.

- Uroda mija, humor pozostaje - mruknął.

- Czy o pani Lakhme też mam panu jeszcze raz opowiedzieć?

Mayo popatrzył na nią nieruchomo, po czym nachylił się i zaczął przerzucać papiery na biurku.

- Nie, teraz nie. Dziękuję. Muszę się przygotować do wykładu.

- Ach, ja też muszę lecieć. - Samia wstała. - Proszę mi dać znać, jak będzie miał pan jeszcze jakieś pytania.

- Na pewno.

- Dziękuję, panie doktorze.

- Za co?

- Wie pan przecież.

Pielęgniarka odwróciła się, wymaszerowała z gabinetu i znikła, ale Mayo spoglądał nieruchomo w pusty korytarz, póki jej kroki zupełnie nie umilkły. W jakimś czasopiśmie medycznym wyczytał, że lecznica zaburzeń snu w Londynie mieści się naprzeciwko Big Bena. Jeśli tamto było możliwe, to czy można wątpić w jakąkolwiek inną szaloną historię? Gdzieś sapnęły otwierane drzwi windy, po chwili zamknęły się z lekkim stuknięciem. To Maurycy wychodzi, zanim się pojawi niebiańska policja, pomyślał Mayo. I jak tu liczyć na to, że świat będzie racjonalny i przewidywalny, skoro wciąż nadziewamy się na jakieś hokus-pokus?

- A zresztą, co mi tam - mruknął. - Byle magia była biała.

Gdy spojrział na fotos z *Casablanki*, oczy zasnęła mu melancholia. Potem przeniósł wzrok na stos pogniecionych niedopałków papierosów Europa w popielniczce na biurku, a stamtąd na czerń za oknem. Nie mógł się doczekać, kiedy pokaże się tam gmach ONZ na wzgórzu na wschód od Ain Karim, miejsca urodzenia Jana Chrzciciela; uśmiechnął się jak zwykle na myśl, że siedzibę ONZ zbudowano na zboczu biblijnego Wzgórza Złej Rady. Po czym potulnie, choć bez większej ochoty wziął się do studiowania artykułu na temat bólu, sporządzając skrupulatnie notatki w liniowanym notesie. Dwadzieścia minut później rzucił pióro na bok. Ta gonitwa myśli. Złe przeczucia. Zły sen. Wstał i poszedł się włóczyć po pustych przed świtem korytarzach, mijając rozwieszane w równych odstępach napisy „Zachować ciszę”. Na oddziale poparzeń porozmawiał z niemogącym spać młodym żołnierzem, który przyniósł z pola bitwy

w październikowej wojnie Jom Kipur oderwane własne ramię w nadziei, że chirurgom uda się je przyszyć. „Pamiętam tylko, że wzięłem swoje ramię w drugą rękę” - opowiadał. Potem Mayo powędrował na czwarte piętro, na oddział neurologii. Wychodząc z windy, natknął się na ojca Mooneya. Franciszkanin przystanął, jakby się zawahał, nie wiedząc, co zrobić, ale szybko się rozpromienił i ruszył ku Mayowi z wyciągniętą do powitania dłonią. Neurolog skrzywił się wewnątrz. Niestrudzony gawędziarz potrafił zamęczyć każdego, kogo mu się udało złapać za guzik, niekończącymi się opowieściami mającymi świadczyć o jego szaleńczym poczuciu humoru, na przykład o tym, jak udawał kiedyś ciężarną zakonnicę na wózku inwalidzkim, gdy miał powitać jakiegoś księdza na lotnisku, a później, widząc zmartwiałego gościa, wołał: „Ach, Jim! Jak się cieszę, że to ty!”.

- Doktorze Mayo! Cieszę się, że pana widzę! - wykrzyknął Mooney.

Mayo położył palec na ustach.

- Ach tak, przepraszam. - Mooney zniżył głos. - Zapomniałem, że tak wcześnie. - Drzwi windy zaczęły się zamykać, lecz Mooney powstrzymał je dłonią. - Co tam u pana, doktorze?

- Jeszcze nie wążam kwiatków od spodu. Widziałem ojca wcześniej, jak przechodził koło mojego gabinetu.

- Rzeczywiście. Nie mogłem się zatrzymać. Szedłem z wiatykiem. Pilna sprawa. Tak to bywa. - Mooney podniósł rękę i zerknął na zegarek. To był gruby złoty rolex. - Muszę lecieć - westchnął. - W kaplicy ma być dziś wcześnie masa turystów. - Okrągłe ściany maleńkiego kościoła Franciszkanów były pokryte mozaikami, które przedstawiały aniołów z trąbami śpiewających *Gloria in excelsis Deo*, i niezależnie od pory roku, czy to był grudzień, czy lipiec, pod szklaną kopułą nawy gromadziły się tłumy turystów śpiewających kolędy, co często niespodziewanie głęboko ich wzruszało. Gdy Mooney wsiadał do windy, Mayo zauważył na jego szyi bliznę. Ksiądz odwrócił się, przycisnął guzik parteru, potem podniósł dłoń w geście pożegnania, a wtedy Mayo zauważył szeroki biały plaster z opatrunkiem na środkowym palcu.

- Mam dla pana kilka nowych opowieści, doktorze Mayo. Zapraszam do nas.

- Zajrzę na pewno - wymamrotał Mayo, myśląc o czymś innym.

- To świetnie. Im prędzej, tym lepiej. Dobrze? Im prędzej, tym lepiej.

Drzwi windy zamknęły się z szumem.

Zamyślony neurolog spuścił głowę i wepchnął ręce do kieszeni lekarskiego fartucha. Słyszał szarpnięcie ruszającej windy i zastanawiał się, dlaczego lodowate drętwienie w żyłach języ mu włos na karku.

Winda stuknęła, zatrzymując się na niższej kondygnacji.

Mayo podniósł wzrok i w zamyśleniu patrzył w głąb długiego korytarza z rzędami ponumerowanych drzwi do sal chorych. Zastanawiał się, co mu dolega. Które spośród kolorowej zatłoczonej palety dziwacznych zaburzeń umysłowych maznęło pędzlem jego umysł? Z poprzecznego korytarza wyłoniła się nagle biała plama pielęgniarki, następnie sylwetka sanitariusza, prawdopodobnie Wilsona. Mayo poczekał, póki nie zniknęli za rogiem, a potem poczłapał korytarzem i zatrzymał się przy drzwiach oznaczonych numerem 406. Zajrzał smętnie przez judasza, ale zobaczył tylko mrok, którego nie rozjaśniało nocne światelko. Ostatnim rezydentem tego pokoju był niejaki Ricardo Rey. Pacjent doktora Mayo. Ten, który umarł. Rey, miły i sympatyczny siwowłosy mężczyzna o postarzałej nieco twarzy cherubina, był urzędnikiem konsulatu hiszpańskiego. Trafił do szpitala po ciężkim udarze mózgu. W miarę jak mijały tygodnie rehabilitacji, Mayo nabierał coraz większego optymizmu, jeśli idzie o rokowanie, choć Hiszpan miał wciąż kłopoty ze wzrokiem: nie widział nic, co znajdowało się dalej niż 60 centymetrów. Później sprawa się dziwnie skomplikowała, bo Rey zaczął twierdzić, że widzi w pokoju różne osoby, których tam wcale nie było. I tak na przykład kiedyś Rey siedział na łóżku i rozmawiał z Mayem, gdy nagle przerwał w pół zdania, odwrócił się lekko w lewo, spojrzał i zagadnął aż nadto wytwornie, nawet jeśli uwzględnić, że miał do czynienia ze zjawą: „Najmocniej przepraszam, czy byliśmy sobie przedstawieni?”. Mayo z początku za bardzo się tym nie przejmował, uważał bowiem, że omamy są skutkiem uszkodzeń obszaru mózgu Reya odpowiedzialnego za przetwarzanie informacji wizualnych. W końcu jednak zaczął się trochę niepokoić, zwłaszcza po tym, jak zapytał pacjenta, czy zjawy coś do niego mówiły.

- Nie, nic - brzmiała odpowiedź.

- Nic? A do siebie nawzajem? Rozmawiają ze sobą?

- Nie.

- W takim razie co robią?

Na to Rey zagłębił się w myślach, jakby starannie ważył odpowiedź. Potem spojrzał na neurologa i odpowiedział:

- Są świadkami.

I właśnie ta odpowiedź wprawiła Maya w zaniepokojenie, choć po prawdzie nie był w stanie pojąć dlaczego.

Pięć tygodni później Rey zmarł.

Mayo podrapał się po nosie. Śmierć Reya. Dlaczego tak go ta sprawa nurtuje? W początkach kariery lekarskiej bardzo mocno przeżył śmierć pewnego pacjenta, gwiazdora filmowego tuż po sześćdziesiątce, który umierając, szepnął żałośnie: „Dopiero się tu zjawiłem...”. Z czasem jednak Mayo przyzwyczyił się do strat. A poza tym wiedział, że nie żał po stracie teraz go nęka; żał poznałby od razu.

Z daleka dobiegło stłumione dzwonienie nakryć stołowych i szkła. Mayo zerknął na zegarek. Dochodziła czwarta. Zaczęło się szykowanie śniadania dla chorych. A wkrótce w szarym świetle pokaże się sylwetka gmachu ONZ, pomyślał z zadowoleniem. Czyli nie wszystkiego, co nadchodzi, trzeba się bać.

Kontynuował przechadzkę po oddziale. Na skrzyżowaniu korytarzy skręcił w prawo, a gdy zobaczył, że w pokoju numer 422 jest zapalone światło, nastrój mu się znacznie poprawił. Był to pokój, w którym leżał Eddie Shore, szef legendarnej orkiestry z lat czterdziestych, który w szczytowym okresie świetności swojego zespołu postanowił - ku wielkiemu zdziwieniu fanów - rzucić muzykę, zaszyć się na farmie w północnej Wirginii i tam zająć pisaniem powieści. Przybył do Jerozolimy w ramach zbierania materiałów do powieści historycznej, której akcja dzieje się w czasach Jezusa, a do szpitala trafił nie z powodu jakiejś przypadłości neurologicznej, lecz zatrucia salmonellą. Położono go na oddziale neurologii, bo tu są najwygodniejsze pokoje. Mayo przyspieszył kroku. W młodości był wielbicielem muzyki Shore'a, więc na samym początku przedstawił się swojemu idolowi i bardzo się cieszył, że może z nim prowadzić długie konwersacje, w trakcie których odkrył, że ma do czynienia z bardzo ciekawym człowiekiem, choć innym, niż się spodziewał: miłym i ciepłym, ale równocześnie szorstko mrukowatym; uważnym i taktownym, a zarazem brutalnie szczerym. Shore od czasu do czasu dawał wymijające odpowiedzi, jakby chciał się od czegoś wymigać; potrafił udawać, że czegoś nie dosłyszał - i wtedy spowijała go jakaś aura tajemniczości.

Był łysy jak kolano, lecz wydatne kości policzkowe i przenikliwe spojrzenie czyniły z niego przystojnego mężczyznę, choć był już sporo po sześćdziesiątce. Miał za sobą całą serię krótkotrwałych małżeństw z hollywoodzkimi gwiazdkami olśniewającej urody. Gdy kiedyś Mayo zapytał go, jak mógł rzucać takie piękności, odparł:

- Żebyś wiedział! Ciężka sprawa! No bo jak nagiej bogini, która leży obok ciebie w łóżku, takiej, co to każdy facet miałby na nią apetyt, powiedzieć wprost: „Znudziłaś mi się!”?

Myślisz, chłopcze, że to było łatwe? Pomyśl tylko, na miłość boską. Nie było!

Zwierzył się też, dlaczego porzucił karierę muzyka:

- Wymyśliłem, że odbędziemy wyjątkowe tournée. Z naprawdę świetną orkiestrą. Najlepsi instrumentalisci w kraju. Naj-le-psi! Przygotujemy oryginalną nowoczesną muzykę. Nie to, co graliśmy w kółko na koncertach i balach. Skomponowałem więc naprawdę świetny materiał, rewelacja, cudowne kawałki. Skompletowałem doskonały zespół i ruszyliśmy w trasę. I wiesz, co się stało? Ludziom to się wcale nie podobało! Wygwizdano nas! Tak jest! Na każdym koncercie, gdy zaczynaliśmy grać coś nowego, gwizdali i wrzeszczeli, domagając się starych szlagierów! Wreszcie powiedziałem: „Mam to w dupie!”. Przerwałem tournée, wróciłem do swojego apartamentu na Manhattanie i tam się przez jakiś gotowałem, wściekałem, szlag mnie trafiał. W końcu miałem już zupełnie dość, poszedłem do swojego agenta i powiedziałem mu, żeby mi zebrał zespół na następne tournée, ale żeby zaznaczył, że będą pracować za minimalną stawkę. „Za minimalną stawkę? – wrzasnął na mnie. - Eddie, zwariowałeś? Za takie pieniądze nie znajdziesz żadnego dobrego muzyka! Będzie kłapa! Dostaniesz rzępoły, marnych grajków, trębaczy z rozedmą płuc!”. A ja mu na to: „Rzępoły to jest to! Nie obchodzi mnie, czy umieją grać! Naprawdę! Zabieraj się do roboty!”.

- No i zebrał dla mnie ekipę takich typów, co nie odróżniali nut od hieroglifów. Ruszyliśmy w trasę, brzmienie było po prostu okropne, cukierkowy Mantovani w najgorszym wydaniu, ale graliśmy wszystkie moje największe szlagiery, najpopularniejsze hity, całą tę wiedeńską konfekcję, którą żona Mozarta kazała mężowi wyrzucić do śmieci! A te prymitywy za każdym razem klaskały jak oszalałe. To było nie do wiary! Rzygać mi się chciało! Obrzydliwość! Miałem zwyczaj pokazywać muzykom gestem, który kawałek będziemy grali: podnosiłem rękę z wyprostowanymi palcami - ile palców, ten numer. I pewnego wieczoru podniosłem rękę chłopakom tak - o tak, bokiem - że nie widzieli dokładnie, ile tych palców jest. Zaczęli więc grać różne melodie, zabrzmiało to jak zderzenie galaktyk. Pełna kakofonia. Kocia muzyka. Dno. I co się stało? Dostaliśmy owację na stojąco! - Shore popatrzył ponuro w przestrzeń. - Tak właśnie było. To przepełniło czarę goryczy! Odwołałem resztę tournée, kupiłem farmę, zabrałem się do pisania i nigdy nie żałowałem.



- Maestro, dlaczego maestro pracuje tak późno? A raczej tak wcześniej? - Mayo zajął przez okienko i zobaczył, że Shore nie śpi, siedzi na łóżku z piórem i notatnikiem w rękach i otwartą książką na kolanach. Wszedł więc i stanął w nogach łóżka z rękami w kieszeniach lekarskiego fartucha.

- Ach, to ty, chłopcze. Co słyszeć? O co chodzi? - Shore zsunął okulary do czytania na czubek nosa i uśmiechnął się, poznawszy Maya. Potem zmarszczył lekko czoło, odwrócił wzrok w zamyśleniu. - Coś mnie obudziło. Ale co to było? Nie wiem.

- Lepiej się pan czuje?

- O, tak, dużo lepiej, chłopcze. Dziękuję. W każdym razie przeszedł ból głowy i te okropne bóle brzucha. A ty jak? Dobrze? Bo nie wyglądasz najlepiej. - Shore wyciągnął szyję i zmrużył oczy, badawczo przyglądając się twarzy lekarza.

- Wyglądasz mi na kogoś, kto właśnie stracił najlepszego przyjaciela.

Mayo uśmiechnął się blado.

- Och, to już było bardzo dawno temu.

- Ale wyglądasz, jakby cię znów spotkało. Chodź. Siadaj. Weź sobie krzesło.

- Nie, widzę, że pan pracuje. Nie chcę przeszkadzać.

- Ależ nie, wcale nie. Mam ochotę z tobą pogadać, chłopcze! Naprawdę.

Mayowi wielką frajdę sprawiało, że Shore mówił do niego „chłopcze”.

Shore podniósł książkę z kolan i pokazał mu.

- Jak wiesz, w ramach zbierania materiału do książki czytam Nowy Testament. Znalazłem w tej ewangelii coś interesującego. To ewangelia Jana. Chodź, siadaj, chłopcze. Siadaj. Posłuchaj!

Mayo kiwnął głową, powiedział „dobrze” i usiadł na krześle koło łóżka.

- A więc co to takiego, maestro? Niech pan powie.

Shore z powrotem nasunął okulary.

- Chodzi mi o ten fragment - powiedział, wskazując palcem otwartą stronicę. - Już mówię. Chodzi o tę scenę z kobietą oskarżoną o cudzołóstwo, którą mają ukamienować. Kiedyś myślałem, że te wszystkie opowieści to najpewniej bzdury. Ale wiesz co? Ten fragment tutaj - pokazał znów na kartkę - zdradza, że ta historia nie jest wymyślona. Każdy pisarz zobaczy to natychmiast.

Shore żywo przeczytał fragment, w którym faryzeusze w nadziei, że wprawią Chrystusa w zakłopotanie, przyprowadzają mu kobietę przyłapaną na cudzołóstwie i pytają, czy zgadza się z Mojżeszowym prawem nakazującym ukamienować winowajczynię. Chrystus „pochyliwszy się w dół, pisał palcem na ziemi”, później zaś „podniósł się i rzekł im: Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy na nią rzuci kamieniem”.

- Potem z powrotem się pochylił i dalej coś pisał - ciągnął Shore - a ci mamzerzy, ci faryzeusze jeden po drugim zaczęli wychodzić. - Z oczami rozjaśnionymi z satysfakcji dokonany odkryciem Shore pochylił się ku Mayowi.

- Gdyby to była powieść - tłumaczył z naciskiem - gdyby to była literatura, to możesz mi wierzyć, chłopcze, gwarantuję ci, gdzieś dalej wyjaśniono by tę zagadkę, zakończono by ten cały suspens, powiedziano by, co też takiego Jezus na ziemi napisał. A w tych ewangeliach tego nie ma! Nie ma! Nigdzie nie dowiadujemy się, co napisał! Nie ma ani słowa wyjaśnienia, zupełnie nic, a stało się tak dlatego, że gość, który pisał tę ewangelię, po prostu nie wiedział, co tam było napisane, a skoro nie wiedział, to nie wymyślił tego wszystkiego.

Mayo łagodnie pokiwał głową, ale myślami był gdzie indziej.

- Bardzo ładnie - rzekł.

- Bardzo ładnie? Tyle masz mi do powiedzenia? Bardzo ładnie? Ja, żydowski Sherlock Holmes z Pustyni Judzkiej, dowiodłem właśnie, że ewangelie nie są wymyślonymi historiami, a dla ciebie to jest coś takiego, jakbym zagrał ładny pasaż na wiolonczeli? Jesteś głuchy czy tylko kosmicznie durny?

Mayo popatrzył na niego z miną, jakby zaczął się czegoś domyślać.

- To dla pana coś nowego?

- Co? - Shore zmrużył oczy, najwyraźniej chciał się wykręcić od dalszych pytań.

- Jest pan Żydem? - sprecyzował Mayo.

- Że co?

Przez chwilę Shore patrzył, nie rozumiejąc. Potem cicho rzucił „aha” i opadł na poduszkę. Napięcie i ochronna maska spadły z jego twarzy.

- Tak, jestem Żydem do szpiku kości - rzekł, refleksyjnie wpatrując się w sufit. - Ale mimo wszystko człowiek się zastanawia, prawda? Weź tych facetów: są młodzi, niektórzy to półanalfabeci. Rybacy. Różni. Najpierw są w totalnym dole, srają w gacie ze strachu, że teraz na nich przyjdzie kolej, złapią ich, ukrzyżują, a po paru dniach nagle drwią ze śmierci i ogłaszają

wszem wobec: „Bierzcie nas, nie boimy się”. Wychodzą na ulice, zioną ogniem, robią różne dziwne rzeczy, na przykład dają się bić, torturować, wtrącać do więzień. Dają się zabijać, a nawet krzyżować do góry nogami za głoszenie takich wzniosłych haseł, jak „Miłuj nieprzyjaciół swoich” albo „Koniec z rozwodami” plus jeszcze coś takiego jak „Nasz człowiek, który zmarł, żyje, i trzeba zjadać jego ciało i pić krew”. Chwytiliwe hasła. I tym przerażonym gościom w końcu się udaje, a za niecałe dwadzieścia lat nawracają w Rzymie i praktycznie są górą. Jak to nazwać, chłopcze? Trzeba się dziwić. Tym facetom coś się stało. Coś poważnego. Może naprawdę byli świadkami zmartwychwstania? Nie mam pojęcia. Ale musieli być pewni, że widzieli go wśród żywych. Dawać się zabijać tylko dlatego, że człowiekowi się nudzi albo ryby nie biorą? Za wiele zachodu.

Zamilkł na chwilę, potem refleksyjnie i zagadkowo dokończył:

- Wiesz, czasami człowiek znajdzie się w sytuacji, że musi zacząć myśleć o takich rzeczach.  
- Nastąpiło dłuższe milczenie, Shore w końcu odwrócił głowę, żeby przyjrzeć się Mayowi, który gapił się na puste opakowanie po plastrach z opatrunkiem leżące pod łóżkiem. Neurolog przypomniał sobie plaster, który mu się śnił. Shore zmarszczył czoło.

- Znów wyglądasz na półtrupa - powiedział do Maya - jak ten perkusista, którego pewnego razu wzięłem na zastępstwo w Phoenix. Usłyszał gdzieś, że pandy się narkotyzują liśćmi eukaliptusa, i sam zaczął je stosować. Wszystko robił w zwolnionym tempie, na miękkim luzie, gapiąc się tępo przed siebie. Miał taką samą minę jak ty, tyle że ty nie masz fioletowych zębów. Czy w ogóle słuchasz, co do ciebie mówię?

- Tak, maestro. Słyszałem wszystko. Każde słowo.

- Mayo wstał. - Lepiej już pójdę. Nie najlepiej się czuję.

- Niedobrze. Dbaj o siebie, chłopcze.

- Pan też niech dba.

Mayo, uśmiechając się blado, wstał i wyszedł z pokoju chorego, i poszedł dalej wałęsać się szpitalnymi korytarzami, prześladowany zmorami światła i ciemności, cudów i morderstw, a także pragnieniem znalezienia odpowiedzi na jedno przytłaczające pytanie, którego nikt nie zadał ani nawet nie pomyślał. Wreszcie tuż przed świtem, nie mając pojęcia, jak się tam znalazł, stanął przed szarymi blaszanymi drzwiami oddziału psychiatrycznego na siódmym piętrze. Na drzwiach wisiał duży kolorowy rysunek kredkami przedstawiający tęczę i drugi, mniejszy - bukiet niebieskich i żółtych kwiatów; rysunki były niczym przypadkowe jasne myśli pojawiające

się nie wiadomo skąd. Wisiało tu jeszcze zdjęcie przedstawiciela personelu: uśmiechniętej młodej kobiety w białym fartuchu.

- Sarah - mruknął Mayo z czułością.

Drzwi nigdy nie zamykano. Przebywali tu chorzy, których uważano za niegroźnych: kobieta uzależniona od operacji plastycznych, osoby w podeszłym wieku z objawami starczej demencji oraz zbieranina innych dziwaków, jak wykładowca dekonstrukcjonizmu, który na wykłady chodził w wojskowych butach do kolan i czarnej skórce. Wyrzucono go kiedyś z „Clubu 2000” pod zarzutem „wytwarzania zagrażających drgań” podczas gry w bilard automatyczny. Co ja tu robię? - zastanawiał się Mayo. Znalazłem się tu z powodu Dzieciątka we śnie? Uśmierconego Jezusa? Pomyślał o Meralu, przypomniała mu się niesamowita rzecz, którą od niego usłyszał. Kiedy tego młodego żołnierza, który uważał się za Chrystusa i zabił konkurenta, Meral odwiózł do Kfar Szaul pod Jerozolimą, gdzie mieści się zakład dla niebezpiecznych chorych psychicznie, wrócił do szpitala Hadassa na wizję lokalną i opowiadał:

- Przez całą drogę ten młody milczał przygnębiony, pod koniec, chcąc go pocieszyć, powiedziałem mu, że teraz jest już jedynym Chrystusem w mieście. Wtedy po raz pierwszy przemówił: „Nie. Jest jeszcze jeden”.

Mayo przyglądał się kolorowemu rysunkowi z kwiatami. Co miał na myśli ten młody żołnierz? Myśląc wciąż o swym dziwnym śnie i innych dziwnych wydarzeniach, Mayo uprzytomnił sobie nagle, że zarówno we śnie, jak i na palcu franciszkanina, ojca Mooneya, owinięty był nie jeden plaster z opatrunkiem, ale dwa - jeden na drugim. Drapiąc się w zamyśleniu w brodę, Mayo znów poczuł lodowaty dreszcz na plecach, gdy zaczął się zastanawiać, co może oznaczać podwójny plaster, jeżeli w ogóle oznacza cokolwiek. Po chwili chrząknął, machnął ręką i odwrócił się na pięcie. Poszedł do wind. Czy ja zwariowałem? - ofuknął się w myślach. To przecież jakiś duch Marleya w wydaniu bliskowschodnim, a może ciężkostrawny kawałek baraniny. Ale jak to się również zdarza w świecie subatomowym, gdzie elektrony, tak jak świętych o krwawych stygmatach, można zobaczyć w dwóch miejscach naraz, Mayo wkrótce miał porzucić zdrowy rozsądek i radykalnie zmienić decyzję.

Był ranek.

A potem miała nadejść noc.

## ROZDZIAŁ 2

7 marca, godz. 3.20 nad ranem

*Najdroższa Jean!*

*Meral należy do najsmutniejszych ludzi. Widziałem go znowu dziś rano przy Grobie Łazarza. Wzruszył mnie. Turyści gramolili się po wyszczerbionych kamiennych stopniach z ciemnej krypty na oślepiające światło, ostatnia była wysoka Murzynka z Teksasu ze srebrnymi lokami na głowie, które tańczyły w słońcu. Wyszła z okrzykiem: „Bogu niech będzie chwała” i promieniejącą twarzą. Podeszła do reszty grupy zajętej wybieraniem pamiątek z kiosku przy krypcie, a ja wsiadłem do zdezelowanego zakurzonego starego autokaru, usiadłem samotnie wśród rzędów pustych foteli i rozmyślałem o martwych ludziach wstających z grobu. Wiał silny wiatr. Pożółkłe szyby autokaru trzeszczały pod chłoszczącymi podmuchami, w autobusie zrobiło się szaro od kurzu. Na zboczu nad kryptą stała nędzna chatka, mieszkała tam rodzina z piątką czy szóstką dzieci, może więcej; patrzyłem właśnie na ich pranie, kolorowe szmaty łopoczące na sznurku tuż nad stadkiem kóz, kiedy go zauważyłem. Meral. Wyglądał tak samo jak poprzednio, gdy go widziałem. Wysoki, chłop na schwał, chociaż jakoś tak zgarbiony w granatowym zimowym mundurze, siedział za kierownicą zaparkowanego radiowozu, smętnie wpatrując się w wejście do krypty. Przez cały czas, gdy na niego patrzyłem, ani drgnął; głowę miał lekko przechyloną na bok, jakby wyczekiwał czegoś, co nigdy nie nadejdzie. Biedny Meral. Jego rodzice i wszyscy bracia nie żyją. Zmarła mu też żona i jedyne dziecko, synek. Powiadają, że kiedy mieszkał z rodziną na północy kraju, w dniu piątych urodzin synka chciał dziecku zrobić niespodziankę. Wróciwszy wcześniej niż zwykle, w południe, zaparkował swoją terenówkę za wzgórzem i szedł do domu piechotą, trzymając przed sobą bukiet żółtych słoneczników, ulubionych kwiatów chłopca, a za plecami pluszowego dinozaura. Mały zauważył go jednak przez okno kuchni i wybiegł z domu z promienną buzią, ze szczupłymi gołymi rączkami wyciągniętymi na spotkanie, ale wtedy nadleciała z dźwiękiem, którego już nie usłyszał, zabłąkana rakietą wystrzelona zza*

*granicy. Wkrótce potem rak zabrał żonę Merala. To było cztery lata temu. Meral się z tego do końca nie otrząsnął. Robi wrażenie, boli go każde rozstanie, pożegnawszy się z kimś, zawsze się odwraca jeszcze i długo spogląda, jakby liczył się z tym, że może go już nigdy nie zobaczyć. Gdy silnik naszego autokaru ryknął, budząc się do życia, a na gęstniejący kurz spadła drobna mżawka, i odjeżdżaliśmy, zostawiając go samotnego wśród białych martwych kamieni, Meral wciąż wpatrywał się w wejście do grobowca.*

*Spokojny Meral. Szczery Meral. Kiedyś muszę się z nim spotkać.*

*Cieszyłem się, gdy wróciliśmy na jerozolimskie Stare Miasto z jego rojnymi bazarami, zapachami korzeni i świeżo wyprawionej skóry, dzwonieniem niezliczonych kościelnych dzwonów; z przepychankami, kobietami z tacami ciepłego pieczywa na głowach, rozmarzonymi dziećmi w biało-granatowych mundurkach maszerującymi parami do szkoły, o głosikach odbijających się głuchym echem od wysokich kamiennych murów w wąskich i ciemnych uliczkach, które gwałtownie otwierają się na zalane słońcem place niczym niespodziewany wybuch radości; do miasta, gdzie niewidomi zawsze poruszają się z towarzyszem, trzymając się za ręce.*

*To tutaj go znajdę. Tego, na którego poluję. On jest tutaj, w tym mieście pokruszonych kamieni. Muszę skończyć. Myślę o Meralu.*

*Twój Paul.*

## ROZDZIAŁ 3

Donośny grzmot zatrzęsł szybami staromiejskiego komisariatu policji, mieszczącego się w dawnej warowni krzyżowców przy Bramie Jafy. Starszy posterunkowy w dyżurce, młody chłopak, podniósł na ten dźwięk nadąsany wzrok znad dziennika dyżuru, ale po chwili wrócił spojrzeniem do kart zapisanych czarnym i czerwonym atramentem: czarnym wpisywało się wchodzących i wychodzących, czerwonym - zgłoszenia i zażalenia obywateli. Dyżurny zajmował się zapiskiem czerwonym: skarga zapłakanego wychudzonego starca na krzepkiego młodego syna, który ciężko pobił ojca, rozwścieczony jego notorycznym pijaństwem.

Posterunkowy coś zauważył. Pochyliwszy się, wziął pióro wypełnione czerwonym atramentem, bardzo powoli i starannie poprawił błąd ortograficzny, a następnie odchylił się, by przyjrzeć się poprawce, po czym odłożył pióro i zapatrzył się przez okno na nierówny kamienny bruk przed komisariatem, gdzie strugi deszczu szarpane porywami wiatru chlustały to tu, to tam niczym niezdecydowane szare upiory przybyłe na te puste ulice z jakiegoś zapomnianego i samotnego innego świata. Grube mury tłumiły dźwięki, więc jeśli nie brać pod uwagę przyciszzonego, głucho płynącego gdzieś z góry stukotu maszyny do pisania, w dyżurce o żółtych ścianach panowała cisza.

Posterunkowy przeniósł spojrzenie na przenośną krótkofalówkę stojącą na biurku. Wydobył się z niej cichy trzask, ale ponieważ na tym się skończyło, dyżurny popatrzył w górę na napis nad wejściem do aresztu, który przypominał o konieczności kontroli broni przy pobieraniu i zdawaniu. Młody policjant ten napis przyjmował z łagodnym sceptycyzmem, ponieważ czerwony atrament niemal nigdy nie notował niczego, co wymagałoby użycia broni.

Obszar działania komisariatu Kiszla ograniczał się do dzielnicy chrześcijańskiej z jej rojnymi targowiskami, więc miano tu do czynienia zwykle z przestępstwami czy zdarzeniami pospolitymi, można rzec trywialnymi: kradzieże kieszonkowe, zaginięcie dziecka na bazarze, zatargi rodzinne, jakaś wieczorna bójka na noże między chłopakami; od czasu do czasu trzeba było przesłuchać jakiegoś turystę, który od miejscowych próbował kupić opium czy haszysz.

Zdarzało się też, że turystki skarżyły się na „lubieżne dotykanie” przez sklepikarzy, u których kupowały ubrania. Kłopot wziął się stąd, że niektóre kobiety reagowały na takie „dotykanie” pozytywnie, więc praktyka się rozpowszechniała, bo wśród sklepikarzy wytworzyło się przekonanie, że to przysparza klientek. Tak właśnie wyglądała przestępczość na terenie podległym komisariatowi staromiejskiemu. Morderstwo zdarzało się raz na trzy lata.

Znudzonymu posterunkowemu zachciało się spać. Z roztargnieniem gładził się po pojedynczej krokiewce na rękawie, gdy wpadający do środka wiatr od głównych drzwi posterunku kazał mu spojrzeć w tamtą stronę. Przez drzwi wchodził wysoki mężczyzna o smutnej, ale władczej twarzy, w ociekającej pelerynie przeciwdeszczowej. Zamykał za sobą starannie drzwi, kiwnął dyżurnemu poważnie głową, rzucając mu spojrzenie, w którym był niewymowny smutek i coś w rodzaju współczucia. Taką minę pokazywał światu zawsze. Odwrócił się i ruszył przed siebie, nie zważając na krople kapiące z peleryny na pomarańczowe i beżowe płytki posadzki. Posterunkowy skinął głową i uśmiechnął się lekko. Obecność tego wysokiego mężczyzny zawsze podnosiła na duchu. I sprawiała, że człowiek czuł się bezpiecznie. Wziął do ręki pióro z czarnym atramentem i zapisał w księdze: „St. sierż. Peter V. Meral”.

Policyjny beret stuknął srebrną blaszaną gwiazdą Dawida w sosnową deskę biurka, na które rzucił go Meral po wejściu do swojego gabinetu. Jedyne meblowaniem ciasnego pokoiku o ścianach pomalowanych na biało było biurko, biurowa lampa i krzesło, a przy ścianie, pod dużym łukowatym oknem wychodzącym na parking komisariatu, na którym stały rzędy granatowo-białych radiowozów, stała wąska leżanka przykryta starannie złożonym i wygładzonym szarym kocem. Meral przez chwilę wyglądał przez szybę na deszcz, potem spojrzał na okładkę skoroszytu, który właśnie pobrał z archiwum, i przeczytał tytuł: „Incident na ul. Remli z dnia 14 stycznia 1974 r.”. Położył teczkę na blacie biurka, usiadł i zachmurzony jeszcze raz przejrzał swoje notatki.

Wprawiały w najwyższe, irytujące zakłopotanie. Nie było żadnych dowodów na to, że popełniono jakiegokolwiek przestępstwo. Mimo to fakty wskazywały jakby przez mgłę, jak w ciemnościach jakiegoś zapomnianego snu, że kryje się gdzieś głęboko pod nimi premedytacja. Mniej więcej o 3.25 nad ranem (co ustalono na podstawie godziny telefonu na linię alarmową straży pożarnej) samochód marki Land-Rover rocznik 1971, z zamontowanym z przodu dodatkowym wzmocnionym zderzakiem zwanym przez rolników „zgarniaczem krów”, jadąc z dużą szybkością uderzył w dystrybutor na stacji paliw firmy Paz, zlokalizowanej przy ulicy



Remli w pobliżu skrzyżowania z ulicą Brygady Jerozolimskiej, niedaleko Bramy Jafy. Doszło do wybuchu i pożaru. Gdy na miejsce przybyła policja i straż pożarna, znaleziono płonącego, mocno zniszczonego land-rovera, bez kierowcy ani pasażerów. Nie natrafiono na nic, co pozwalałoby ustalić tożsamość kierowcy. Zeznania dwojga świadków, agentów firmy Paz, małżeństwa mieszkającego w skromnym dwupoziomowym apartamencie tuż nad stacją, były niejasne i częściowo sprzeczne. Okna ich sypialni na drugim piętrze wychodzą na ulicę. Mąż jest niepełnosprawny, ma protezę nogi, więc to żona, usłyszawszy łomot i huk wybuchu, wyjrzała przez okno, a następnie pobiegła w drugi koniec mieszkania, żeby zadzwonić po straż pożarną i do komisariatu Kiszla, który znajduje się w pobliżu. Kobieta wróciła następnie do sypialni i wyjrzała jeszcze raz, ale zobaczyła tylko płonący land-rover i dystrybutor. Twierdziła, że samochód był pusty, a kierowcy nigdzie nie było widać. Wersja męża nieco się różniła.

O.: Był jeszcze drugi człowiek.

P.: Jest pan pewien?

O.: Zupełnie. Oczywiście nie widziałem go. Nie wstałem z łóżka. Nie mam nogi. Ale słyszałem.

P.: Co pan słyszał?

O.: No, najpierw otwieranie drzwi samochodu, potem ktoś wysiadł i ruszał się bardzo szybko. Później otworzyły się drugie drzwi. Usłyszałem, jakby taszczono coś ciężkiego po żwirze.

P.: Coś czy kogoś?

O.: Tego nie wiem. Potem były jeszcze jakieś dźwięki. Nie wiem, co to mogło być. Potem trzaśnięcie zamykanych drzwi. Taki sam dźwięk jak na początku. Ale cichszy. I znów otwieranie i zamykanie drzwi, a później warkot odjeżdżającego samochodu.

P.: Odjeżdżał szybko?

O.: Nie bardzo. Nie. To był jakiś mały samochód.

P.: A skąd pan wie?

O.: Och, rozróżniam po silniku, pełno ich tu jeździ. Słucham ich od trzydziestu lat. Wieczorem, gdy stacja jest zamknięta, czasami ktoś podjeżdża, żeby skorzystać z kompresora do kół. Zostawiamy też kanistry z wodą do chłodnicy, jakby jakiś samochód się przegrzał. A także

na wszelki wypadek kanister z paliwem. Taksówkarze spod Bramy Damaszku dobrze o tym wiedzą.

P.: Jesteście dobrymi ludźmi.

O.: Dobry jest tylko Bóg. To mógł być volkswagen garbus.

P.: Co?

O.: Ten drugi samochód. Albo może fiat topolino. Tak parkotał jak te małe fiaty.

Meral właśnie był na ponownych oględzinach miejsca wypadku. Przesłuchał też drugi raz męża i żonę zarządzających stacją. Tym razem wypytywał żonę, prosząc, żeby się ustosunkowała do zeznań męża, ale ona konsekwentnie twierdziła, że nie widziała ani nie słyszała drugiego samochodu, nie widziała też żadnego „drugiego człowieka”, choć przyznała, że gdy pierwszy raz wyjrzała przez okno, „tylko rzuciła okiem” i pobiegła do telefonu. Potem dodała jeszcze, że była w szoku i patrzyła tylko na ogień, więc może rzeczywiście był jeszcze jakiś inny pojazd. Nie była pewna. Jeśli idzie o męża, to tym razem podał jeszcze jeden szczegół, który „mu się przypomniał”. Powiedział, że słyszał czyjś głos.

P.: Kiedy?

O.: Tuż przed tym, jak usłyszałem wleczenie czegoś po żwirze.

P.: Zaraz po odgłosie otwierania drzwi drugiego samochodu?

O.: Tak jest. Męski głos. Przyciszony. Napięty. Jakby przerażony.

P.: Przerażony?

O.: Tak. Jestem pewien. I błagalny.

P.: A co mówił? Pamięta pan?

O.: Powiedział: „Tylko nie ty! Nie, nie ty!”.

P.: I nic więcej?

O.: Ani słowa więcej. Potem tylko szum przeciągania czegoś i kroki.

Mąż nie potrafił wyjaśnić, dlaczego nie powiedział tego przy pierwszym zeznaniu. Spuścił wzrok, zrobił niepewną minę i powiedział po prostu: „Nie wiem”. Wyglądał na zmieszanego. Później Meral przesłuchał jeszcze dwóch innych świadków w tej sprawie. W wypalonym wraku samochodu nie znaleziono żadnych dokumentów, żadnych śladów, które dawałyby wskazówki co do tożsamości kierowcy. Niemniej zabezpieczono jedną tablicę rejestracyjną. Zaprowadziła ona Merala do firmy wynajmu samochodów „Eldan”, do pracownika, który załatwiał formalności. Klient zapłacił gotówką i przedstawił międzynarodowe prawo jazdy na nazwisko Josef Temescu. Tymczasem faktura zachowana u okolicznego dostawcy sprzętu rolniczego potwierdzała niedawny zakup przez człowieka o tym samym nazwisku „zgniacza krów” do samochodu terenowego. Właśnie ten zakup zdaniem Merala był nie tylko najsilniejszą poszlaką, że było to przestępstwo, lecz także wskazywał na to, że dokonał go profesjonalny zabójca, który chciał mieć pewność, że po uderzeniu w człowieka samochód nadal będzie się nadawał do jazdy.

Wprawdzie sprzedawca wzmocnienia na zderzak nie przypominał sobie zbyt dobrze tej transakcji, ale znalazł się mechanik z jego firmy, który montował urządzenie na land-roverze. Niestety, ani on, ani pracownik „Eldanu” (który nawet zrobił kopię prawa jazdy Temescu, z tym że zdjęcie w dokumencie było zamazane i niewyraźne) nie byli w stanie podać sensownego rysopisu i ograniczali się do ogólników w rodzaju: „po czterdziestce”, „o wojskowej postawie”, „twarz zdecydowana”. Nic więcej. Obaj podali też, że Temescu mówił po angielsku, lecz nie mógł to być jego język ojczysty, bo mówił z silnym akcentem; nie był to akcent izraelski ani arabski. „Może ze wschodniej Europy?” - sugerował urzędnik. Choć nawet tego nie był pewien. Była jeszcze jedna nęcąca poszlaka. Meral udał się do Arabskiego Szpitala Państwowego, by zapytać, czy 14 stycznia nie zgłosił się ktoś z ciężkimi poparzeniami. Okazało się, że tak. Mężczyzna około pięćdziesiątki z oparzeniami trzeciego stopnia, szczególnie na twarzy i rękach. Towarzyszył mu drugi człowiek, w nieokreślonym wieku, który podał, że poparzony nazywa się Thomas Hulda, a sam przedstawił się jako Martin Kerr. Hulda dostał kroplówkę i maść antybiotykową na oparzenia. Kerr nalegał, żeby mu pozwolono pozostać przy poparzonym, i przez sześć dni siedział przy jego łóżku. Według pielęgniarek siedział na podłodze, opierając się o ścianę plecami, rękami obejmując kolana. Nie odzywał się, tylko przyglądał leżącemu w bandażach. Siódmego dnia zaprowadził poparzonego do taksówki. Taksówka odjechała, Kerr swoim samochodem za nimi. W szpitalu Kerr podał dla obu ten sam adres zamieszkania,

kamienicę w dzielnicy żydowskiej, ale kiedy Meral tam pojechał, okazało się, że nikt taki pod tym adresem nie mieszka ani nie mieszkał.

Meral długo się przyglądał odbitce prawa jazdy Temescu. Było w niej coś dziwnego. Wprawdzie zdjęcie w ogólnych zarysach odpowiadało rysopisowi podanemu przez urzędnika z wypożyczalni samochodów i mechanika, lecz było tak zamazane, niewyraźne, że jeśli się mu długo przyglądać, miało się wrażenie, że twarz się zmienia. Meral sprawdził godzinę, odłożył kopię prawa jazdy do teczki, zamknął ją i oddał do archiwum, potem korytarzem przeszedł koło kuchenki i sypialni komisariatu, gdzie stało kilka leżanek dla zmęczonych policjantów z patroli, po czym oddał do magazynu broni rewolwer Webley-Smith, bo na dzisiaj kończył już służbę. Idąc do dyżurki, żeby się wypisać, minął otwarte drzwi gabinetu Ariego Zeva, komendanta komisariatu, siwowłosego, choć był dopiero po czterdziestce. Zev zawołał go głośno:

- Meral!

Policjant zatrzymał się i wszedł do gabinetu o błękitnych ścianach. Zev siedział za biurkiem. Na ścianie za nim wisiała duża szczegółowa mapa Starego Miasta oraz gablotka z pamiątkami, wśród których była plakietka policji z Maplewood w New Jersey, prezent od Amerykanów przebywających tu kiedyś na szkoleniu. Zev właśnie pisał coś w notatniku, zwracając się do Merala, nie wypuszczał żółtego ołówka z ręki.

- Sierzancie, mam do was parę drobiazgów - zaczął. - Albańczycy wciąż nas męczą o tego ich człowieka, który zaginął. Następnym razem każę połączyć rozmowę prosto do was. Strasznie zawracają głowę. Macie o nim jakieś wieści?

- Nie, żadnych. Musimy mieć zdjęcie. Już trzy razy o to prosiłem. Bez zdjęcia nic nie wskóramy, dadzą zdjęcie, to może nam szczęście dopisze.

- Jeśli dadzą.

- Właśnie.

Zev podniósł brwi.

- A co z ulicą Remli, Meral?

- Bez zmian.

- Tego się można było spodziewać. Może powinniśmy to zamknąć? To nie było nic takiego, tylko kupa dymu.

- Nie, nie, za tym się coś kryje. Czuję to przez skórę.

Zev odwrócił się, przez chwilę wyglądał przez okno, postukał czubkiem zaostzonego ołówka w biurko, po czym znów popatrzył na Merala.

- Dobrze, sierżancie, pociągnijcie to jeszcze. Instynkt rzadko was myli.

Meral skłonił głowę, odwrócił się i wyszedł z gabinetu. Zev popatrzył za nim przez otwarte drzwi.

- Biedaczysko - mruknął. Potem chwycił mocniej ołówek i wrócił do pracy: do notatek podsumowujących niejednoznaczny raport koronera na temat Jusufa Tamala, imigranta jemeńskiego mieszkającego w Bet Sahur i podejrzanego o różne działania przestępcze. Właśnie jego znaleziono ze skrzyconym karkiem u stóp wieży cerkiewnej.

*...pęknięcie czaszki i kręgów szyjnych, liczne stłuczenia, otarcia i rany otwarte; zerwanie mięśnia szerokiego szyi, mięśnia płatowatego, czworobocznego i drobnych mięśni szyi, złamania kręgów szyjnych...*

„Złamane po upadku czy przed?” - zanotował.

Meral stał przed komisariatem, tyłem do jego kremowo-beżowych ścian z dolomitu. Wiatr i deszcz ustały, policjant patrzył na połyskujący od wody bruk ulicy i wciąż myślał o wypadku z ulicy Remli: dźwięk wleczenia czegoś ciężkiego po żwirze. Co to było? Kim był Josef Temescu? A na dodatek najdziwniejsze ze wszystkiego: we wraku land-rovera znaleziono zwęglone szczątki sporej sowy i niezidentyfikowanego małego ptaka, prawdopodobnie wróbla lub zięby, oba te gatunki są ulubionym pożywieniem pójdzki zwyczajnej, sowy, która występuje w starych budynkach miasta i poluje nocą. Meral nic z tego wszystkiego nie rozumiał. Pokręcił głową i starał się myśleć o tym, co tu i teraz. Przechadzka. Każdy policjant z komisariatu Kiszla miał obowiązek, zgodnie z poleceniem komendanta, poświęcać pięć godzin tygodniowo, po służbie, na piesze przechadzki po swojej dzielnicy w celu „nawiązywania i pielęgnowania kontaktów z ludnością”. Jeszcze trzy godziny, myślał Meral, i przydział na ten tydzień będzie zaliczony. I zostanie jeszcze chwila wolnego czasu przed porą wspólnego wieczornego posiłku w „Casa Nova”, liczącym 90 pokoiów hostelu, domu pielgrzyma, gdzie mieszkał.

Skoro już się zdecydował, poprawił na głowie czarny beret i ruszył ulicą Patriarchatu Ormiańskiego, z której skręcił w lewo, a potem w prawo w ulicę Dawida, ku rojnym zadaszonym

bazarom o tylu kolorach i dźwiękach, że ilekroć Meral tam się pojawiał, wydawało mu się, że właśnie obudził się z czarno-białego snu do prawdziwego, pełnokrwistego życia. Popychali go tu żyłści starzy tragarze o ugiętych pod ładunkiem grzbietach, przechodnie w najróżniejszych odzieniach - robotnicy arabscy z osłami; turyści z torbami pełnymi zakupów; Kurdyjki z tacami pełnymi świeżych, posypanych sezamem bajgli, chlebów pita i gotowanych jajek; ortodoksyjni żydzi z długimi brodami i zwiniętymi pejsami, w czarnych chałatach i futrzanych czapach; muzulmanki i brzuchaci księża. Wszyscy kłębili się przy straganach z pamiątkami i stoiskami bogato zaopatrzonymi w różności: wielkie koła bakławy ociekającej miodem w metalowych rondlach, kopce korzeni i przypraw, migdałów, orzechów włoskich, sproszkowanej czerwonej papryki, suszonych moreli i fig, wiórów kokosowych i jaskrawopomarańczowej soczewicy. Młodzi straganiarze zachwalali głośno towar i przymilali się potencjalnym klientom; ich ojcowie siedzieli w fotelach z nieprzeniknionymi minami, a z każdego sklepiku rozbrzmiewała arabska muzyka, odbijając się echem od sklepienia bazaru i mieszając w niesamowitym kontrapunkcie z biciem dzwonów na Anioł Pański z Getsemani i nawoływaniem muezina.

Merala podczas tej przechadzki wszędzie witano życzliwie, często z wyraźną sympatią, zawsze z ufnością; niekiedy proszono o osobistą radę. Teraz zaczęła go osiemnastoletnia dziewczyna, aby się poskarżyć, że rodzice chcą ją wydać za człowieka, którego nie kocha, a nawet nie zna.

Potem na ulicy Łańcucha, Bab as-Silsila, w powietrzu zgęstniałym od woni świeżo wyprawionej skóry i stojącej wody, kawy i dymu, gdy Meral przechodził pod czujnym okiem kozy wyzierającej przez żelazne szczelby z okna na piętrze, zagadnął go muchtar, nieoficjalny burmistrz tej dzielnicy, szukając rady na arabskich wyrostków, którzy - małpując brytyjskich „Teddy Boys” - noszą długie włosy i ubierają się w „odrażające” dżinsowe ciuchy. Jeszcze dalej, na Via Dolorosa, Meral zatrzymał się, by dać drobniaka żebrakowi - mężczyźnie w średnim wieku, z kilkudniowym zarostem, siedzącemu w kucki pod murem z przyciśniętym do ucha tranzystorowym radjkiem, z którego sączyły się najnowsze greckie przeboje. Żebrak siedział pod stacją Męki Pańskiej.

„Jezus upada po raz drugi” - przeczytał Meral na tablicy.

Nagle muzyka z tranzystorka umilkła. Dał się słyszeć głos spikera. Meral domyślił się, że to pora wiadomości i prognozy pogody. Zerknął na zegarek. No tak, czas iść do domu. Omal go nie przejechała śpiesząca się starsza zakonnica, która niczym przywiedła Walkiria spóźniona na

bitwę, łopocząc habitem, przemknęła z jazgotem na motorowerze i znikła za rogiem. Za nią rzeźił i klekotał zdezelowany niebieski fiat holujący przyczepę z osłem, który siedział na zadzie skierowany pyskiem do tyłu i rozglądał się z łagodnym niedowierzaniem w oczach.

Ale nawet na ten widok Meral się nie uśmiechnął.

Po drodze do „Casa Nova” na kolację zatrzymał się jeszcze na chwilę za rogiem Via Dolorosa, w uliczce zwanej Chan Az-Zait. Zwróciło jego uwagę coś dziwnego. Młoda blondynka o jasnej cerze, w wielkich okularach słonecznych i kolorowej chustce z napisem „Pamiątka z Jerycha”, zażarcie się kłóciła w drzwiach zapuszczonego hoteliku o nazwie „Szalom” z zakonnikiem we franciszkańskim habicie. Gdy zauważyła Merala, powiedziała coś do mnicha, który szybko się obejrzał i popatrzył w stronę policjanta. Kobieta wzięła franciszkanina pod rękę i szybko wciągnęła do wnętrza. Meral przez dłuższą chwilę patrzył na zamknięte drzwi hoteliku, zastanawiając się, co ta dziwna scenka mogła oznaczać. Ciekawe, pomyślał.

Tak naprawdę to wcale nie było ciekawe.

Było śmiertelnie groźne.

## ROZDZIAŁ 4

8 marca, godz. 2.11 nad ranem

*Najdroższa Jean!*

*W nocy miałem dziwny sen. Bardzo wyrazisty. Umarłem i zbliżało się ku mnie jaskrawe czerwone światło. Oślepiało mnie boleśnie, próbowałem się od niego odwrócić. Miałem świadomość, że to światło jest całkowicie odpowiedzialne za zarządzanie wszechświatem. Ma swoich dwóch wysłanników, których zadaniem jest zajmować się przestrzenią, pilnować, żeby wszystko działało jak trzeba. Ale te dwa stworzenia nie dały rady i przestrzeń wygląda jak kiepsko ułożona lamigłówka. Próbowałem zgasić jakoś to przeraźliwe czerwone światło, które wmawiało mi, że przestrzeń się popsuka, lecz nagle, ku swej wielkiej konsternacji, zdałem sobie sprawę, że zostałem wybrany, aby to wszystko ponaprawiać, uporządkować ten chaos w niespójnych prawach natury.*

*I mam jeszcze jakąś dalszą, zagadkową misję.*

*Co to mogło znaczyć?*

*A teraz zdradzę Ci coś, z czym się długo wahałem. Mój niebezpieczny niegdyś gość zdrowieje, a tymczasem wygląda na to, że jeszcze ktoś inny próbuje mnie zabić. Parę dni temu, w niedzielę, w łagodnym powietrzu świtu udałem się swoim parkoczącym małym topolino pod wieżę cerkwi rosyjskiej, spiralną kolumnę z jerozolimskiego kamienia sterczącą na wzgórzu nad ogrodem Getsemani. Często chodzę na szczyt wieży, bo stamtąd mogę odbywać podróże w czasie. Na zachodzie, za herodowymi murami z ciosanego kamienia jarzącymi się lekko różem świtu, widzi się Stare Miasto z jego zbieraniną kościołów, minaretów, dziedzińców, dzwonnicy, wież wystających ze stłoczonej gęstwiny dachów, wciąż drżących ze strachu przed Bogiem Hioba. Ale jeśli się obejdzie wieżę i spojrzy w drugą stronę, człowiek znajdzie się w innym wymiarze, zdumiony, owładnięty milczącym ogromem połyskującej Pustyni Judzkiej i gór Moabu. Dalej za*



*nimi zobaczy Morze Martwe i Jordan toczący swe muliste wody, których szum jest szeptanym wspomnieniem Jana Chrzciciela. To wszystko wygląda tak samo jak tysiące lat temu.*

*Tej niedzieli wspiąłem się krętymi schodami na szczyt i tam przechadzałem się po wschodniej stronie, patrząc ku słońcu wznoszącemu się spoza suchych gór, by zrosić tę płową jałową ziemię cudownym światłem pierwszego dnia na tej planecie. Gdy napawałem się słodko-ostrą wonią sosen alepskich, nagle, nie wiadomo skąd, zerwał się wiatr tak silny, że pchnął mnie na szorstką kamienną ścianę. Przygniótł mnie. Nie mogłem się ruszyć. Ledwie oddychałem. Potem ten niesamowity podmuch uciszył się tak samo nagle, jak się zerwał, a ja pomyślałem o zjawach i Jezusie kroczącym po wodzie: o tej opowieści z Ewangelii św. Marka o gwałtownym wietrze, który zerwał się nie wiadomo skąd i wzburzył jezioro, po czym równie gwałtownie ucichł. Później pozostałem tam jeszcze, jak czynię zwykle, na godzinną sesję mojego „myślenia specjalnego”. Tym razem przeniosłem się do Galilei, gdzie polyskiwały łany orkiszu i samopszy kołyszące się pod bezchmurnym majowym niebem. Wkrótce jednak wytrąciły mnie z tych myśli spaliny i łomot silników autobusowych. Czar prysł, nie było już sensu dłużej tam pozostawać, więc odwróciłem się i przeszedłem powoli na drugą stronę wieży, ku szczytowi tych krętych, śliskich i stromych schodów prowadzących na bruk ulicy. Gdy zacząłem schodzić, zobaczyłem jakiś błysk. Zatrzymałem się i przyjrzałem dokładnie. To był drut. Przeciągnięty nad siódmym stopniem od góry. Schyliłem, żeby go zdjąć, i nagle poczułem, że ktoś szybko zbliża się do mnie od tyłu.*

*Problem się rozwiązał.*

*A teraz nie mogę nie dorzucić: nie martw się, zawsze się pilnuję, zawsze mam oczy i uszy otwarte. Skąd się bierze ta potrzeba, żeby Cię chronić, żeby się Tobą opiekować, choć przecież nie żyjesz?*

*Nie ma rozstań.*

*Twój Paul.*

## ROZDZIAŁ 5

W chytrych oczkach gadatliwego, niskiej postury duchownego Kościoła ormiańskiego pojawił się figlarny błysk.

- Tak, wodę z Jordanu, panie Parker. W buteleczkach. Błogosławioną! Myśli pan, że będzie się w Stanach cieszyć wzięciem? Dobrze się sprzeda? Panie sierzancie, zechce mi pan podać risotto?

Wysoki sklepiony sufit jadalni domu pielgrzyma „Casa Nova” wzmacniał echem gwar rozmów i brzęk metalowych sztućców uderzających o talerze. Katolicycy pielgrzymi spożywali kolację przy wspólnych stołach ustawionych w długie rzędy. Wspólny posiłek zapewniał Meralowi tę odrobinę pociechy, którą był w stanie przyjąć: kontakt z żywym człowiekiem na tyle bliski, by złagodzić wewnętrzną samotność, ale niepociągający za sobą konieczności głębszego angażowania się, pozbawiony ryzyka przywiązania, a zatem - cierpienia. Bywały chwile, gdy mu serce drgało. Działo się to wtedy, gdy podniecenie i ufna radość gromady wiernych, stłoczonych w jednym miejscu, wznosiła się od stołów, przy których siedzieli, rozchodziła się wokół i sphywała na Merala, udzielając mu się, choć tylko na mgnienie oka. W czasie tych wieczornych spotkań trwalszą pomoc dawały jednak drobne - jak okruszki chleba zgarniane na dłoń po posiłku przez podające do stołów włoskie zakonnice - uwagi księży, którzy prowadzili pielgrzymów, chociaż i to było tylko chwilowe. W zeszłym roku w Wielkim Tygodniu, któregoś wieczoru przy kawie, były amerykański kapelan wojskowy, zwróciwszy uwagę, że wielu uczniów Chrystusa wołało umrzeć, niż zaprzeczyć, że naprawdę widzieli Jezusa zmartwychwstałego, dodał: „Mówcie, co chcecie, ale wierzę w wyznania czynione na łożu śmierci”. Usłyszawszy to, Meral poczuł lekkie radosne uniesienie, lecz zanim podano sałatę i *osso bucco* z cielęciny, znów popadł w zwątpienie, a później, jak każdego wieczoru, ukląkł w kaplicy domu pielgrzyma, by modlić się do Boga, którego istnienia nie był tak pewien, jak był pewien istnienia swojego małego synka - gdzieś w jakiejś postaci.

- Jeszcze trochę san salvatore? Przynieść jeszcze?

Młoda piegowata zakonnica w czarnym fartuchu nałożonym na biały habit stała z pustą karafką po wytrawnym, mocnym czerwonym winie.

- A tak, bardzo proszę - ożywił się ormiański biskup.

Po czym wrócił do rozmowy z amerykańskim małżeństwem siedzącym naprzeciwko.

- Jak uważacie? Mówcie, co myślicie - nalegał.

- Mówiąc szczerze, nie wiem - powiedział mężczyzna. Miał minę pełną powątpiewania.

- Ależ tak, myślę, że to się uda - powiedziała jego żona. - No przecież! Święta woda z rzeki Jordan? Pójdzie jak świeże bułeczki!

Czekając na uprzątnięcie talerza po pierwszym daniu, Meral opuścił znudzone rozczarowane spojrzenie na stojący na stole dla dekoracji bukietek fiołków alpejskich. Dzisiejszy wieczór nie przyniesie podnoszących na duchu złotych myśli. Chociaż później, gdy na stół wjechały pomarańcze i banany na deser, przez chwilę sądził, że może jednak sprawy pójść w lepszym kierunku.

- A co ksiądz sądzi o całunie? - zapytał siedzący po prawej stronie biskupa młody mechanik, blondyn ostrzyżony na jeża, mówiący z lekkim niemieckim akcentem. Mówił o całunie turyńskim. - Podobno dwóch fizyków amerykańskich stwierdziło, że ten wizerunek ukrzyżowanego człowieka mógł powstać jedynie wskutek promieniowania jądrowego. Co ksiądz o tym sądzi?

W tym momencie Meralowi przypomniały się zagadkowe słowa Jezusa z ewangelii Jana, skierowane do Marii Magdaleny przy pustym grobie, gdy upadła mu do stóp: „Noli me tangere” - „Nie dotykaj mnie”. Co to mogło oznaczać? Nikt do końca nie wie. A teraz ta wzmianka o promieniotwórczości.

Ormiański duchowny powiedział do Niemca:

- Chyba się nie sprzeda - próbując naprowadzić dyskusję z powrotem na temat rynkowych perspektyw butelkowanej wody z Jordanu.

Mężczyzna nazwiskiem Parker chwycił jednak temat całunu żałobnego, rzucając uwagę, co do której nikt nie był pewien, czy była poważna czy nie:

- No dobrze, to dlaczego nie wezmą licznika Geigera?

Przy kawie wstał jeden z księży i zadzwonił łyżeczką w kieliszek z wodą, prosząc o uwagę. Meral popatrzył na niego i oniemiał. To był ten zakonnik, którego widział w trakcie kłótni z młodą blondynką przed wejściem do hoteliku „Szalom”.

- Witajcie, nazywam się Dennis Mooney - powiedział franciszkanin, po czym rzucił kilka dowcipnych uwag, które wzbudziły uprzejme śmiechy, a w końcu ogłosił konkurs śpiewaczy *ad hoc*, w którym weźmie udział on oraz ojciec Mino Mancini, pyzaty łysy dyrektor domu pielgrzyma, któremu łagodny uśmiech nigdy nie schodził z twarzy i który każdemu przypominał brata Tucka z opowieści o Robin Hoodzie.

Meral pochylił głowę i odtworzył w myślach scenkę przed hotelikiem, której był świadkiem. Czyżby przystojny zakonnik popadł w romans? Meral podniósł głowę i przyglądał się Mooneyowi, który jako pierwszy w ramach konkursu wykonał miłym, ciepłym tenorem irlandzką balladę *Róża z Tralee*. Mancini odpowiedział włoską piosenką *Non Dimenticar*. Nastąpiło kilka rund popularnych ballad, doszło też do zabawnego odwrócenia ról, gdy Mooney sparodiował pulchnego Włocha, zabawnie śpiewając *That's Amore* udawanym głosem wstawionego Deana Martina. Ripostą Manciniego było wykonanie amerykańskiego standardu *My Wild Irish Rose* - równie zabawne ze względu na jego mocny włoski akcent.

Konkurs zakończył się remisem, a po krótkiej chwili jadalnia zaczęła pustoszeć, bijący w sklepienie gwar ustąpił szmerowi nielicznych rozmów i stuknięciom sprzątanym nakryć. Słysząc też było jakieś ciągle, śpiewne brzęczenie - to małżeństwo rozbawionych rumuńskich arystokratów bawiło się, smarując zwilżonymi palcami po brzegach kieliszków, które wydawały przy tym wysoki dźwięk. Ten odgłos zwrócił uwagę siedzącego samotnie z opuszczoną głową Merala, pogrążonego w rozmyślaniach o zwęglonych ptakach w samochodzie. Popatrzył w tamten koniec sali. I aż jęknął w duchu. Przy stoliku Rumunów siedział Scobie, emerytowany tajny agent brytyjskiego wywiadu SIS, który podobnie jak Meral mieszkał w „Casa Nova” na stałe. Był strasznym gadułą i nudziarzem, który nie zważając nic a nic na to, że jego akta są do dziś opatrzone klauzulą „ściśle tajne”, po paru głębszych rozwodził się nad swoimi dawnymi wyczynami przed każdym gościem domu pielgrzyma, a w desperacji nawet przed członkami personelu, którzy mieli pecha mu się nawinąć. Teraz przez całą długość niemal pustego stołu spoglądał na Merala, zachęcająco unosząc brwi. Meral wykonał przedstawienie z szybkim spojrzeniem na zegarek i głębokim zmarszczeniem czoła, po czym wstał i niemal wybiegł z jadalni, unikając wzroku Scobiego.

Poczuł się nagle zmęczony, więc ruszył do swojego pokoju, ale przypomniał sobie obietnicę złożoną siostrze Angelice, pomarszczonej maleńkiej przełożonej zakonnicy z „Casa Nova”, więc zawrócił i poszedł do recepcji. Tam miał udzielić łagodnej nagany wysokiemu smukłemu

abisyńskiemu portierowi imieniem Patience, który prowadził też barek otwierany przed kolacją i czynny wieczorem i miał zwyczaj cytować Szekspira, a także od czasu do czasu dolewać gościom do drinków środki nasenne.

- Dlaczego to robisz, Patience? Powiedz. Niech zrozumiem.

- Nie wiem.

- Czy nie lubisz tych ludzi, którym to robisz?

- Nie. Lubię ich, bardzo lubię. Naprawdę.

- No to dlaczego, Patience? Dlaczego?

- Nie wiem.

Uzyskawszy obietnicę poprawy, choć wciąż nie znając motywów barmana, Meral wyszedł z recepcji i powoli szedł do swojego pokoju. Na skrzyżowaniu z korytarzem prowadzącym do skrzydła zajmowanego przez zakonnice zatrzymał się, bo zobaczył mocno zbudowanego mężczyznę w spodniach i koszuli koloru khaki, obwieszzonego różnymi narzędziami i pękiem kluczy przy pasie, stojącego tyłem do niego przy drzwiach do pokoju siostry przełożonej. Stał bez ruchu, z głową przechyloną, najwyraźniej nasłuchując. Z pokoju dobiegały dźwięki skrzypiec. Spojrzenie Merala złagodniało. Tym mężczyzną był Wilson, sympatyczny dobroduszny Amerykanin, zawsze rozpromieniony jak naiwne dziecko albo niedorozwinięty umysłowo, który zatrudnił się tutaj ochotniczo jako darmowa złota rączka. Meral rozpoznał muzykę, był to pierwszy koncert skrzypcowy Maksa Brucha. Przez krótką chwilę, nie dłuższą niż trzeba, by pękło serce, Meral również słuchał z przechyloną głową, ale musiał pójść dalej, żeby muzyka, jak trąby Jozuego pod Jerychem, nie obróciła w gruzy, proch i pył obronnych murów, które wznosił wokół siebie.

Gdyby nie kolorowe zasłony w oknie, pokój Merala w „Casa Nova” nie różniłby się od celi mnicha: stojący wieszak na ubrania, biurko i krzesło, proste wąskie łóżko, sosnowa szafa, na szafie figurka młodego Jezusa wręczającego matce czerwoną różę. Gdy Meral się wprowadził do tego pokoju, zażądał, by figurkę zabrano. Ale po paru tygodniach kazał ustawić ją z powrotem. Ani jednej, ani drugiej prośby nie uzasadniał. Teraz, siedząc na łóżku, patrzył na nią zmęczony, a potem odwrócił głowę, by spojrzeć na ciemnobrązowy krucyfiks na ścianie nad drzwiami. Czy to jest właśnie najwyższe dążenie człowieka? Cierpieć? Dlaczego? Po co? Odpowiedź, jakiej mu tu udzielił ksiądz dwa miesiące temu, brzmiała: „kształcenie duszy”. To dało Meralowi światło na jakiś czas, lecz bardzo mało ciepła. Nie ma innego sposobu? Popatrzył na terakotę posadzki, później podniósł wzrok na ustawione na biurku fotografie w ramach. Rodzice. Ukochana żona. Spojrzenie spoczęło na synu, którego kochał z siłą, jakiej sam się po sobie nie spodziewał, a czasami nawet lękał, chociaż nigdy nie wiedział dlaczego aż do dnia, gdy nieczule niebo zrodziło śmierć, a on w końcu zrozumiał, że to czego się lękał, było esencją piekła: bólem straty. Ze zdjęcia patrzył syn Merala o ciemnych kędziorach niczym u greckiego Efeba z Maratonu, którego podniesiono z morskiego dna i tchnięto weń życie; stał w rozkroku na zielonej trawie, na jego twarzy lśniła miłość aniołów, z którą ofiarowywał w stronę patrzącego czerwoną różę na długiej lodydze.

Meral patrzył. Chciał płakać, ale nie mógł. Mur.

Łzy płynęły tylko w snach.

Zanurzył twarz w dłoniach. Czemuż tego dnia wrócił o tej właśnie porze? Dlaczego nie pięć minut wcześniej? Albo później? Albo dwie minuty? Jedną? Codziennie od lat wiernie odmawiał litanię winy i żalu. Teraz podniósł wzrok i odwrócił głowę, patrząc w zamyśleniu na coś, co leżało na nocnym stoliku. Sięgnął po to. To była książka o Einsteinie, Bogu i fizyce kwantowej. Książki nie były sposobem gwarantowanym, lecz dzięki nim Meralowi udawało się często znaleźć pocieszenie. Tym razem nie treść wzbudziła jego zainteresowanie, tylko coś innego. Przyglądał się chwilę okładce, po czym otworzył książkę w miejscu, gdzie jeszcze przedwczoraj wieczorem, zanim położył się spać, włożył wąską papierową zakładkę domu pielgrzyma „Casa Nova”, taką ze zdjęciem z jednej strony i świątobliwym cytatem z drugiej. Zasypiając, szepnął jak każdej nocy od czterech lat: „Jeszcze jeden dzień, synu. O dzień bliżej ciebie”. Był zmęczony, bo ciągle prosił o znak, który wciąż się nie pokazywał. Chociaż prawdę mówiąc,

nawet gdyby słońce znieruchomiało na niebie, po paru dniach jego wątpliwości by wróciły. Przedwczoraj postanowił zanieść błaganie do syna: „Jeśli żyjesz, jeśli mnie słyszysz, przyjdź do mnie. Odwiedź mnie nocą we śnie”. Syn tego nie uczynił. Nigdy. Ale gdy wczoraj wieczorem Meral sięgnął po książkę, okazało się, że zakładki z „Casa Nova” nie ma, a na jej miejscu między stronicami tkwi świeżo zerwany jaskrawożółty kwiat słonecznika, ulubiony kwiat syna. Rano Meral zapytał pokojówkę w szarozielonym uniformie, która regularnie sprzątała jego pokój, czy to ona podrzuciła kwiat, lecz spojrzawszy na niego z ukosa i z uśmiechem rozbawienia odparła:

„A dlaczego ktoś miałby coś takiego robić?”. Potem, idąc do stołówki na śniadanie, Meral zatrzymał się, bo zobaczył Wilsona zgarbionego nad kontuarem recepcji, wspartego łokciami na blacie. Najpewniej czekał na siostrę przełożoną, by wydała mu polecenia na dziś. Meral przez chwilę przyglądał się pękowi kluczy przy pasie Wilsona i nagle coś go tknęło.

- Panie Wilson! - zawołał i podszedł się przywitać.

Wilson podniósł głowę, zrobił ufną pogodną minę.

- Sierżant Meral!

- To był pan? - zapytał Meral spokojnie.

Wilson zmarszczył czoło zaskoczony i zdezorientowany.

- Co pan sierżant ma na myśli?

Meral zawstydział się nagle.

- Nieważne. Czy mógłby mi pan pożyczyć francuza? Małego, najmniejszego, jaki pan ma.

- Ależ oczywiście.

- Przez jakiś czas się pan nie pokazywał.

- Ano tak.

Wilson był w skórzanych roboczych rękawicach. Gdy zsunął jedną, żeby podać mały klucz nastawny przywieszony na pasku, Meral zauważył, że ma obandażowaną dłoń.

Widać było czerwone plamy przesiąkającej krwi.

- Skaleczył się pan?

Wilson uśmiechnął się i lekko wzruszył ramionami.

- Taka praca. Łatwo o skaleczenie.

Meral wyjął kwiat słonecznika spomiędzy kartek i przez chwilę uważnie się mu przyglądał. Zastanawiał się. Ale nie wyciągał wniosków.

- Jeszcze jeden dzień - wymamrotał w poduszkę. - O dzień bliżej ciebie.

Chciałby chwycić synka w ramiona, nieść, biec z nim z oszałamiającą prędkością dokądś, gdzie może znalazłby coś innego niż ten smutek, który go oblepiał bez końca.

Zasnął. I spał bez snów.

Nazajutrz rano obudziwszy się, znalazł wsuniętą pod drzwi karteczkę z wiadomością. Tuż przed północą dzwonił do niego Moses Mayo. Patience cierpliwie wyjaśniał Mayowi, że po pierwsze, od 23.00 w „Casa Nova” obowiązuje cisza nocna, a po drugie, sam Meral żądał, aby nigdy nie niepokoiono go po dziesiątej wieczorem. Potem zadeklamował jeszcze coś o śnie „co zwikłane węzły trosk rozplata” i „uśmierza ból znojnego trudu”. Jednak pod naporem zirytowanego głosu Maya Abisyńczyk ustąpił w końcu i zgodził się wsunąć pod drzwi karteczkę z informacją, i to „od razu, jak najszybciej”, ale stanowczo odmówił zapukania do drzwi.

W końcu stanęło na tym, że Patience zakaszle pod drzwiami sierżanta. „Tylko tyle mogę dla pana zrobić”, wyjaśnił. Meral rozłożył karteczkę. Nagryzmolone ręką Patience’a drukowane litery składały się na słowa:

**PRZYJEŹDŹAĆ! WAŻNE!**

A poniżej:

**SHOR NIEWYJAŚNIONY ZGON.**



## ROZDZIAŁ 6

Śledziłem cię z pewnej odległości. Potem zatrzymałem się, bo podjechałeś do tej małej stacji benzynowej, a jak zobaczyłem, że wysiadasz, krew zagrała mi w żyłach! Zrozum, to nie było pragnienie zadania ci śmierci. To był jedynie dreszcz zadowolenia z wzorowego wypełnienia obowiązku. I nagle ten wróbel, a za nim sowa wleciały do kabiny wozu. Szaleńczy trzepot skrzydeł, gonitwa, pisk, skrzek. Nie obchodziło mnie to jednak. Musiałem wykorzystać szansę, jaka się nadarzyła, więc dodałem gazu i już cię miałem, gdy ptak skrzydłem trafił mnie w oko, straciłem panowanie nad wozem, wpadłem na dystrybutor i wybuchł pożar. Dzięki Bogu!

- Proszę, przesuń się do przodu, pomogę. Chcę ci poprawić te poduszki.

- Dziękuję.

- Bardzo boli? Jeszcze morfiny?

- Nie. Nie, na razie czuję się dobrze.

- W porządku.

- Jak się nazywasz?

- Co?

- Jak się nazywasz?

- Czy już tego nie przerabialiśmy?

## ROZDZIAŁ 7

20 marca, godz. 4.17 rano

*Najdroższa Jean!*

*Tyle mam spraw. To będzie coś w rodzaju gazety Cyrana de Bergerac.*

*Najpierw o Mosesie Mayo. Pamiętasz go? To ten zabawny lekarz ze szpitala Hadassa, gdzie byłem na badaniach w pierwszym miesiącu pobytu tutaj. Parę razy poszedłem z nim na drinka, w końcu rozwiązał mu się język, opowiedział mi całą swoją historię, wyjawiał, dlaczego zrezygnował ze stanowiska lekarza naczelnego i nagle zaczął chudnąć. Po pobycie w Stanach na stypendium i stażu na Uniwersytecie Kalifornijskim wrócił do Izraela, zatrudniony tam był na posadzie specjalisty chorób wewnętrznych, potem neurologii, po czym okazało się, że odgrywa główną rolę męską w największej love story, o jakiej słyszałem. Do Jerozolimy przyjechała amerykańska ekipa filmowa kręcić superprodukcję, film sensacyjny, w którym grała śliczna Jane Ayres. Aktorka i Mayo poznali się na przyjęciu koktajlowym u ministra kultury. Jak mi opowiadano, usiedli w kącie, zaczęli rozmawiać i - mimo różnicy wieku - od pierwszego wejrzenia bardzo się sobą zainteresowali. Śmiali się i żartowali. W którymś momencie gwiazdka zapytała Maya, czy medycyna izraelska ma jakieś nowe metody leczenia niepłodności. Zwierzyła się lekarzowi, że bardzo pragnie mieć dziecko, ale choć jest mężatką od kilku lat, nie może zająć w ciążę, więc jej małżeństwo znalazło się w kryzysie.*

*- Jest pani pewna, że to nie mąż jest tu przyczyną? - zapytał ją Mayo.*

*- Nie, on się badał, u niego wszystko w porządku. To przeze mnie.*

*Mayo umówił ją na gruntowne badania, a potem, choć to się wydaje zupełnie nieprawdopodobne, zakochali się w sobie.*

*- Co ty we mnie widzisz? - zapytał ją kiedyś Mayo, gdy zaczynało być jasne, że jeśli jej małżeństwo rzeczywiście się rozpadnie, ona będzie chciała się z nim związać na stałe.*

*- Jestem od ciebie dużo starszy i nie da się o mnie powiedzieć, że jestem przystojny.*

*Wzięła go za rękę i spojrzała mu głęboko w oczy.*

*- Uroda mija, humor pozostaje - rzekła.*

*Ale gdy zdjęcia do filmu w Izraelu dobiegały końca, po wielu tygodniach nieustrudzonych badań, studiów i rozmyślań Moses Mayo obudził się pewnego kwietniowego poranka, wpatrywał szeroko otwartymi oczyma w sufit swojego pokoju zdumiony dziwnością i nieprzewidywalnością życia, wstał z łóżka i poszedł prosto do biurka, przy którym zaczął gorączkowo pisać w dużym żółtym notatniku. Później wahał się jeszcze przez wiele bezsennych nocy, bo decyzja, którą miał podjąć, była niewiarygodnie trudna. A gdy zdjęcia dobiegły końca, w porcie lotniczym Lod żegnali się oboje: urodzony pod pechową gwiazdą Mayo i miłość jego życia z biletem na samolot do rodzinnych Stanów Zjednoczonych. Stali, patrzyli sobie w oczy i Mayo zapytał:*

*- Czy nadal tak bardzo chcesz mieć dziecko?*

*A gdy ona spuściła głowę i powiedziała: - Tak. Tak, tak byłoby najlepiej - Mayo sięgnął do kieszeni, wyjął z niej kopertę i dał jej.*

*- Nie zgub tego - powiedział z wielką powagą. - Daj to swojemu lekarzowi.*

*- Co to takiego?*

*- Nieważne. Po prostu nie zgub.*

*To była recepta na wyleczenie jej niepłodności.*

*Niedługo później zaszła w ciążę, a potem urodziła chłopca.*

*Mayo jej nigdy więcej nie zobaczył. Chyba że w kinie.*

*Mayo, Meral i ja. Każdy z nas stracił miłość swojego życia. Mayo stara się odzyskać ją, uzdrawiając innych, Meral - zapewniając im bezpieczeństwo. A ja? Cóż, nie mnie to wiedzieć. Przynajmniej jeszcze nie. Pozwól więc, że przewrócę kartkę w tej ostatniej mojej gazecie i zajmę się czymś, o czym przeczytałem ostatnio i żałuję bardzo, że nie wiedziałem o tym wcześniej. To coś bardzo dziwnego. Otóż trzeba Ci wiedzieć, że gwiazda Syriusz ma towarzysza, którego dziś nazywamy Syriuszem B. Gołym okiem tej gwiazdy nie widać, trzeba mieć teleskop. Dla nieuzbrojonego oka jest niewidzialna. Nikt o niej nie wiedział, podejrzewać jej istnienie zaczęto dopiero w połowie XIX wieku. Tymczasem plemię Dogonów z Mali wiedziało o jej istnieniu od setek lat! Nazywali tę gwiazdę Palusznica (Digitaria).*

*Czy nie uważasz, że to piękna nazwa? Dogonowie wiedzą, że ma eliptyczną orbitę, że krąży po tej orbicie w cyklu 50-letnim, że obraca się wokół własnej osi. Wierzą też, że jest najmniejszym z ciał niebieskich, a równocześnie - paradoksalnie - najcięższym. Cóż, okazuje się*

obecnie, że ta gwiazda rzeczywiście należy do karłów, najmniejszych gwiazd, jakie znamy, i składa się z materii o ogromnej gęstości. Skąd Dogonowie mogli to wiedzieć? Syriusz B jest dziesięć tysięcy razy mniej jasny niż Syriusz A, a mimo to od stuleci Dogonowie wierzyli że jest najważniejszą gwiazdą na nieboskłonie, i ich religia właśnie z nią jest związana. Astronomia, kosmologia, biochemia - Dogonowie mają w tych dziedzinach dogłębną wiedzę. Twierdzą, że zaczerpnęli ją od przybyszów spoza Ziemi, których nazywają Nommo i których dzielą na dwie kategorie: Nommo Die, czyli bogów, oraz Nommo Titanye, którzy przybyli na Ziemię w statkach kosmicznych jako posłańcy i reprezentanci Nommo Die. Jest też ktoś, kogo nazywają O Nommo i kto ma zostać poświęcony po to, aby oczyścić i zreorganizować Wszechświat (to mi nasuwa myśl o moim „Czerwonym Świetle” ze snu!). Ten ktoś przybierze postać ludzką i zstąpi na ziemię. Jest coś jeszcze bardziej zdumiewającego. Zacytuję: „O Nommo podzielił swoje ciało między ludzi, aby ich nakarmić, a gdy Wszechświat wypił jego ciało, O Nommo kazał także ludziom pić i dał im swoje zasady życiowe”. W dalszej części tekstu jest mowa o „ukrzyżowaniu na drzewie kilena” i powstaniu z martwych niedługo później.

Gdybym wiedział o tym wcześniej, na pewno wpłynęłoby to na moje „myślenie specjalne”, a także na moje polowanie na „Obiekt X”, które okazało się najtrudniejszym w mojej karierze, choć nadal nie mam wątpliwości, że on tu jest i że go znajdę. Chyba że on znajdzie mnie pierwszy. A tak nawiasem mówiąc, to coś ciekawego. Chociaż nie zobaczyłem go, parę dni temu słyszałem kroki, które przysięgłbym, były bez wątpienia krokami Stephena. Może to było życzenie. Jakże często w snach przeżywałem to ponownie, ten wybuch, który odebrał życie Tobie i jemu! Czy z czasem moje zmysły tępieją? Może zmieniły się wraz z resztą mnie? Bo ja się zmieniam, Jean. Coś się ze mną dzieje. Mam wrażenie, jakbym się odnawiał. Jeszcze nie wiem, co to jest, ale mam wrażenie, nazwałbym to przecuciem, że wkrótce znajdę się obok Ciebie w tym miejscu, gdzie jak nam obiecano, „otrą nam z oczu wszelką łzę”.

Świt sączy się przez okno przed małym drewnianym stolikiem, na którym piszę, ja wzrokiem przeczesuję ulicę poniżej. Gdzieś tam jest jeszcze jeden zabójca. Nie martw się jednak, kochana. Najgorsze co się może zdarzyć, to że nie będzie następnych listów.

Ale będziesz Ty.

## ROZDZIAŁ 8

Nie, to nie imaginacja! To są fakty! Fakty! – Mayo chodził w podnieceniu z jednej strony biurka na drugą, a Meral siedział, słuchając cierpliwie i robiąc minę pełną powątpiewania. We wtorek 11 marca Eddiego Shore'a znaleziono wczesnym rankiem martwego. Zatrzymanie akcji serca.

„Zawał mięśnia sercowego” podano w akcie zgonu na podstawie sekcji zwłok. Ale Mayo był przekonany, że kryła się za tym zbrodnia.

- Dlaczego? - dopytywał się Meral.

Dziś był po cywilnemu. Niedziela, wolny dzień.

- Nie wiem - spochmurniał Mayo - ale ci dwaj faceci z CIA i ambasady amerykańskiej (wszyscy ich rozpoznają) wpadli do pokoju Eddiego i zaplombowali go do czasu przybycia ekipy kryminalistycznej. Ich ekipy. Nie naszej. A teraz powiedzieli, że chcą, aby zwłoki przetransportować do Langley na drugą sekcję. Po co? Dlaczego? Może mi powiesz?! Słuchaj, Meral, ta sprawa śmierdzi. Śmierdzi! Na odległość!

Mayo opadł na fotel za biurkiem.

- No dobra, słuchaj - zaczął już spokojnie i cicho. - Od czasu do czasu ktoś trafia do tego szpitala z rozpoznaniem zatrucia salmonellą. Przejrzałem dokumentację. Wszystko się potwierdza. Trafia do szpitala i umiera. Ostatni taki przypadek był rok temu. Niejaki Władimir Sekicz. To był wysokiego szczebla pracownik konsulatu radzieckiego, który okazał się asem wywiadu. Podobno właśnie miał zdradzić, przejść na drugą stronę. Był też tu inny z salmonellą. Bułgarski urzędnik służby bezpieczeństwa, który prawdopodobnie miał związki z Rosjanami. Słuchaj, Meral, od salmonelli się nie umiera. To banalne zatrucie.

- Ale podobno umarli na atak serca.

- Jesteś jak moja matka. Choćby się trafiło nie wiem jakie nieszczęście, machała ręką i mówiła: „Gorsze rzeczy zdarzają się na morzu”. Posłuchaj, upozorować atak serca jest bardzo łatwo, wystarczy zastrzyk z insuliny. Rozumiesz? Mała strzykawka do iniekcji podskórnych

zamontowana pod sygnetem na palcu zabójcy. Można poklepać kogoś po nodze, jakby dla dodania mu otuchy albo na pożegnanie, delikwent nawet nie poczuje. Sekicz był pilnowany przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, jeden strażnik siedział w pokoju, drugi przy drzwiach na korytarzu, ale nawet strażnik mógłby niczego nie zauważyć.

- A czy insulina nie wychodzi w czasie sekcji?

- Wychodzi, choć tylko w pewnych warunkach. Sekcja musi być zrobiona szybko, nie później niż po osiemnastu godzinach. Z tym Sekiczem było tak, że Rosjanie wyciągnęli go stąd, przetransportowali samolotem do Moskwy i dopiero potem zrobili sekcję. Poza tym zamordować bez śladu można w inny sposób. Wymaga to wprawdzie trochę więcej finezji, trochę podstawowej znajomości fizjologii człowieka, ale korzyść jest taka, że nie zostawia się żadnych śladów. Trzeba tylko wstrzyknąć do krwi małeńki pęcherzyk powietrza. Gdy pęcherzyk dojdzie do serca, następuje nagły zgon. Bez śladu. Znam wiele różnych sposobów, niewzbudzających żadnych podejrzeń i nie do wykrycia w żadnym badaniu.

Meral zmrużył oczy z zafascynowaniem.

- Naprawdę myślisz, że to były morderstwa?

- A co mam myśleć? Padli trupem na widok rachunku za leczenie?

- Widzę, że bardzo się tym emocjonujesz.

- Eddie Shore był uroczym człowiekiem.

- No to dlaczego ktoś miałby go zabić?

- Nie wiem. Wiem tylko, że zainteresowało się tym CIA, a poza tym jeśli chce się kogoś uśmiercić, to szpital jest najlepszym miejscem, by tego dokonać. Ludzie tu umierają. W szpitalu to zwyczajna rzecz. - Zastanawiał się chwilę. - No i jeszcze jedno.

- Co?

- Mniej więcej na godzinę przed śmiercią do Sekicza ktoś wszedł z elektrolitami, wynikami badań gospodarki wodno-elektrolitowej. Od czasu do czasu zleca się takie badanie, żeby sprawdzić, czy nie doszło do zaburzeń wskutek wymiotów albo biegunki. Pobiera się krew, bada w laboratorium i stamtąd przychodzą wyniki.

- Moses, do czego prowadzisz? Jakiś lekarz tych ludzi uśmiercił?

- Mówisz jak wtedy w naszej szkole w Ramalli, gdy podejrzewałeś, że siostra Józefa ukradła ci drugie śniadanie. Lekarze zlecają badanie elektrolitów, sami go nie robią. Wyniki przyniósł jeden z sanitariuszy. Czy naprawdę jest nam potrzebny arabski inspektor Clouseau?

Meral odwrócił głowę i wyjrzał przez okno.

- No więc pomóż mi to rozwiązać, Meral. Dwa dni po śmierci Shore'a spotkałem Dave'a Fuchsa, lekarza, który go prowadził, i mówiliśmy o tym, jak bardzo niespodziewany był to zgon. I Fuchs powiedział mi coś bardzo dziwnego: że jeden z naszych wolontariuszy... Możesz go znać z „Casa Nova”. Pracuje u was dorywczo. Wilson się nazywa. - Meral wrócił wzrokiem do Maya.

- Ach, Wilson. Tak. Znam go.

- Więc Fuchs mi powiedział, że Wilson przyszedł do niego nazajutrz i chciał się dowiedzieć, co się stało. Powiedział też, że Fuchs dzwonił do laboratorium godzinę przed śmiercią Shore'a i zlecił wykonanie badania elektrolitów, i kazał przysłać wyniki prosto do pokoju Shore'a, a nie jak zwykle do dyżurki, bo miał być u niego. Ale gdy Wilson wszedł na górę z wynikami, tak opowiada, pokój był ciemny, paliło się tylko nocne światło, a Shore spał. Fuchs mówi, że w ogóle nie wie, o co chodzi, i że nawet go w szpitalu nie było tamtej nocy, był po dyżurze. Meral, to jest jakieś wariactwo. Coś dziwnego. Nic się tu nie zgadza.

Meral milczał.

Mayo pochylił się podniecony, położył ręce na blacie biurka.

- Ja nie mam urojeń. Rozumiesz? Mam silne przeczucie, że tu się coś dzieje. Wiesz, jak to jest z przeczuciami, dobrze wiesz, prawda? Przecież to twoja specjalność. Wiem, że coś tu nie gra. Czuję to każdym nerwem. Dlaczego ktoś miałby zamawiać badanie elektrolitów i wyniki kazać dostarczyć do pokoju Shore'a?

- Chyba wystarczająco się naczytałem Agathy Christie, żeby się domyślić.

- No więc dlaczego twoim zdaniem?

- Nie wiem, czy powinienem ci mówić. To tylko by podsyciło twoją paranoję.

- Meral, skąd znasz takie wielkie słowa? Tego jednego nauczyły cię te złośliwe siostry w szkole, a potem powiedziały, że to ryba o zębach ostrych jak brzytwa? Te katolickie zakonnice nie cofną się przed niczym, żeby człowiekowi złamać psyche. Daj spokój, mów. Jak brzmi twoja hipoteza? Czy hipoteza Herkulesa Poirot czy czyjakolwiek?

- No cóż, jeśli Shore rzeczywiście został zamordowany, jak ci się wydaje, to można by przypuszczać, że zabójca chciał rzucić podejrzenie na Wilsona. I że był nim ktoś, kto chciał usunięcia Wilsona z drogi albo nawet jego śmierci.

- Chodzi ci o to, że chciał, aby na Wilsona padło podejrzenie o zabójstwo?

- Ja tylko wchodzę w twoje fantazje, bracie.

- To wcale nie fantazja.

Meral wzruszył ramionami.

- A dlaczego nie zwrócisz się z tą sprawą do Szloma?

Mayo aż się cofnął, jakby ujrzał upiora.

- Do Szloma? Szloma Urisa, mojego siostrzeńca idioty, niedowarzonego inspektora policji, który kiedyś opukiwał ściany Grobu Pańskiego, szukając zamurowanego tajemnego przejścia? Proszę cię, bądź poważny.

- Słyszałem, że jest inteligentny - odparł Meral. - A szpital Hadassa podlega jego jurysdykcji. Nie mojemu komisariatowi. Mnie nie wolno się tu wtrącać.

- Ale z tym wariatem, Chrystusem zabójcą, pomogłeś.

- To była przyjacielska przysługa. Nie prowadziłem śledztwa. A poza tym, Moses, na moim terenie morderstwa są rzadkością, zwłaszcza takie nietypowe. Rozwiązuję zagadki morderstw, czytając powieści kryminalne. A tu jest prawdziwe życie.

- Ja w każdym razie nie odpuszczę tej sprawy. Nie ma mowy. Będę kopać, aż się do czegoś dokopię.

- W porządku, działaj. Jesteś w tym dobry. Naprawdę.

- Co się z tobą dzieje, Meral?

- O co ci chodzi?

- O twoją minę. Przejrzyj się w lustrze. Jak żyję nie widziałem tak nieszczęśliwej miny.

Mayo wstał.

- To jest problem z dzisiejszymi lekarzami - oświadczył. - Przychodzi się do gabinetu, a oni szperają w papierach, przeglądają wyniki, nie spojrzą jednak pacjentowi w twarz, skąd można często wyczytać całą diagnozę. Bardzo często. No dobra, chodź ze mną.

- Dokąd?

- Chodź do pokoju zabiegowego. Muszę sprawdzić parę rzeczy.

- Chyba nie mam czasu.

- To znajdź.

Dwadzieścia minut później Meral zapinał guziki koszuli, a Mayo składał rękaw aparatu do mierzenia ciśnienia.

- No cóż, jesteś zdrow - powiedział. - Czy to cię przygnębia? Musisz zacząć się leczyć. Powtarzam ci, zacznij się z kimś spotykać. Weź się za siebie. Błagam cię! Nie rozpamiętuj, nie



szukaj w sobie winy. Wiesz, mówią, że jeśli ktoś przeżyje śmierć kliniczną, opowiada, że widział jasne światło na końcu tunelu i całe życie przebiegło mu przed oczami, wszystko, co uczynił złego. A ty dzień w dzień przeglądasz to, co uważasz za złe w swoim życiu, i to co dziesięć minut!

Wrócili do gabinetu Maya. Meral wziął swój beret z wieszaka, podszedł do biurka przyjaciela z dzieciństwa, który siedział z łokciami opartymi na blacie, a głową opartą na dłoniach.

- Nie odpuszczę tej sprawy - zarzekł się jeszcze raz Mayo. - Na pewno.

- Uważaj na siebie - powiedział łagodnie policjant, odwrócił się i powoli wyszedł. Gdy był już w rojnym holu, rzucił za siebie przeciągłe spojrzenie.

## ROZDZIAŁ 9

- Skąd to wszystko masz?
- Co?
- No wiesz... morfinę, strzykawki.
- Co za różnica?
- Pewnie są kradzione?
- Przesłuchujesz mnie?
- Ach, znów ten uśmiech archanioła.
- Zmienimy teraz opatrunek. Proszę. Usiądź.
- Jesteś inny.
- Ano tak.
- Teraz to jest znacznie silniejsze.
- Co?
- To światło. To twoje przerażające światło wewnętrzne. Silniejsze i gorsze, znacznie gorsze niż przedtem.
- Dlaczego gorsze?
- Boleńsze. Jest tak bolesne jak wybaczenie.

## ROZDZIAŁ 10

- I co, Shore przyjeżdża do Izraela, umiera w tajemniczych okolicznościach, a ty próbujesz nam wmówić, że on nie przyjechał tu z misją do wypełnienia? Zawsze w podróży, ciągle czegoś szuka, szpera, zbiera materiały, wygłasza prelekcje: idealny człowiek do przekazywania tajnych wiadomości i załatwiania tajnych spraw. Wszyscy o tym wiemy. Moje pytanie jest następujące: co on tu załatwiał?

Siedzieli w gabinecie Moszego Zui, 43-letniego prawnika i oficera śledczego Szin Bet, izraelskiej służby bezpieczeństwa, której kompleks biurowy z pięćdziesięcioma dwoma gabinetami krył się bezczelnie za pojedynczymi umocnionymi drzwiami na piętrze telawiwskiego domu towarowego z barami szybkiej obsługi, zakładami optycznymi i butikami z odzieżą damską. Tabliczka na drzwiach głosiła enigmatycznie: „Best Products”.

- No dalej - zachęcał Zui. - Wiemy, że natychmiast przetrząsnęliście jego salę w szpitalu. Przyznaj się. Przecież jesteśmy tu wszyscy przyjaciółmi, nieprawdaż? Co się wahasz?

Zui przemawiał do Williama Sandallsa, wysokiej rangi funkcjonariusza CIA, który oficjalnie pełnił obowiązki attaché dyplomatycznego, a w tej chwili siedział wygodnie w fotelu przed biurkiem Zui. Sandalls, emerytowany wojskowy w stopniu pułkownika, który wiele lat służył w Japonii, był wysoki, nieco tęgi, lubił granatowe garnitury z kory, blond włosy strzygł na jeża, twarz miał w zmarszczkach, a mały zadarty nos nadawał mu niewinnie chłopięcy wygląd, który nieustannie starał się podkreślać, choć złośliwy błysk w oku trochę go demaskował. Wyciągnął przed siebie ręce wnętrzem dłoni do góry.

- Co ja mam ci powiedzieć?

- Mógłbyś wiele. Ale nie chcesz.

Zui się odwrócił, by porozumieć się wzrokiem z drugim agentem Szin Bet obecnym w gabinecie, Lodem Evertem. Evert stał, opierając się plecami o ścianę, z założonymi na piersiach rękami. Zui popatrzył na niego pytająco. Evert przytaknął mu, więc Zui z powrotem popatrzył na Sandallsa.

- Dobra, wiemy, co miał do wykonania - przyznał Zui. - Przenosił informacje tak drażliwe, że nie chcieliście ryzykować ich przechwycenia czy też zniekształcenia przez jakąś wtyczkę, więc Shore musiał je trzymać wyłącznie w głowie i miał je zakomunikować osobiście ambasadorowi.

- Ach, więc już wiecie?! Tego się nie spodziewałem.

- Staramy się. A teraz: co miał mu Shore powiedzieć? O jakimś szykowanym ataku? Jakieś informacje, od których zależy los państwa? Że nasza premier Golda Meir farbuje włosy?

- Słuchaj, cokolwiek to było, nie wiedział tego nikt prócz Shore'a. Nawet my.

- Na jaki kolor je farbuje?

- Przestań się wygłupiać.

Zui z nieprzeniknioną miną spojrzał na Loda, potem z powrotem na Sandallsa i przesunął ku niemu powoli, czubkami palców, otwarte metalowe pudełko ze szwajcarskimi czekoladkami.

- Poczęstuj się. I weź ze sobą kilka do ambasady albo zjedz po drodze, jeśli masz ochotę, a potem do nas wróć. Sandalls sięgnął do pudełka.

- Mam wrócić?

- Tak, zaraz. Do czekoladek wstrzyknęliśmy serum prawdy.

Sandalls cofnął rękę.

## ROZDZIAŁ 11

Mając przed sobą niemal całą niedzielę, Meral wsiadł do hałaśliwego starego autobusu jadącego do Ramalli. Tam poszedł na katolicki cmentarz, daleko od gwaru suku, położył kwiaty na grobach rodziców, żony i syna. Rano trochę kropiło, trawa i kamienie nagrobne parowały, powietrze było ciężkie od wilgoci czy od żalu, a ziemia zdawała się równie nieruchoma jak serca, które w sobie kryła. Meral się zastanawiał: czy oni wiedzą, że tu jestem? Któż to wie.

Potem udał się do leprozorium, aby się spotkać z przełożoną, siostrą Eleną Kariną, która go kiedyś uczyła w tutejszej szkole katolickiej. Wypili herbatę, powspominali. Pomilczeli. Tak było dobrze.

- Peter, wciąż jesteś wierzący?

- Tak. Cóż się liczy poza wiarą?

Wiedział, że to jej sprawi przyjemność.

Tuż przed wyjściem spytał o trędowatą, która odzyskała wzrok.

- Ach, Rima - powiedziała zakonnica, przechylając głowę.

W jej oczach pojawił się smutek i jeszcze coś, czego Meral nie potrafił uchwycić, choć był pewien, że widział to już, i to niedawno. Ale gdzie?

- Umarła parę dni temu.

- Ojej, naprawdę? To smutne.

- Wcale nie. Umarła szczęśliwa.

Po powrocie do Jerozolimy Meral zajrzał do „Fuada”, swojej ulubionej kawiarni, gdzie - jeśli pogoda sprzyjała - można było usiąść na zewnątrz naprzeciwko wielkich masywnych drzwi do bazyliki Grobu Świętego. Kamienna budowla z czwartego wieku stoi nad Golgotą i miejscem pochówku Jezusa. Codziennie rano, punktualnie o wpół do piątej, i drugi raz o zachodzie słońca odbywa się ceremonialne otwieranie i zamykanie na klucz drzwi kościoła, odprawiane przez dwóch członków różnych rodzin muzułmańskich: Judehów i Nusejbehów. Funkcję kluczników powierzył Judehom sam sułtan Saladin; ród Nusejbehów został później wyznaczony klucznikom

do pomocy. O określonych porach rano i wieczorem ktoś z Nusejbehów niósł dwudziestopięciocentymetrowy klucz - przekazywał przedstawicielowi Judehów, który wchodził na drabinę i przekręcał klucz w zamku.

Meral czasami obserwował zamykanie, a potem często Nusejbeh albo Judeh, albo obaj przysiadali się do jego stolika i pili razem kawę. Rozkoszowali się jego obecnością. Meral, przedstawiciel Dobra. obrońca i opiekun. Nie mógł im powiedzieć, że mu przeszkadzają, bo on tu nie przyszedł na kawę, ale po to, by przyglądać się Grobowi Chrystusa i sprawdzać fakty dotyczące zmartwychwstania, jakby prowadził metodyczne policyjne śledztwo. Nie miało dla niego znaczenia, że w trakcie tego procesu nigdy nie wychodzi na jaw nic nowego, żadne oryginalne hipotezy, żadne nieznane dotąd fakty. Potrzebował tylko otuchy, którą czerpał z tego, co od dawna wiadomo: z wiarygodnych dzięki swej powściągliwości opisów z Nowego Testamentu, minimalistycznych, pozbawionych zadęcia i dramaturgicznych chwytów. Jakby wychodziły z założenia, że fakty są nie tylko wszystkim dobrze znane, ale nie budzą niczyich wątpliwości, nie trzeba więc nikogo przekonywać. Jezus nie pojawiał się nocą, lecz w biały dzień, a idea Mesjasza wskrzeszonego - a co dopiero Mesjasza katastrofalnie upadłego - była czymś zupełnie nowym, właściwie zupełnie niesłychanym w żydowskiej tradycji tamtych czasów. Meral sączył kawę i wpatrywał się w kościół, prowadząc w myślach swoje ulubione przesłuchanie:

„A więc, święty Pawle, co takiego powiedziałeś tłumowi zebranemu na zboczu wzgórza?”

„No cóż, powiedziałem, że mniej więcej pięćset osób widziało w którymś momencie zmartwychwstałego Jezusa, a większość z tych świadków nadal żyje”.

„Czy któryś z nich był obecny w tym tłumie w dniu, gdy wygłaszałeś kazanie?”

„Nie wiem. Może tak, może nie. A sądzę, że było ich trochę. Większość wiernych to ludzie młodzi, nastolatki. Gorliwi. Więc raczej przyszli. A jeśli nie, to na pewno wkrótce by się o wszystkim dowiedzieli”.

„Nie martwiłeś się, że mogą cię ukamienować za kłamstwo?”

„Nie”.

- Bracie Meral, twoje myśli błędzą gdzieś daleko.

- Proszę o wybaczenie.

- Czy to o czym myślisz, jest takie bolesne?

- Nie, mój bracie. To o czym myślę, daje mi pociechę i nadzieję.

- Zatem niech cię Bóg ma w opiece. Zostawiam cię z twoimi myślami.

Kolacja w domu pielgrzyna była tego wieczoru doskonała: cielęcina na sposób francuski z chrupiącą zapiekanką ziemniaczaną i zielonym groszkiem. Meral nie miał jednak przy stoliku towarzystwa żadnego księdza, w ogóle w jadalni było pustawo, dużo ciszej niż zazwyczaj. Później Meral pojechał autobusem do Jerozolimy Zachodniej do kina, na amerykański western *Jeździec znikąd* z napisami zarówno hebrajskimi, jak i arabskimi. Meralowi film się podobał, głównie ze względu na poświęcenie głównego bohatera w zakończeniu filmu. Przemawiało do niego jakąś transcendencją, której nie potrafił jednak uchwycić dokładniej. Nie był pewien, czy takie poświęcenie może się zdarzyć w prawdziwym życiu. To co na pierwszy rzut oka wydawało się odbiciem „miłości, która stworzyła światy” jak u C. S. Lewisa, po dokładniejszym przyjrzeniu okazywało się czymś niekoniecznie aż tak bezinteresownym, jak można było zakładać. Może takie rzeczy się zdarzają, ale znał je z książek i filmów, nie z realnego życia. Własnego życia. Wiedział tylko, że potrzeba napotkania takiej właśnie rzeczy jest w jego duszy zimnym, ciemnym ogniem, który choć pali się bez blasku, bez żaru, to nie da się go ugasić, jak nie da się ugasić światełek na niebie - gwiazd.

„Shane, wracaj!”.

Ten krzyk trafił go w serce.

Wróciwszy do „Casa Nova” Meral trochę poczytał dla odprężenia - kolejny kryminał Agathy Christie - a potem, parę minut po dziesiątej, położył się do łóżka. O 23.32 zadzwonił w recepcji telefon. Zażądano natychmiastowego wezwania Merala. Dzwonił ktoś z bazyliki Grobu Pańskiego. Tym razem Patience uległ i załomotał do drzwi sypialni Merala. Znalaziono zwłoki mężczyzny w garniturze, pod krawatem, o twarzy zniekształconej przez blizny po oparzeniu. Leżał na wznak na płycie Grobu Chrystusa. Nie było śladów gwałtownej śmierci, nie znaleziono listu pożegnalnego samobójcy, a jedynie międzynarodowe prawo jazdy w portfelu zmarłego i pustą zaadresowaną kopertę ze znaczkiem w kieszeni marynarki. Nazwisko na kopercie i na prawie jazdy było to samo. Josef Temescu.

## ROZDZIAŁ 12

Sierżant Meral i kapral Isa Zananiri weszli do mieszkania w dzielnicy Wzgórza Jerozolimskie, którego adres widniał na kopercie. Zmarły wynajął je na tydzień przed śmiercią. Mieszkanie było ponure, skąpo umeblowane. Policjanci najpierw przejrzeni je pobieżnie, a następnie zaczęli przeszukiwać szczegółowo każdą szafkę, każdą szufladę i półkę. Znalaziono parę rzeczy bardzo interesujących, parę mniej. Wszystkie umieszczono w specjalnych kopertach jako dowody rzeczowe. Zamiast coś wyjaśnić, dawać odpowiedzi na pytania, rzeczy te miały tylko wprowadzać zamęt w głowach. Były tam na przykład: kredka do powiek, róż do policzków i srebrna puszczałka białej farby dla klaunów do charakteryzacji twarzy. Były też trzy pomarańczowe plastikowe piłeczki do żonglerki.

I cyrkowa ruda peruka klauna.



## ROZDZIAŁ 13

PRZESŁUCHANIE STARSZEGO SIERŻANTA PETERA VINCENTA MERALA  
Z DNIA 21 MARCA 1974 R. W KWATERZE GŁÓWNEJ WYWIADU, TEL AWIW.

Obecni: Charles Bell i William Sandalls z Ambasady Stanów Zjednoczonych; Mosze Zui, wywiad Izraela; protokolantka: Deborah Peltz.

ZUI: Witam, sierżancie Meral. Miło pana widzieć. Przepraszamy za spóźnienie. Widzę, że zadbano o pana, czy kawa dobra?

MERAL: Owszem.

ZUI: Słyszałem o panu same dobre rzeczy.

MERAL: To z pewnością na wyrost.

ZUI: Czy zna pan Billa Sandallsa?

MERAL: Chyba nie. Gdzie pracujecie?

SANDALLS: W ambasadzie amerykańskiej. Obaj jesteśmy attachés.

ZUI: Mnie też to próbuje wmówić. To bzdura. Jest z CIA. Ten jego kolega, Charlie Bell, tak samo. Myślą, że to zabawne. Pan popatrzy, sierżancie, zachowują się jak chłopcy, co schowali w szafie tajne pierścienie do maszyny szyfrującej.

SANDALLS: Miło mi pana poznać, sierżancie.

BELL: Witam, sierżancie Meral.

MERAL: Witam panów.

ZUI: Może jeszcze kawy?

MERAL: Nie, dziękuję.

ZUI: Dziewczyna, która zwykle u nas parzy kawę, jest dzisiaj chora.

MERAL: Szkoda.

ZUI: Wie pan, co mam na myśli. Więc po pierwsze, chciałbym podkreślić, że to nie jest przesłuchanie. Ale nasi amerykańscy przyjaciele zapytali, czy mogliby usłyszeć kilka rzeczy od pana bezpośrednio i zadać panu kilka pytań. Nie ma pan nic przeciwko temu?

MERAL: Nie, absolutnie. O co chodzi?

ZUI: Nie ufają nam.

SANDALLS: Przestań się wygłupiać, Zui! Po prostu chcemy mieć zupełną pewność.

MERAL: Na jaki temat?

ZUI: Pański raport dotyczący zwłok znalezionych w bazylice Grobu Pańskiego wzbudził zaniepokojenie ze względu na sprawy, o których pan prawdopodobnie nie wie, dlatego Amerykanie chcieliby, aby przedstawił pan wszystko jeszcze raz. W rozmowie może wyjdą na jaw jakieś drobiazgi, których mógł pan nie umieścić w raporcie przez przeoczenie albo uznał je pan za nieistotne, a tymczasem dla nas mogą mieć wybuchowe znaczenie. Czy teraz pan rozumie?

MERAL: Tak, wszystko jasne. Czy mógłby pan wyjaśnić, co miał pan na myśli w ostatnim zdaniu? Powiedział pan „wybuchowe znaczenie”.

ZUI: No, może trochę przerysowałem. Nie chce pan jeszcze kawy? Jest pan pewien?

MERAL: Jak niczego na świecie.

ZUI: Rozumiem doskonale. A więc przeczytaliśmy też pański raport dotyczący wypadku na ulicy Remli, mamy wrażenie, że jest wyczerpujący. Bardzo dobrze. Przejdźmy więc od razu do człowieka w bazylice, którego z początku zidentyfikowano jako Josefa Temescu.

MERAL: Z początku?

ZUI: Życie to ciągła zmiana. Telefon z bazyliki był bezpośrednio do domu pielgrzyma, nie do komisariatu lub stacji pogotowia ratunkowego? Czy tak?

MERAL: Zadzwonili na pogotowie. Ale potem. Do mnie rzeczywiście najpierw. Dzwonił Wadzi. Wadzi Nusejbeh z tej rodziny, która pilnuje klucza.

SANDALLS: Jakiego klucza?

MERAL: Klucza, którym zamyka się kościół.

SANDALLS: To ten człowiek znalazł zwłoki, prawda? Wadzi?

MERAL: Wadzi. Ale zwłoki znalazł jeden z greków, mnichów grecko-prawosławnych. Od północy do świtu odprawiane są nabożeństwa. Katolicy, franciszkanie, zaczynają mszą łacińską. Wszystkie wyznania: katolicy, ormianie, koptowie, grecko-prawosławni wspólnie dbają o to, aby

palily się lampy i świece w kaplicy Grobu i żeby było czysto. Teraz przypada kolej na greków, więc ten mnich poszedł sprawdzić kościół za kwadrans dwunasta, bo po mszy franciszkanie idą z procesją do Grobu i...

SANDALLS: Tam jest strasznie ciasno, prawda? Przepraszam bardzo. Ile tam się zmieści osób: dziesięć, dwanaście? Nie więcej.

MERAL: Jakoś się mieszczą. Wchodzą i wychodzą gęsiego.

ZUI: Jest pan pewien, że to był mnich, a nie ktoś inny? Mam tu pański raport i zdaje mi się... ach, nie, przepraszam. Mój błąd. To był mnich. Anastasios Scorpis. Proszę kontynuować, sierżancie. Przepraszam, już nie przerywam.

MERAL: Nie szkodzi. Mnich zobaczył zwłoki i głośno krzyknął, jak mi mówiono. Nie był pewien, czy mężczyzna jest martwy czy żyje, czy nie skoczy na niego jak w jakimś horrorze. Wybiegł z Grobu, wciąż krzycząc, i obudził Wadziego, Wadzi przyszedł, stwierdził, że to trup, i wtedy zadzwonił do „Casa Nova”.

ZUI [spojrzawszy na Amerykanów]: Wierzą ci.

SANDALLS: Przestań jątrzyć.

ZUI: Trudno się powstrzymać. Proszę kontynuować, sierżancie. Więc zadzwoniono do pana. Co było potem?

MERAL: Czy mógłbym do czegoś wrócić?

ZUI: Do czego?

MERAL: Do pańskiej wzmianki o tym, że identyfikacja Temescu jest nieaktualna. Nie mogę przestać o tym myśleć.

ZUI: Rozumiem, ale nie ma potrzeby wyjaśniania tego panu. Przynajmniej na razie. Proszę kontynuować. Zadzwonił Wadzi. I co potem?

MERAL: Zadzwoniłem na komisariat, wezwałem ekipę kryminalistyczną i pobiegłem do kościoła. Byłem po sześciu minutach, to bardzo blisko „Casa Nova”. Spodziewano się mnie, zamek w drzwiach już otwarto. W środku panował chaos. Mnisi, księża rozmaitych wyznań załamywali ręce, pytali, bali się, nie wiedzieli, co o tym myśleć. Czy zwłoki na kamieniu nagrobnym coś mają oznaczać? Czy należy je usunąć, czy odprawić nabożeństwo z trupem na płycie? Pop zarzucił na zmarłego białą płachtę, ormianin uważał, że zwłoki na pewno nie będą się rozkładać i należy je tu zostawić na stałe. To omal nie wywołało awantury. Potem grecy zaczęli wyrażać głośno przekonanie, że to znak od Boga, bo widać przedstawiciela tego

wyznania, które miało teraz odprawiać nabożeństwo, zamierzali popełnić jakieś świętokradztwo. Jak już powiedziałem, dom wariatów. Spokojny był tylko trup. Wyglądał, powiedziałbym, pogodnie. Ubrany elegancko, garnitur, krawat, różowo-biały kwiat w butonierce, jak ciało wystawione w domu pogrzebowym dla najbliższych. Ręce złożone na piersi jak na obrazach zmarłych świętych. A przy okazji, proszę mi wybaczyć, jaka była przyczyna śmierci?

ZUI: Jeszcze jej nie ustaliliśmy, sierzancie. Trwa druga sekcja zwłok. Podczas pierwszej ustalono, że był w ostatnim stadium raka. Nieuleczalnego raka. Trzustki.

MERAL: I od tego umarł?

ZUI: Szukamy dalej.

MERAL: A zatem morderstwo?

ZUI: Samobójstwo lub morderstwo, nie wiadomo. Ale wracajmy do rzeczy, sierzancie. Jedźmy dalej. Znalazł pan przy zwłokach coś, co zaprowadziło pana do umeblowanego mieszkania, które Temescu wynajął na Wzgórzach Jerozolimskich trzy tygodnie temu. Tak?

MERAL: Mniej więcej.

SANDALLS: Udał się pan tam sam, sierzancie?

MERAL: Nie. Wziąłem ze sobą kaprała Zananiriego.

SANDALLS: A zatem jest świadek.

MERAL: Świadek? Świadek czego?

ZUI: Tego, że znalazł pan tam to, co pan twierdzi, że znalazł. Sandalls uważa, że całymi dniami siedzimy tutaj, żujemy macę i wymyślamy, jak sfabrykować dowody, żeby on i Bell wyszli na większych durniów, niż są.

SANDALLS: Mosze, to do ciebie niepodobne.

ZUI: Sierzancie Meral? Może pan opowiadać dalej?

MERAL: Dozorczyni zaprowadziła nas do mieszkania. Jest małe: dwa pokoje, aneks kuchenny, łazienka. Bardzo ponure. Jakieś stare wynajęte meble. Zrobiliśmy szczegółowe przeszukanie. Nie było tam prawie odzieży, w szafie wisiała tylko marynarka, koszula i spodnie. Bez etykiet. Wszystkie odcięto. Ubrania były zakurzone. Ale jak panom wiadomo, znaleźliśmy parę ciekawych rzeczy. Przede wszystkim paszporty i dowód osobisty.

ZUI: Oraz piłki do żonglowania i elementy kostiumu klauna.

MERAL: To panów zainteresowało?

BELL [do Sandallsa]: To nasz człowiek, bez dwóch zdań.

MERAL: Chyba czegoś nie rozumiem.

ZUI: Nieważne. Jedźmy dalej.

MERAL: Tak jest. A więc zaczęliśmy rozpytywać w sąsiedztwie. O Temescu. Jest tam tylko parę mieszkań. To budynek czterokondygnacyjny. Niektóre mieszkania były puste, a w tych, gdzie ktoś był, dowiedzieliśmy się niewiele. Praktycznie nic. Widziano go tylko raz, gdy się wprowadzał, a potem już nie. Słysząc go też nie było. Nie szumiała woda. Nie grało radio. Żadnych kroków. Nic. Ale pewna kobieta z pierwszego piętra, z mieszkania w tym samym korytarzu co mieszkanie Temescu, młoda gospodyni domowa, która wróciła do domu, gdy już kończyliśmy, powiedziała nam, że słyszała, jak ktoś wchodził do tamtego mieszkania rano tego dnia, gdy znaleziono ciało. Powiedziała nam, że ten ktoś był tylko parę minut, słyszała, jak otwierał szafę, potem wysuwał szufladę. Później słyszała, jak zamykał. A na koniec wyszedł.

SANDALLS: Nie widziała go jednak?

MERAL: Nie. Nie widziała. Ale jest jeszcze coś...

ZUI: Tak?

MERAL: Wygląda na to, że to wszystko powtórzyło się jeszcze raz późnym wieczorem: ktoś wszedł na chwilę do mieszkania, wysunął i wsunął szufladę, wyszedł.

ZUI: Jedną szufladę?

MERAL: Jedną. Ale o tej porze Temescu już nie żył. Kto to był w takim razie?

SANDALLS: Tym razem kobieta też nie widziała tej osoby. Prawda?

MERAL: Już leżała w łóżku. Nie jest pewna, czy to był mężczyzna.

ZUI: Czy jej sypialnia jest tak położona, że kobieta mogła być pewna, że te odgłosy dochodziły z mieszkania Temescu?

MERAL: Nie, jest w drugim końcu mieszkania. Dlatego nie była stuprocentowo pewna.

ZUI: Jedźmy dalej. Wspomniał pan [zagląda do notatek] o kobiecie, pielęgniarce, która mieszka w pobliżu. Nazywa się Samia...

MERAL: Tak, Samia Maroon. Trochę się znamy, mamy wspólnego znajomego. Szła ulicą i widziała nas, jak wchodziliśmy do budynku, a kiedy wyszliśmy, czekała na nas przy radiowozie. Przywitała się, a potem zapytała, co się stało. Była zaciekawiona.

BELL: Wścibska baba, sierzancie?

MERAL: Ach, nie. Zupełnie nie. To sympatyczna osoba. Pokazałem jej prawo jazdy ze zdjęciem Temescu i zapytałem, czy go kiedyś tu widziała. Przyglądała się, mrużąc oczy, jakby

niewyraźnie widziała. Prawdę mówiąc, zdjęcie jest trochę nieostre. Patrzyła i patrzyła, w końcu zrobiła zakłopotaną minę. Spojrzała na mnie, otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale ostatecznie zrezygnowała. Powstrzymała się, szybko zamknęła usta. Miała zaniepokojenie na twarzy, przyglądała mi się uważnie, zerknęła w oczy, uciekała wzrokiem. A potem zadała pytanie. Zapy...

SANDALLS: Chwileczkę. Przepraszam. To jest jedna z tych rzeczy, co do których chcemy mieć absolutną pewność. Rozumie pan? Proszę powtórzyć słowo w słowo, co powiedziała. Dobrze, sierzancie? Tak jak pan zapamiętał.

MERAL: Zapytała: „Czy to ma coś wspólnego z morderstwem czy czymś takim? Z jakąś naprawdę ciężką zbrodnią?”.

ZUI: Dokładnie tak pan podał w raporcie. Proszę kontynuować.

MERAL: Powiedziałem jej, że tak. Niewykluczone, popełniono poważne przestępstwo. Wtedy od razu odpowiedziała. Powiedziała, że nigdy tego człowieka nie widziała. I dodała, że chciałaby się ze mną spotkać wieczorem na drinka albo na kawę. Nie umieściłem tego w raporcie.

ZUI: Rzeczywiście nie ma tego. Utrzymuje pan z nią stosunki towarzyskie?

MERAL: Nie. Nigdy się z nią nie umówiłem. Chociaż czasami zaczepia mnie pod jakimś pretekstem.

ZUI: A tego wieczoru?

MERAL: Nie, nie spotkaliśmy się. Nie przywiązywałem wagi do jej propozycji.

ZUI: Jak pan sobie tłumaczy jej zachowanie, sierzancie?

MERAL: Trudna sprawa. Ale podejrzewam, że tak naprawdę widziała Temescu.

ZUI: Z jakiego powodu kłamała?

MERAL: No cóż, może należeć do tych osób, co wolą się w nic nie angażować.

ZUI: Tak pan myśli?

MERAL: Prawdę mówiąc, nie. Wziąwszy pod uwagę jej zachowanie, a jak powiedziałem, znam ją trochę, podejrzewam, że chce kogoś chronić.

ZUI: Racja. Zwrócono nam uwagę na pewną lukę w pańskim raporcie.

MERAL: Czyżby?

SANDALLS: Czy ktoś ze stałych bywalców kościoła nie powinien był widzieć zmarłego, jak wchodził do kaplicy Grobu? Choć to nie jest zupełnie wykluczone, ale trudno mi sobie wyobrazić, że ktoś wtaszczył tam zwłoki. W kościele na pewno jest ktoś, kto stale pilnuje wejścia

do Grobu, czyż nie? Ktoś, kto sprawdza, czy nie chce wejść jakiś wariat z bombą albo za dużo ludzi naraz?

MERAL: Owszem, jest ktoś taki. A właściwie trzy osoby. Pełnią ośmiogodzinne dyżury, na zmianę.

SANDALLS: Czy nie należałoby ich przesłuchać? Mogliby potwierdzić, że tego człowieka nie wniesiono, powiedzieć, czy wszedł sam czy z kimś.

MERAL: Ma pan absolutną rację. Tak się składa, że już przesłuchałem dwóch z trójki strażników. Żaden nie zapamiętał wchodzącego Temescu. Ale zanim wyciągnę wnioski, czekam na przesłuchanie trzeciego z nich, niejakiego Tarika Malufa, który jest na urlopie, pojechał w odwiedziny do krewnych w Ammanie. Dzisiaj ma wrócić, będzie miał wieczorny dyżur. Mam zamiar go przesłuchać, a jeśli coś widział, przekażę natychmiast dodatkowy meldunek.

ZUI: Właśnie, zależałoby nam, żeby pan nas informował na bieżąco.

MERAL: Oczywiście.

ZUI: Bill? Charlie? Coś jeszcze? W takim razie w porządku. Deborah, skończyliśmy. Jesteś wolna. Pan również, sierżancie Meral. Dziękujemy panu za pomoc. I za cierpliwość. Będziemy w kontakcie.

MERAL: Chciałbym jeszcze o coś zapytać. Mogę?

ZUI: Proszę.

MERAL: Powiedzieliście, że „szukacie dalej” w sprawie przyczyny zgonu Temescu. Czyli to było coś innego niż rak. Czy mógłbym wiedzieć co?

ZUI: Na razie nie.

MERAL: Jeszcze nie wiecie?

ZUI: Wiemy, ale nie możemy w to uwierzyć.

[KONIEC PRZESŁUCHANIA 11.06].

## ROZDZIAŁ 14

Dwaj policjanci przechadzający się w tę i z powrotem przed wewnętrzną komorą Grobu Chrystusa słyszeli ciche głosy ze środka. Chodzili z rękami założonymi z tyłu, z opuszczonymi głowami, a ich miarowe stąpienia po kwadratowych różowych i czarnych marmurowych płytkach, połyskujących odbitym światłem gromnic, rozbrzmiewały w powietrzu gęstym od zapachu kadzidła i rozgrzanego wosku, mieszając się z szmerem szeptanych modlitw. Meral wyszedł z domu pielgrzyma piętnaście po dziesiątej, żeby mieć zapas czasu przed rozpoczęciem nocnych nabożeństw w bazylice. Szedł śpiesznie wąską uliczką, która trzęsła się niegdyś od szczęku rzymskiej broni i dudnienia kroków maszerujących legionów. Teraz praktycznie panowała cisza, od czasu do czasu słyszeć się dawał tylko pomruk silnika obrotowej anteny telewizyjnej albo stukanie kciukiem w blachę falistą, gdy strażnik miejski sprawdzał żaluzje sklepu. Kiedy Meral znalazł się bliżej kościoła, doszło do tego zaciągające nawoływanie piekarza, który przed nocą rozdawał biedakom niesprzedany chleb.

Czy widziałeś tego człowieka? Wchodził do Grobu? - Meral przesłuchiwał Tarika, trzeciego ze strażników wejścia do Grobu Pańskiego, sześcienną komory wykutej w skale i wyłożonej marmurem. Miała nieco ponad metr osiemdziesiąt szerokości, dwa metry długości i tyle na wysokość. Odbicia płomyków świec i świateł czterdziestu trzech lamp wykonanych ze złota i srebra tańczyły w ciemnych oczach Tarika, który skubał swoją rzadką bródkę i wpatrywał się w prawo jazdy Temescu.

Oddał je Meralowi.

- Tak, wydaje mi się, że tu był. Chyba go tu widziałem.

- Czy był z kimś?

- Myślę, że tak. Na pewno. Chyba.

- To znaczy co, Tarik?

- Tak.

- Co „tak”?



- Ktoś z nim był.
- Mężczyzna, kobieta?
- Mężczyzna.
- Wchodzili razem, powiadasz?
- Tak, razem. Rozmawiali. Nie wiem, czy się nie kłócili.
- Kłócili?
- Tak myślę. Chyba. Nie jestem pewien. Sądząc z gestów, może. Ten, który był z nim, pochylał się mocno ku niemu. Coś mu szeptał. Był podniecony.
- A ten, który umarł? Ten ze zdjęcia?
- Był spokojny.
- Możesz opisać tego drugiego?
- Tak. Miał brodę.
- Tarik, spójrz na mnie. Popatrz mi w oczy. Co to za rysopis? W Jerozolimie praktycznie każdy ma brodę.
- Nie wiem, czego pan oczekuje.
- Pełnego rysopisu.
- Nie pamiętam.
- Poznałbyś go, gdybyś go zobaczył?
- Może tak, może nie. Prawdopodobnie tak.
- Miał jakieś znaki szczególne?
- Nie wiem.
- Tarik, weź się w garść.
- Dobrze, jedna rzecz zwracała uwagę. Był smutny. Wydawało mi się, że płacze.
- Płacze?
- Popłakuje.
- O której to było?
- Dokładnie nie wiem. Ale to był koniec dnia. Ostatni ludzie wchodzili.
- Weszli do środka razem?
- Możliwe.
- Możliwe?
- Tak mi się wydaje.

- Kiedy ten człowiek z brodą wychodził?
- Nie wiem. Ktoś mnie zawołał do głównych drzwi kościoła.
- Kto?
- Jakiś sprzedawca falafeli.

Meral popatrzył za odchodzącym Tarikiem, a potem schyliwszy się, żeby nie uderzyć głową w niski łuk wejścia do Grobu, wszedł do komory i w zamyśleniu patrzył na sarkofag. Był wysoki mniej więcej na 60 centymetrów od posadzki, skałę, z której został wykuty, pokryto dawno temu płytą z żyłkowanego różowo-kremowego marmuru o jedwabistej fakturze, lekko ciepłego od pełgających płomyków niezliczonych świec stojących na warcie. Meral ujrzał oczami wyobraźni leżącego Temescu i rozmyślał o zagadkowych dokumentach, które znalazł w mieszkaniu zmarłego. Była wśród nich jeszcze jedna koperta ze znaczkiem, zaadresowana do Temescu nie wiadomo czyją ręką. Zawierała list, który - wbrew nazwisku na kopercie - napisano do kogoś innego niż Temescu, jeśli sądzić ze zwrotu powitalnego. I sześć pozostałych zagadkowych dokumentów. W tym pięć paszportów: włoski, brytyjski, szwedzki, kambodżański i amerykański; każdy wystawiony na inne nazwisko, żaden na nazwisko Temescu; w każdym było inne zdjęcie, a każde z tych zdjęć przedstawiało mężczyznę, który mniej więcej przypominał Temescu, ale też różnił się czymś od tego, który był na zdjęciu w prawie jazdy. Różnice polegały na szczegółach: długości, uczesaniu i barwie włosów, karnacji i kolorze oczu, co było szczególnie wyraźne w przypadku paszportu kambodżańskiego. Różna też była grubość brwi i wydatność kości policzkowych. Poza tym na każdym zdjęciu miał inny wyraz twarzy, co mogło sprawić, że przez moment sprawiał wrażenie zupełnie innej osoby. Meral zwrócił na to uwagę szczególnie w przypadku zdjęcia w szóstym dokumencie. To był wyblakły albański dowód osobisty wystawiony na nazwisko Selca Decani.

## ROZDZIAŁ 15

Zui rzucił ponure spojrzenie Sandallsowi, który siedział razem z Bellem na sofie z wielbłądziej skóry naprzeciwko biurka Zui.

- Co on właściwie tu robił? - zapytał stanowczo.

Sandalls rozłożył szeroko ręce i pokręcił głową.

- Nie mamy pojęcia.

- Nie macie pojęcia? Najgroźniejszy skrytobójca w historii waszej agencji, a wy nie wiecie, po co tu przyjechał?

- Słuchaj, od lat nie było z nim kontaktu.

- Proszę was!

- Mosze, naprawdę. Wycofał się! Znikł!

- No przestańcie, szpiedzy nie przechodzą na emeryturę. Zmieniają tylko przykrywki. Przyjechał do Izraela z fałszywym paszportem. A to wzmocnienie na zderzak, które zamontował? Co to miało być? Miał zamiar zatrudnić się do pracy w kibucu? Przestańcie opowiadać bzdury. Dostał tu jakieś zadanie. Co to było?

- Mosze, przysięgam ci, nawet nie wiedzieliśmy, że on tu przyjechał.

- Mam wyjąć czekoladki z serum prawdy? Uważajcie. Zrzucają wam karierę. Uzależniają.

- Dziękujemy za kawę.

Tego dnia Zui wrócił wieczorem do domu, do swojego położonego w Tel Awiwie niedaleko morza małego mieszkania, gdzie mieszkał z dwójką małych dzieci i żoną, która wywinęła się śmierci w Auschwitz, bo strażnik pilnujący porządku w kolumnie więźniów kierowanych do komory gazowej spojrział na nią i zawołał do kolegów: „Zabierzcie ją stąd! Zabierzcie! Jest tak podobna do mojej córki!”.

- Jak było w pracy? - spytała, gdy Zui wszedł do kuchni.

Zui wzruszył ramionami i pokręcił smętnie głową. Zdjął marynarkę i powiesił na poręczy krzesła.

- Jak zwykle.

- Tu też normalnie. Boże, przydałoby się w życiu trochę więcej atrakcji.

Zui spojrzął, zobaczył, że żona uśmiecha się ironicznie.

Podszedł i uściskał ją serdecznie.

- Ty jesteś największą atrakcją mojego życia.

W jej życiu największą atrakcją jest samo życie.

Wkrótce miały dołączyć następne.

## ROZDZIAŁ 16

Zniecierpliwiony Mayo stał przy biurku ze słuchawką telefonu przy uchu. Zerknął na zegarek. Spóźni się na spotkanie.

- Gospościa? - powtórzył.

- Tak.

- Ile ma lat?

- Jakie to ma za znaczenie?

- Ma.

- Jest po czterdziestce.

- Ma obrzęki stóp, kostek? Zapchany nos?

- Tak. Jedno i drugie. I te małe blade plamki na twarzy: to na pewno to, doktorze Mayo.

- Drętwienie? Utrata czucia w palcach dłoni lub stóp?

- Nie wiem. Musiałbym ją zapytać. Dzwonię z kabiny na pocztę. Tak się martwię, doktorze. Ta kobieta jest w kiepskim stanie. Bardzo chora.

- Czy nie może się nią zająć jakiś lekarz na miejscu?

- Nie. Nie ma takiego jak pan. Ufam tylko panu.

- Nie możecie jej tu przywieźć? Tu by się ją przebadano.

- W tym stanie nie da rady. Wymiotuje, ma biegunkę. Oddałby pan nam wielką przysługę, przyjeżdżając. Przyjedzie pan? I bardzo proszę o dyskrecję. Wiem, że to teraz już się daje leczyć, mimo to nawet dzisiaj, gdy ktoś usłyszy „trąd”, potem są same kłopoty. Przyjedzie pan zaraz? To nie zajmie dużo czasu. Mógłby pan pobrać próbkę krwi i wykonać badania u siebie. Czy to da się zrobić?

- Tak, pewnie tak.

- Przyjedzie pan?

- No dobrze, przyjadę. Ale nie dzisiaj. Jest już za późno. Jutro rano.

- Bogu niech będą dzięki. I będę mieć dla pana coś pysznego do zabrania do domu. Drzewa w naszym ogrodzie owocują, coś pysznego.

- A co to jest?

- Zobaczy pan. Niespodzianka.

- Niespodzianka...

- Choć tyle mogę dla pana zrobić.

Tylko tyle.

## ROZDZIAŁ 17

William Sandalls zaprowadził Moszego Zui do pokoju na piętrze ambasady amerykańskiej w Tel Awiwie i usadził na krześle przy konferencyjnym stole na wysoki połysk, na którym położył tekturową teczkę bez podpisu, jedynie ze stemplem „Ścisłe tajne”.

- Oczywiście część musieliśmy ocenzurować - wyjaśnił Sandalls. - Prawdę mówiąc, sporo. Proszę. Kiedy przeczytasz, zrozumiesz, że nic nie wiedzieliśmy o żadnych zadaniach dla niego w tym kraju, a prawdę mówiąc, w żadnym kraju od co najmniej trzech lat. Tylko żadnych notatek, Mosze, dobrze? Nie będą ci potrzebne. Daj mi znać, jak skończysz. Porozmawiamy. - Wskazał na przycisk z boku stolika. - To jest dzwonek.

- A gdzie Bell?

- Zajęty. Może wpadnie później. Przy okazji: chcielibyśmy przewieźć ciało do Waszyngtonu. Przeprowadzić jeszcze jedną sekcję.

- W porządku. Dobrze. Oczywiście.

Zui patrzył, jak Sandalls szedł do drzwi, stąpając bezgłośnie po grubej brązowej wykładzinie dywanowej, otworzył drzwi, a potem cicho je za sobą zamknął. Cztery dni minęły, odkąd sekcja przyniosła ostateczny wniosek, że na karcie wizytowej śmierci denata z bazyliki Grobu Pańskiego napisane było „obrzęk płuc wywołany reakcją na jad *Leiurus quinquestriatus*”. *Leiurus quinquestriatus* to skorpion występujący pospolicie na izraelskich pustyniach. We krwi zmarłego znaleziono też sporo wodzianu chloralu, który wraz z jadem musiał wywołać zgon w ciągu nie więcej niż półtorej godziny od podania. Wykryto też śladowe ilości morfiny, a na rękach i nogach zmarłego było wiele śladów po zastrzykach; miało to prawdopodobnie związek z rozległymi oparzeniami lub nowotworem albo jednym i drugim. Czy to było morderstwo czy samobójstwo? Nikt nie był absolutnie pewien.

Jasne było za to, że nie nazywał się Josef Temescu. Zniekształcenia twarzy po oparzeniach trzeciego stopnia nie pozwalały na dokładne porównanie ze zdjęciami, z powodu oparzeń rąk nie można było także zdobyć pełnego zestawu odcisków palców, co właściwie nie miało znaczenia,

jako że agencja, w której denat był zatrudniony, nie posiadała ich w aktach, nie było też jego zdjęć; nie przechowywano ich, aby uniknąć ryzyka, że jakaś wtyczka je skopiuje i narazi najcenniejszego agenta. Były jednak inne rzeczy, które pozwalały na identyfikację, począwszy od blizny po tracheotomii przez liczne paszporty, którymi dysponował, cechy charakterystyczne prac stomatologicznych (typowe dla krajów zza żelaznej kurtyny) po list znaleziony w wewnętrznej kieszeni marynarki, rozpoczynający się od zwrotu „Drogi Paulu”. Wątpliwości rozstrzygnął ostatecznie sfatygowany wyblakły dowód osobisty z kraju, w którym zmarły przebywał, wypełniając dwie misje.

Można było dodać jeszcze jedno potwierdzenie. Wprawdzie wskutek poparzeń twarz mężczyzny była mocno zmieniona, więc jej rozpoznanie nie mogło dawać ostatecznego rozstrzygnięcia, niemniej w połączeniu z resztą dowodów rozpraszało wątpliwości. Chaim Dov, agent Szin Bet, przyprowadził do kostnicy, gdzie trzymano zwłoki, byłego agenta brytyjskiego wywiadu, który wśród swych alkoholowych wynurzeń wymienił nazwisko tajemniczego denata, twierdząc, że współpracował z nim podczas „przeraźliwie niebezpiecznej misji, no wiecie” w okupowanej przez hitlerowców Polsce.

- Czy rozpoznaje pan tego człowieka? - zapytał Dov.

- Trudno powiedzieć. Chyba nie. Raczej nie - odparł Scobie.

- A na tych zdjęciach paszportowych? Czy widział pan kiedykolwiek tę osobę?

- Raczej „te osoby”.

- Nie, to ten sam człowiek.

- Ach tak... Tak, teraz widzę. Rzeczywiście. Podobne. Niech się przyjrzę.

Scobie tasował zdjęcia.

- Nie. Nie. Nie, żadna z tych fotografii nikogo mi nie przypomina. Niestety.

- Proszę jeszcze raz przyjrzeć się zmarłemu.

- Te wszystkie poparzenia utrudniają sprawę. A te ręce! Boże jedyny! Nie ma paznokci. To wszystko ogień?

- Niech się pan raczej przyjrzy twarzy.

- Tak, tak, patrzę.

- Rozpoznaje go pan?

- Mgliście. Tak, może rzeczywiście, skoro twierdzicie, że go mogę znać.

Dov podał nazwisko.



- Nie, nikogo takiego nigdy nie znałem.

Dov podał drugie nazwisko.

- Nie.

Potem trzecie.

- Co? Co pan powiedział? Jak? O mój Boże! Tak, rzeczywiście. Jasne, że tak! To on! To na pewno on! Mój Boże, co się stało z moją głową! Obawiam się, że za dużo drinków. Ach, czyli wreszcie go dopadli. Szkoda. To był dzielny chłop.

Scobie potwierdził tym samym, że denat początkowo uznany za Josefa Temescu w rzeczywistości był amerykańskim tajnym agentem, określanym w niektórych zakątkach świata jako „legendarny”, a w innych nazywanym „agentem z piekła rodem”.

To był Paul Dimiter.

Zui zerknął na kartonową teczkę. Wciąż nie dowierzał. Dimiter wjechał do kraju potajemnie. Niemożliwe więc, żeby nie miał złych intencji. To niemożliwe zwłaszcza w przypadku agenta tak groźnego, tak niebezpiecznego, o którym w środowiskach wywiadowczych wciąż mówiono, choć nikt nie miał na to żadnych dowodów, że stał za śmiercią popularnego przywódcy Wietkongu, Ho Szi Mina, który nie zmarł z przyczyn naturalnych, czyli niewydolności sercowo-naczyniowej, jak utrzymywały władze Wietnamu Północnego, lecz w rzeczywistości został otruty przez Dimitra, gdy wziął udział w przyjęciu w Tiranie, gdzie spotkał się z przywódcami Albanii i przedstawicielami armii radzieckiej. Plotka głosiła, że agent wkręcił się do personelu kuchennego hotelu Dajti w Tiranie i że przed przyjęciem wtarł śmiertelną, wolno działającą truciznę w wewnętrzną stronę miski do sałaty, którą następnie postawiono przed Ho. Funkcjonariusze bezpieki albańskiej przez cały czas pilnowali i kuchni, i sali bankietowej. Ale niczego nie zauważyli. Wracając samolotem do Hanoi Ho poczuł lekkie dolegliwości żołądkowe, a sześć dni później nie żył. Północni Wietnamczycy podejrzewali Rosjan. Zui zastanawiał się, czy jakieś informacje o tym wyczynie, choćby zakamuflowane, znajdują się na kartkach, które leżały przed nim, aczkolwiek nie spodziewał się, aby tak było.

I miał rację. Ku swej wielkiej frustracji Zui znalazł w teczce tylko informacje wskazujące na brak powiązania CIA z obecnością Dimitra w Izraelu, a wręcz na to, że CIA w ogóle o jego wizycie w tym kraju nie wiedziało. Innych papierów nie było, część tekstu została zaczerniona przez cenzurę. Nawet wieku Dimitra nigdzie nie podano. Kręcąc z niedowierzaniem głową, Zui przeglądał to, co pozostało: w latach 1941-1945 był oficerem Biura Służb Strategicznych, potem

przeszedł do CIA, gdzie przydzielono go do operacji tajnych. W 1946 przeszedł szkolenie specjalne (jakie? - nie podano); brał udział w różnych misjach. W latach 60. pełnił nieokreślone zadania w Wietnamie; na samym początku wojny przeszedł szkolenie sanitarne na pokładzie szwedzkiego statku do wymiany jeńców. Potajemnie wziął ślub (wbrew regulaminowi) z agentką tej samej służby. W roku 1972 Dimiter wraz z nią oraz jeszcze jednym agentem, którego sam wyszkolił, prowadził misję - agentka i agent zginęli w niej. Dimiter popadł w głęboką depresję. Potem, w 1973, wypełnił drugie zadanie w Albanii, nadzwyczaj nietypowe. Zui zmarszczył czoło. Następne dwie kartki były całkowicie zaczerwienione, podobnie koniec raportu głównego. Był jeszcze załącznik - końcowy raport Dimitra z misji, w której zginęła jego żona i agent Stephen Riley, biochemik, wyszkolony zabójca i specjalista od środków wybuchowych.

Żona Dimitra, która była doświadczonym pilotem, zawiozła całą trójkę samolotem do odludnej doliny w pobliżu miejscowości Dolacio w dystrykcie Los Lagos w Chile, gdzie osiedliła się liczna emigracja niemiecka. Ich celem był Erik Klar, niemiecki naukowiec, który wynalazł, a następnie sprzedał Amerykanom robocze projekty nowego rozwiązania technicznego umożliwiającego budowę samolotów niewykrywalnych dla radarów. Potem jednak Amerykanie otrzymali potwierdzone informacje, że Klar zaoferował z kolei Sowietaom inne rozwiązanie, które niwelowało działanie rozwiązań antyradarowych i pozwalało na wykrywanie „niewykrywalnych” samolotów. Agenci znaleźli Klara w jego własnym domu w pobliżu osiedla niewysokich kamienic mieszkalnych. Zabili ochroniarzy, a jego zmusili, by ujawnił, gdzie przechowuje plany swojego wynalazku i jaka jest kombinacja cyfr do sejfu. Żona Dimitra udała się tam z Rileyem, aby zabrać plany w jednej lub dwóch czarnych walizkach, które miał ze sobą Riley, po czym mieli jechać prosto do samolotu. Tymczasem Dimiter został przy Klarze, aby go zabić - bo jeszcze jeden egzemplarz projektu wynalazca przechowywał w głowie wraz ze zdradzieckimi intencjami. Dimiter skręcił mu kark. Następnie przeszukał szczegółowo dom, na wypadek gdyby Klar przechowywał tam jeszcze jeden komplet. Nie znalazł nic, musiał jednak jeszcze zdobyć niezbity dowód, że człowiek, którego uśmiercił, to rzeczywiście Erik Klar. Najpierw więc owinał sobie przylepcem palec. Potem drugim kawałkiem plastra owinał palec Klara, przycisnął mocno, zdjął i ostrożnie przylepił na plastrze na własnym palcu, w ten sposób maskując i chroniąc odcisk linii papilarnych Klara. Gdy już kończył, okolicą wstrząsnął silny wybuch. Dimiter wybiegł na ulicę (tak przynajmniej napisał w raporcie) i zobaczył, że stojąca niedaleko kamienica leży

w gruzach, z których unosi się dym i tryskają płomienie. W tym właśnie budynku Klar przechowywał swoje plany.

Słysząc było krzyki i jęki, ale nie z wysadzonego budynku. Tam na pewno nikt nie przeżył. Dimiter czekał jednak. Wstrząśnięty. Patrzył. Rozpaczliwie liczył na to, że się myli, że to nie ta kamienica, do której poszła jego żona z Rileyem. Albo że udało im się zdążyć przed wybuchem, a teraz czekają na niego w samolocie.

Nie czekali.

Do raportu dołączono dwa zdjęcia podpisane na maszynie. Riley był wysokim rudowłosym mężczyzną, a żona Dimitra ładną blondynką o niewinnym wyglądzie i ujmującym uśmiechu grzecznej uczennicy.

Fotografii Dimitra nie było.

Żona miała na imię Jean.

Zui przekartkował raport jeszcze raz, skrzywił się, a potem zamknął teczkę i zadzwonił po Sandallsa, który po paru chwilach wpadł do pokoju z jeszcze jedną kartonową teczką w ręku. Usiadł naprzeciwko Zui z triumfującym uśmiechem.

- Na czym polegała ta jego misja w Albanii? - zapytał Zui. - Wszystko tu było ocenzone.

- Tak, klauzula tajności. - Sandalls wyciągnął przed siebie teczkę, którą przyniósł. - To jest tu. Cała historia. Myślałem wczoraj, że dostaniemy zgodę na ujawnienie ci tego, ale przyszła dopiero teraz. Czytaj. To rozproszy twoje wątpliwości.

- Zgoda na ujawnienie? - zapytał Zui. - Od kogo?

- Z Watykanu.

- Skąd???

Sandalls wrzucił do ust listek gumy do żucia.

- Wszystko tu znajdziesz - rzekł, pokazując teczkę palcem, a palcami drugiej dłoni gniotąc paperek od gumy do żucia. Wstał i powiedział: - Zadzwon, jak skończysz.

- Na pewno.

Zui poczekał, aż Sandalls zamknie za sobą cicho drzwi, otworzył teczkę i zaczął czytać z rosnącym zainteresowaniem. W roku 1973 Centralna Agencja Wywiadowcza otrzymała z Watykanu poufną prośbę o pomoc w Albanii, gdzie panowała rozpaczliwa sytuacja. Podobnie jak to miało miejsce w początkach wieku w Meksyku, w Albanii władze zabijały lub więziły

katolickich księży albo wydalają ich z kraju. Za każdym razem gdy Stolica Apostolska próbowała ustanowić biskupa, który miałby władzę wyświęcania nowych księży, natychmiast go aresztowano. I zabijano. Dlatego Watykan zwrócił się do CIA o wysłanie agenta, który zdołałby uniknąć schwytania i mógłby wypełnić zadanie. Dobrze byłoby, gdyby był katolikiem, lecz można go też ochrzcić. Zostanie tymczasowo mianowany biskupem.

CIA przychyliła się do prośby, a na agenta do tego zadania wybrała Dimitra ze względu na jego doświadczenie z Albanii. Po powrocie do Rzymu w celu unieważnienia nadanych mu kościelnych pełnomocnictw Dimiter niespodziewanie - budząc u wielu nie tylko niedowierzenie, ale i szok - zrezygnował z pracy w CIA i znikł z powierzchni ziemi. U kardynała Vittoria Ricciego, watykańskiego nauczyciela i doradcy Dimitra, człowieka, który go wyświęcił na biskupa, szukano wyjaśnień, nie znaleziono ich jednak. Kardynał twierdził, że nie ma pojęcia ani o planach agenta, ani o miejscu jego pobytu. Jedyne światło na zachowanie i stan umysłu Dimitra rzucała jego wypowiedź do kardynała po powrocie z Albanii, że przeżył tam „doświadczenie mistyczne” pod koniec misji, głęboki wstrząs, którego nie potrafi czy nie może opisać i który sprawia, że nie jest już w stanie zabijać; mówił Ricciemu, że przecucie tej zmiany miał już od dłuższego czasu.

„Od kiedy go ochrzciliśmy i wyświęciliśmy - podejrzewał Ricci. - Od początku misji. Tak mi przynajmniej mówił. Na pewno wpływ też miała śmierć jego żony. Niekiedy cierpienie okazuje się oknem, przez które łaska wnika do serca. Aha, jeszcze coś. Przypomniałem sobie, że jeszcze coś mówił. Wspominał, że musi coś wyjaśnić. Wypełnić jakąś misję. Nie, nie, to nie chodzi o wasze zadanie. Nie. Nic z tych rzeczy. Chodziło o coś innego”.

Zui zamknął teczkę, odłożył i zadzwonił po Sandallsa.

- Zadowolony, Mosze?

- No cóż, nie całkiem. Wciąż zagadka, prawda? Po co tu przyjechał?

- No masz rację. Zagadka.

Zui podniósł teczkę.

- Wygląda na to, że z gościa był dziwoląg - powiedział.

- To znaczy?

- Na przykład nie miał zdolności odczuwania bólu.

- Szczęściarz.

- Niekoniecznie - rzucił Zui. - Bell przyjdzie?

- Raczej nie.
- Bill, chciałbym ci zadać pytanie w cztery oczy.
- Proszę.
- Słyszałeś tę plotkę, że to Dimiter zabił Ho Szi Mina?
- Tak gadają.
- Czy to prawda?
- Nie mogę powiedzieć.
- Zdradziłeś się. Uśmiechnąłeś się.
- Patrzyłem tylko na twój krawat.
- To popatrz na to.

Zui pokazał kartkę w teczce mocno zaczerpioną przez cenzurę.

- Na każdej fotografii paszportowej wyglądał inaczej. Ale śladów po operacjach plastycznych nie widać. Arabowie coś takiego nazywają *ghajma sajfijja*, czyli „mała letnia chmurka”.

- Mała letnia, powiadasz.

- Ale chmurka. Jak to wyjaśnisz? Policzki wypchane kawałkami gąbki trzymanymi w ustach? Jakies zastrzyki na pociemnienie cery?

- Wszystko możliwe. A może wewnętrzne zmiany wywoływały zmiany wyglądu. To był wyjątkowy agent. Zupełnie wyjątkowy. Niezwykła osoba.

- Znałeś go?

- Nie. A może raczej powinienem odpowiedzieć: „kto wie?”.

Zui pozwolił sobie na nieznaczny uśmiech.

- A skoro już mówimy o tym, czego nie wiadomo... - podsunął teczkę Sandallsowi. - Mamy tu tony drobnych, nieistotnych szczegółów. Wyniki strzeleckie, znajomość muzyki klasycznej, jest nawet informacja o tym, że były kambodżański cyrkowiec na jakimś niedorzecznym statku do wymiany jeńców nauczył go żonglowania i charakteryzowania się na klauna. Ale nigdzie nie znalazłem jego wieku! Ani miejsca urodzenia!

- Nie znamy ich.

- Nie znacie?

- Tego nie ma w aktach. W żadnych aktach.

- Bill, to jakaś farsa. No bądź poważny. Mam zakładać, że facet przyleciał z innej planety?

- Mówię ci prawdę.

- Dostanę punkty, jeśli powstrzymam się od cytowania Poncjusza Piłata? - Zui znów otworzył teczkę i zaczął kartkować. - Ach nie, przepraszam. Tego co powiedział, nie ma w tych papierach. - Teczka z plaśnięciem wylądowała na blacie.

- I ten jad w twoim głosie z powodu krawata? - uśmiechnął się Sandalls.

Zui opadł na oparcie fotela i też się lekko uśmiechnął.

- Dobry jesteś. A tak przy okazji, powiedziałaś tajne słowo.

- Krawat?

- Nie, jad. Po co ktoś miałby chcieć umrzeć od jadu skorpiona, Bill? To podobno straszliwie boli.

Sandalls rozłożył ręce.

- Któż to może, do diabła, wiedzieć? Podobno miał straszne poczucie winy z powodu żony.

- Z powodu żony?

- Tak mówią. A raczej jedna osoba mówi. Nasz człowiek w Watykanie. Gdyby Dimiter nie złamał regulaminu, który mówi, że małżeństwa nie mogą pracować razem, nie zginęłyby. Kapujesz? Nie brałyby udziału w tamtej misji.

- I co z tego?

- Może zwyczajnie chciał cierpieć.

- Sandalls, czy my jesteśmy psychiatrzy?

- Daj spokój, Mosze. To musiało być samobójstwo. Facet i tak umierał. Kto mógłby go chcieć zabić? Po co ryzykować?

- To są wszystko dobre pytania. Niemniej jednak zwrócę się do policji państwowej, żeby ten Meral z komisariatu Kiszla jeszcze przy tej sprawie podłubał. On mi się podoba. Fajnie myśli. Może jednak Dimiter został zamordowany. Jeśli tak było, a my się dowiemy, kto to zrobił, to może dowiemy się także, jaką misję miał tu do wypełnienia. Za tym człowiekiem zawsze szła śmierć. Pytanie: czyja miała być tym razem.

Sandalls odwrócił wzrok i pokręcił głową.

- Nigdy nie dajesz za wygraną - mruknął.

- Nie. - Zui wziął z biurka gazetę. - Pewnie widziałeś dzisiejszy nagłówek w tym cholernym „Jerusalem Post”? „Trup znaleziony w Grobie Chrystusa był za życia najważniejszym zabójcą na

usługach CIA”. - Rzucił gazetę z powrotem na biurko. - Oczywiście nie masz pojęcia, kto puścił ten przeciek, prawda? Ale ja przysięgam, że znajdę tę osobę i rzucę na pożarcie mrówkom.

- Mosze, ten człowiek nie żyje. Daj spokój.

- Z czym dać spokój?

- Jedyna przykrywka, pod jaką możesz teraz zajrzeć, to wieko trumny.

W jakimś sensie były to prorocze słowa.

## ROZDZIAŁ 18

Mayo patrzył na zakonnika z niedowierzaniem.

- Chyba ojciec żartuje! Jechałem taki kawał drogi, a jej tu nie ma?

- Tak mi przykro, doktorze. Naprawdę. Wstałem, a jej już nie było. Może się boi lekarzy. To młoda Palestynka. Boi się każdego. Niech pan usiądzie. Może zaraz wróci. Kto wie? Zaparzę herbaty.

- Jak mogła uciec, skoro była tak ciężko chora?

- Ach, któż to może wiedzieć?

- Nie mógł ojciec zadzwonić?

- Nie mamy tu telefonu. Musimy dzwonić z poczty, a dzisiaj w ogóle było kiepsko z połączeniami. Przepraszam, doktorze. Naprawdę. Niech pan usiądzie, proszę.

Mayo westchnął i w końcu skinął głową.

- Dobrze. - Usiadł przy okrągłym drewnianym stoliku. - Jak to możliwe, że nie macie telefonu? - zapytał Mooneya z lekką irytacją.

- Linia tu nie dochodzi. Musielibyśmy sami zapłacić za doprowadzenie, a nas na to nie stać. Zapłacilibyśmy majątek. Lepiej to wykorzystać na biednych.

Na biednych? - pomyślał Mayo.

Przypomniał sobie gruby złoty rolex.

- Zaparzę herbatę, a potem przyniosę niespodziankę.

- Niespodziankę?

- Przecież obiecałem. Rosną w ogrodzie.

- Co rośnie? - zapytał Mayo.

- Pyszne figi.



## ROZDZIAŁ 19

Młody syryjski żołnierz, który zabił w szpitalu Hadassa konkurencyjnego Chrystusa, mocno się trzymał prętów judasza w drzwiach miękko obitej celi. Jego ciemne oczy gorzały błaganiami o zrozumienie i wdzięcznością do Merala za odwiedzinę. Policjant źle spał tej nocy. Głowę miał zajęty rozmyślaniami o misji Dimitra. Rano wstał, ubrał się w mundur, wezwał taksówkę i pojechał do szpitala Kfar Szaul, by odwiedzić młodego żołnierza, który zabił konkurencyjnego Chrystusa.

- Jestem tu, synku. Jestem tu. Dobrze cię tu traktują?

Milczenie. Żołnierz nie przestaje patrzeć Meralowi w oczy.

- Masz jakieś książki? Coś do czytania?

W czasie obserwacji psychiatrycznej chłopak wykazywał się inteligencją i wiedzą teologiczną nad wiek i wykształcenie. Psychiatrzy z Kfar Szaul uznali, że przy pewnych zaburzeniach umysłowych wytwarza się wysoka inteligencja, zaś jeśli idzie o wiedzę teologiczną, musiał dużo czytać w czasie pobytu na oddziale psychiatrycznym szpitala Hadassa.

- Masz co czytać? - powtórzył Meral.

Żołnierz nie odwracał zboląłego spojrzenia.

Ale nadal milczał.

- Mam pytanie - powiedział w końcu cicho Meral. - Odpowiedź jest dla mnie bardzo ważna. Byłbym ogromnie wdzięczny, gdybyś mi jej udzielił. Naprawdę bardzo. Pamiętasz, gdy powiedziałem ci, że zostałeś jedynym Chrystusem w mieście? Pamiętasz? To było, jak jechaliśmy tutaj. Powiedziałeś mi: „Nie. Jest jeszcze jeden”. Możesz mi powiedzieć, kogo miałeś na myśli? Kto jest tym drugim Chrystusem?

Wciąż milczenie. Chory psychicznie żołnierz patrzył nieruchomym wzrokiem.

- Powiedz coś. Cokolwiek - prosił coraz gwałtowniej Meral.

Niespodziewanie żołnierz przemówił, ale jego słowa były zagadkowe:

- Chcieli go zabić, lecz On przeszedł przez środek ich i oddalił się.

Po czym odwrócił się z wolna i położył na materacu twarzą do ściany.

Meral wpatrywał się w jego plecy.

- Kim on jest? - zapytał. Poczekał chwilę, a w końcu rzekł cicho: - Niech Bóg ma cię w opiece.

Odwrócił się i wyszedł przekonany, że nigdy nie uzyska odpowiedzi. I nie uzyskał.

Przynajmniej nie od żołnierza.

Pielęgniarka w recepcji czekała z rękami założonymi na piersiach, gdy Meral starannie zapisywał swoje dane w rejestrze odwiedzających.

- Bardzo mi go szkoda - powiedziała. - Jest taki młody. I taki nieszczęśliwy. - Odłożyła księgę odwiedzających na półkę. - Cieszę się, że ludzie go odwiedzają.

Meral już miał odejść, ale znieruchomiał.

- Odwiedza go ktoś jeszcze?

- O tak. Dość często.

- Kto?

- Zapomniałam, jak się nazywa. Mam sprawdzić?

- Będę wdzięczny. Poproszę. Dziękuję bardzo.

Siostra znów sięgnęła po księgę, otworzyła, przekartkowała, przebiegła palcem listę nazwisk.

- O, jest. Tutaj. Nazwisko brzmi Wilson.

Z głową pełną domysłów Meral wrócił do „Casa Nova”. Czekala tam na niego Samia, pielęgniarka ze szpitala Hadassa. Siedziała w holu wejściowym. Gdy Meral wszedł, wstała, czekając, aż do niej podejdzie.

- O, siostra Samia! Co się stało? Coś nie w porządku?

- Nie, chciałam tylko powiedzieć coś ważnego.

- Co to takiego?

- Nie tutaj - odparła, zniżając głos. - Na zewnątrz.

Meral obejrzał się, zobaczył, że Patience przygląda się im ciekawie zza kontuaru recepcji. Pochylony, wspierał się na przedramionach.

- Dobrze. Przejdźmy się na spacer.

Odszedłszy kilka kroków, zatrzymali się.

- Niech mi teraz pani powie. O co chodzi?

- Pamięta pan, jak był pan niedaleko mnie, pracując nad jakąś sprawą, pokazał mi pan czyjeś zdjęcie i spytał, czy widziałam tego człowieka?

- Pamiętam.

- Skłamałam wtedy.

- To też pamiętam.

- Wiedział pan, że kłamię? Chyba nie jestem dobrym kłamcą.

- To bardzo dobrze. Ale teraz chce mi pani powiedzieć prawdę.

- Po prostu nie chciałam, żeby miał jakieś kłopoty.

- Kto?

- Wilson. Wydaje mi się, że tego człowieka ze zdjęcia widziałam u niego.

Meral zrobił minę pełną niedowierzania.

- U Wilsona?

- Tak, u Wilsona. Ten człowiek u niego mieszkał. Mieszkał jakiś czas. Widziałam, jak wyglądał od czasu do czasu przez okno.

- Siostrzo, to zdjęcie, które pokazywałem, jest nieostre. Jest pani pewna?

- Pewna? Nie. Ale myślę, że to był on. Pewności nie mam.

Meral wysunął z kieszeni koszuli notatnik i ołówek.

- Załóżmy, że ma pani rację.

- W porządku.

- Jak długo?

- Co jak długo?

- Jak długo mógł u niego mieszkać?

- Parę miesięcy. Od stycznia.

- Data?

- Gdzieś od połowy miesiąca.

- Na przykład od czternastego?

To była data wypadku na ulicy Remli.

Rozłożyła rękę.

- Nie wiem.

Ktoś otworzył drzwi domu pielgrzyma, zabrzmiały zbliżające się kroki. Meral położył rękę na ramieniu pielęgniarki, ruszyli przed siebie, jakby spacerowali, a po chwili znów stanęli.

- Niech pani mówi - zachęcił Meral.

- Spotykałam go na targu, kupował dwa razy więcej jedzenia niż normalnie. Rozumie pan? Jakby na dwie osoby. Nawiasem mówiąc, ci handlarze na targu są straszni. Po prostu bandyci. Banda rasistów. Zresztą nieważne. Wie pan, gdzie można go znaleźć? Wilsona?

- Tak, wiem. On przychodzi do nas, do domu pielgrzyma, i robi za złotą rączkę. - Meral zerknął na zegarek. - Ale dziś już go nie ma. Jest za późno.

- Mogę panu powiedzieć, gdzie bywa wieczorami.

## ROZDZIAŁ 20

Meral szedł cichymi ciemnymi ulicami, aż dotarł do migających kolorami świateł „Clubu 2000”, lokalu o złej sławie, wyposażonego w gry wideo i bilard automatyczny, wypełnionego wieczorami chełpliwymi i na ogół bezrobotnymi młodymi mężczyznami. W grupie takich mężczyzn siedział Wilson. Śmiali się, rozmawiali, byli najwyraźniej w doskonałych nastrojach. Zauważywszy Merala w mundurze, ucichli.

- Spokojnie, przyszedłem tylko na kawę - powiedział im Meral.

Gwar podniósł się z powrotem, choć znacznie cichszy niż poprzednio. Gdy Wilson z uśmiechem spojrzał na Merala, ten podniósł znacząco brwi i gestem wskazał na stoliki wystawione na ulicę przed klubem. Wilson skinął głową, wstał i wyszedł za policjantem na zewnątrz. Nie było tam nikogo. Meral wskazał na stół stojący najdalej od drzwi.

- Siadamy?

- Jasne.

Usiedli.

- Miło pana spotkać, Wilson.

- Pana też. O co chodzi?

- Chciałbym pogadać.

- Ależ oczywiście.

- Jest pan tu przyjezdny, wypada więc ostrzec: ten klub to melina kryminalistów. Część z tych, z którymi pan rozmawiał, to męty. Niech pan będzie ostrożny.

- Ja to dobrze wiem.

- Wie pan?

- Zdrowi nie potrzebują lekarza.

Meral patrzył, nie rozumiejąc.

- Chyba nie wiem, o co panu chodzi.

Wilson uśmiechnął się, spojrzał w bok.

- Tak to ze mną jest - rzekł wyjaśniająco. - Ludzie mnie nie rozumieją, póki nie są gotowi.

Nim zbity z tropu Meral zdołał jakoś zareagować, pojawił się szczupły kelner imieniem Junis i stanął nad nimi. Zamówili dwie kawy.

- *Sukkar wasat* - poprosił Wilson, co oznaczało, że chce nie za bardzo posłodzoną. Następnie zwrócił się do Merala z uśmiechem archanioła. - Tak się cieszę, że się pan ze mną spotkał - powiedział wylewnie, a twarz mu promieniała szczerą radością. - Chciałby mnie pan o coś zapytać, sierżancie? Proszę bardzo. Możemy zaczynać. Czy to ma związek z pana pracą w policji czy z jakimiś sprawami w „Casa Nova”?

- Z pracą. Ze śledztwem, które prowadzę. Powiedziano mi, że mógłby mi pan w tym pomóc.

- Ojej, naprawdę? A kto powiedział?

- Nieważne - odparł Meral. Z wewnętrznej kieszeni bluzy mundurowej wyjął zdjęcie. Pokazał Wilsonowi. To było powiększenie tej nieostrej fotografii z prawa jazdy Josefa Temescu.

- Czy widział pan kiedyś tego człowieka? Myślę, że to możliwe.

Wilson wziął zdjęcie i przyglądał mu się skrupulatnie; uśmiech ulotnił mu się z twarzy.

- Trudno tu coś zobaczyć.

- Oko prawdy dostrzega wszystko. To niejaki Josef Temescu. Mam informację, że mieszkał przez jakiś czas u pana.

Wilson podniósł oczy i napotkał nieruchome, stanowcze spojrzenie.

- No dobrze. Rzeczywiście wziąłem parę rzeczy ze szpitala Hadassa. O to chodzi? Czy to o tę sprawę chodzi?

Meral ściągnął brwi zdezorientowany.

- Wilson, o czym pan mówi? Jakie parę rzeczy?

- Niech pan przestanie. Bandaże. Morfinę. Opatrunki. Strzykawki. Antybiotyki.

- Podkradał pan te rzeczy ze szpitala?

- Przecież pan wie.

- Nie, nie wiedziałem. Czy ta kradzież zdarzyła się czternastego stycznia?

- Skąd ta właśnie data?

- Niech pan po prostu odpowie, Wilson. Tak czy nie?

- Nie. Raczej nie. To było później. Dwa, trzy dni później. Nie miałem pieniędzy, żeby to kupić, a naprawdę potrzebowałem. Nie miałem wyjścia.

- Po co panu były? Sprzedawał pan?

Wilson popatrzył na Merala z lękiem.

- Będę miał kłopoty? Właściwie za te rzeczy zapłaciłem. Naprawdę. Uczciwie zarobiłem pracą, którą wykonuję. Tam, w szpitalu. Czy zostanę oskarżony?

Meral patrzył na niego z pewnym rozbawieniem. Mimo zdecydowanych, grubo ciosanych rysów i potężnej postaci Wilson wyglądał jak mały chłopczyk przyłapany na kradzieży ołówka i gumki z tornistra.

- Szpital Hadassa nie podlega pod mój komisariat, a poza tym nie interesuje mnie ta sprawa. Interesuje mnie Temescu. Chcę usłyszeć wszystko, co pan o nim wie. Wszystko. Pańskie wrażenia. Jego zwyczaje. Cokolwiek panu o sobie powiedział. - Meral zabrał zdjęcie. - Czy pójdzie mi pan na rękę?

- A nie będę miał kłopotów z powodu tych rzeczy ze szpitala?

- Nie.

- No to dobrze. Powiem. Na pewno. Ale nie teraz. Jestem z tymi facetami. - Wilson pokazał kciukiem na wewnątrz klubu i zapytał: - Możemy się umówić na jutro, sierżancie?

- Możemy. I porozmawiamy sobie od serca. Myślę, że ma pan mi sporo do powiedzenia.

- Rzeczywiście. Powinien pan to usłyszeć.

Przez chwilę Meral mierzył go wzrokiem w milczeniu. Wilson miał zwyczaj tak mówić, że najzwyklejsze stwierdzenia brzmiały zagadkowo, jakby niosły jakieś ukryte głębsze znaczenie. Czy może tylko mu się wydaje?

Wstał, Wilson również.

- To do jutra - rzekł Meral. - Może być o dziewiątej rano.

- Dobrze, pasuje. W komisariacie?

- Nie, może lepiej „U Fuada” na kawie? Przy stacji, naprzeciwko bazyliki Grobu Pańskiego.

Wilson uśmiechnął się promiennie.

- Ach, jakie to przyjemne miejsce na spotkanie.

Meral pokiwał głową.

- Tak, doskonałe.

Wilson pośpieszył z powrotem do klubu. Morfina. Bandaże. Antybiotyki. Czyżby to Wilson uratował wtedy Temescu z płonącego land-rovera? A jeśli tak, to istnieje możliwość, że był z nim w bazylice Grobu Pańskiego.

Ale po co? - zastanawiał się Meral.

Przyszła mu do głowy myśl mrożąca krew w żyłach.

Niczego nie można wykluczyć.

Niczego na tym świecie.

Ruszył w stronę bazyliki Grobu Pańskiego. Musi porozmawiać z Tarikiem. I to już.



## ROZDZIAŁ 21

Mayo siedział przy biurku, trzymał się za brzuch i krzywił, jakby się napił kwaśnego wina.

- Nie mam pojęcia, co to może być - stęknął - ale nagle się podle poczułem.

- Zjadł pan dzisiaj coś innego niż zwykle? - Samia siedziała w swoim ulubionym głębokim, spłowiałym zielonym fotelu. - Ciekawe - dodała. - Dzisiaj ja robię z panem wywiad.

- Pani doktor, jadłem placki kartoflane ze śmietaną i przecierem jabłkowym. Nigdy przedtem mi nie szkodziły.

- Więc co to może być? Jak pan myśli?

- Musi siostra tak mi się badawczo przyglądać? Wygląda siostra jak biała anakonda na dwóch nogach.

- Proszę nie zmieniać tematu. Co panu mogło zaszkodzić?

- Nie mam pojęcia.

- To kto ma wiedzieć?

- Właśnie.

- Chce pan usłyszeć moją opinię?

- Nie.

- A mimo to pan usłyszysz. Jest pan samotny, przygnębiony i to się właśnie tak objawia.

- Samotny i przygnębiony byłem całe życie.

- Słyszałam co innego.

- Nie obchodzi mnie, co siostra słyszała. - Mayo w zamyśleniu wyjrzał przez okno. - Jak siostra myśli, po co zakonnik miałby sobie robić operację plastyczną?

- To jakiś żart? Będzie jakaś puenta?

- Mam nadzieję - mruknął Mayo tajemniczo.

- Co pan ma na myśli? - naciskała Samia.

- Nic. - Mayo spojrział na nią ponownie. - Siostrzyczko kochana, czy mogłaby mi siostra pobrać krew i zanieść do laboratorium? - rzekł z wysiłkiem. - Czuję się naprawdę paskudnie.

Sarnia wygramoliła się z fotela.

- Biedaczysko. Jasne, zrobi się.

- Tak źle się jeszcze w życiu nie czułem.

Miało być gorzej.

## ROZDZIAŁ 22

- Zgolił pan brodę, Wilson. Dlaczego?

- Och, nie wiem, sierżancie. Chyba w ramach wiosennych porządków.

Siedzieli i pili kawę przy stoliku przed wejściem do kawiarni „U Fuada”. Po drugiej stronie ulicy ciężkie drzwi bazyliki Grobu Pańskiego były otwarte na oścież i wlewał się już nimi strumień pielgrzymów i turystów.

- Ile pan ma lat, Wilson? Wygląda pan bardzo młodo.

- Pięćdziesiąt dwa.

- Pięćdziesiąt dwa? Nie do wiary!

Wilson wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Wie pan, w jasnym słońcu, bez brody... - zaczął Meral.

- Co bez brody?

- Pańskie oczy. Są niebieskie. Zawsze mi się wydawało, że są ciemne. Prawie czarne. Skąd pan przyjechał?

- Z Kalifornii. Nie wiedział pan?

Meral uniósł swoją małą czarną do ust, zatrzymał filiżankę w połowie drogi i zaczął się przyglądać twarzy Wilsona. Jest prostoduszny, uznał. Ale nie tępy.

Upił łyk, odstawił filiżankę.

- Tak, wiedziałem. Oczywiście, że to wiedziałem. I jest Pan tu od pół roku. Troszkę dłużej. Co pana tu sprowadziło?

- Szukam.

- Czego?

- Sensu życia, tak mi się wydaje.

Meral odwrócił wzrok, pogodna mina ustąpiła na chwilę skrzywieniu zniecierpliwienia, choć odbyło się to nie bez walki.

- Ludzie mają romantyczne złudzenia co do tego miasta, a w rzeczywistości tu też nie brak zawiści, hałasu, wrogości, kłótni o każdy grosz i kamiennych serc. Jak wszędzie. Zawsze tak było. - Spojrzał na Wilsona. - Jeszcze się pan o tym nie przekonał?

- Nie.

- To dobrze o panu świadczy. Albo niedobrze. Z czego pan żyje? Pracuje pan przecież jako wolontariusz, za darmo.

Wilson wzruszył ramionami.

- Mam trochę oszczędności. Wystarcza mi. Chyba mam szczęście.

- Szczęście? W jakim sensie?

- Pieniądze utrudniają dostrzeganie.

- Dostrzeganie? Czego?

- Prawdy. - Wilson podniósł filiżankę, upił łyk kawy, odstawił. - Czy będziemy rozmawiać o tych rzeczach ze szpitala?

- Mówiłem panu już, że ta sprawa mnie nie interesuje. Chociaż w którymś momencie będę chciał się dowiedzieć, po co pan je zabierał.

- *Ahlan!* Mogę się przysiąść?

To był Tarik. Podeszedł do ich stolika.

- Oczywiście, przyjacielu, siadaj - powiedział Meral. - Napij się z nami kawy.

- Nie ma pan nic przeciwko temu? - zapytał Tarik Wilsona.

- Ależ skąd.

Wilson pokazał gestem wolne krzesło.

- Proszę, będzie nam miło.

Tarik usiadł i zaczął się badawczo przyglądać Wilsonowi.

Wilson uśmiechnął się i powiedział:

- Pan nazywa się Tarik, prawda?

Meral patrzył z nieprzeniknioną miną, starając się nie pokazać po sobie zaskoczenia. Pułapka, którą zastawił, nie tyle zawiodła, ile okazała się niepotrzebna.

- Zna pan Tarika?

- Tak. Tak, widzieliśmy się tu któregoś dnia, gdy odwiedzałem bazylikę. Rozmawialiśmy o falafelu.

Tarik był najwyraźniej dezorientowany. Spojrzenie szeroko otwartych oczu przerzucał z Merala na Wilsona i z powrotem.

- Miałem brodę - wyjaśnił Wilson. - Obfitą rudą brodę. Pamięta pan?

Meral zerknął w stronę kościoła.

- Tarik, chyba ktoś cię woła.

Tarik bez słowa zerwał się z krzesła i ruszył szybko przez ulicę, wymachując rękami, lekko, jakby kamień spadł mu z serca, że może od czegoś uciec. Cokolwiek to było.

Wilson odprowadził go wzrokiem.

- Nawet nie zamówił kawy.

- Trudno.

Wilson znów popatrzył na Merala. Policjant taksował go wzrokiem z lekko przekrzywioną głową, jakby kwestionował niewinną szczerą minę Wilsona.

- Czy był pan w bazylice siódmego marca?

- A jaki to był dzień tygodnia?

- Wtorek.

- W takim razie byłem. Tak. Późno, zaraz zamykali.

- Był pan sam?

- Dlaczego pan pyta?

- Chce mi pan pomóc czy nie?

- Ależ oczywiście, że chcę, sierżancie. Bardzo chcę.

Meral zamilkł na moment zdziwiony gorliwością w głosie Wilsona.

- W takim razie proszę mi powiedzieć: był pan z kimś?

- Tak.

- Czy z tym człowiekiem, który u pana mieszkał? Z Josefem Temescu?

- Tak.

- I wszedł pan z nim do komory Grobu Pańskiego?

- Tak.

- Co pan tam robił?

- Pomagałem mu umrzeć.

- Jak mam to rozumieć?

- On chciał, żebym mu pomógł w popełnieniu samobójstwa. Poprosił mnie, żebym mu wstrzyknął wodzian chloralu jako środek usypiający i przyspieszający koniec. Wszystko przyniósł ze sobą: strzykawkę, wodzian, morfinę.

Zupełnie zbity z tropu Meral nie wiedział, co ma mówić.

Po chwili zmrużył oczy.

- Przecież mógł to sobie wstrzyknąć sam, prawda?

- Tak jest, mógł.

- To po co mu była pańska obecność?

- Niech pan posłucha, sierżancie, musiałbym tłumaczyć panu godzinę, żeby pan zrozumiał i uwierzył mi. To bardzo skomplikowane. Niezwykłe.

- Czyżby? No cóż. Odłóżmy to w takim razie do następnej okazji. Tymczasem niech mi pan powie, dlaczego on chciał umrzeć właśnie w Grobie Chrystusa? To też jest zbyt skomplikowane?

- Chciał, żeby o jego śmierci pisały wszystkie gazety.

- Mówi pan poważnie?

- Tak mi powiedział.

- Miał zaburzenia psychiczne?

- Zupełnie nie.

- W każdym razie na pewno mu się udało.

- Co pan ma na myśli?

- Nie czytał pan dzisiejszych gazet?

- Nie.

- Ten człowiek, który podawał się za Josefa Temescu, był w rzeczywistości zamachowcem, skrytobójcą na usługach rządu amerykańskiego.

- Niemożliwe!

- Ale to prawda.

- Nie do wiary!

- Nie mówił panu?

- Nie. Skrytobójca? Na pewno?

- Tak. Dziś jest o tym na pierwszej stronie w „Jerusalem Post”. Nazywał się Paul Dimiter. W pewnych kręgach był bardzo znany. Może pan się uważać za szczęściarza.

- Szczęściarza? Dlaczego? On przecież... Aha, rozumiem. Tak, zabójca. Zabójca w moim mieszkaniu. Wciąż mi trudno w to uwierzyć. Był taki miły i uprzejmy.

- Tak, zabójcy często tacy są. I szczerzy.

Wilson przekrzywił głowę.

- Co pan ma na myśli?

- Nic. Mniej niż nic. Spróbujmy się skupić na tym, co Dimiter robił w Jerozolimie. Nie. Cofnijmy się trochę. Proszę mi opowiedzieć, jak pan go poznał.

- A nie będę miał kłopotów z powodu tych rzeczy ze szpitala?

Dziękujący wyraz niepokoju wrócił na twarz Wilsona i po raz kolejny rozwiązał podejrzenia Merala.

- Czy one mają związek z tym człowiekiem? - zapytał Policjant.

- Tak, mają. Opowiem panu. Ale nie będę miał kłopotów? Obiecuje pan?

- Obiecuje. No więc jak go pan poznał?

- Miał straszny wypadek pewnej nocy na stacji benzynowej koło Bramy Jafy.

Meral otworzył szeroko oczy.

- To pan jest tym drugim człowiekiem!

- Co pan ma na myśli?

- Nieważne. W porządku. Proszę mówić dalej. Śmiało. Opowiedzieć mi wszystko.

- Grzał mi się silnik w samochodzie, musiałem uzupełnić wodę w chłodnicy. Podjechałem na stację. Oni tam zostawiają na noc kanister z wodą. Z benzyną zresztą też. Płaci się nazajutrz.

- Skąd pan jechał?

- Z Ramalli. Tę stację mam po drodze do domu. Więc jak mówiłem, zatrzymałem się i nagle usłyszałem jadący szybko samochód. Wpadł w poślizg, uderzył w dystrybutor paliwa i zapalił się. To było straszne. Podbiegłem, wytaszczyłem go z samochodu i...

- Kogo pan wytaszczył?

- No, kierowcę. Człowieka, którego pan nazwał Dimitrem. Nieważne, jak się nazywa. Był potłuczony. I ciężko poparzony. Nieprzytomny. Samochód się palił. Wyciągnąłem go tak szybko, jak się dało, ale już był poparzony. Przede wszystkim twarz i dłonie. Zawiozłem go do Arabskiego Szpitala Państwowego. Tego dla biedoty. Był najbliżej. Po kilku dniach, kiedy już było z nim lepiej i nie musiał leżeć na oddziale intensywnej opieki medycznej, chciałem go przewieźć do Hadassy, bo szpital Hadassa jest znacznie lepiej wyposażony do leczenia oparzeń.

Ale on nie chciał. Uparł się. Nie chciał, żeby go zarejestrowano. Nie chciał podawać swojej tożsamości. W szpitalu państwowym nie zwracają sobie tak głowy formalnościami.

- Tam się nie muszą przejmować ubezpieczeniem. Po prostu leczą. Dobrzy ludzie.

- Wiem. Tak czy owak po kilku dniach wypisano go, a ja zabrałem go do swojego mieszkania i opiekowałem się nim.

- Więc mamy wyjaśnienie kradzionych rzeczy. Potrzebne były do działalności dobrego samarytanina.

- Serce mi się kroilo, jak na niego patrzyłem. Te poparzenia. Poraniona twarz. A na dodatek rak.

- Powiedział panu?

Wilson podniósł głowę.

- Powiedział mi niejedno. Wiedział, że umiera, był ze mną zupełnie szczery. Wiele mi opowiedział. O swoim życiu. Ale to chyba były kłamstwa, tak?

- Mam nadzieję, że nie. Zajmiemy się tym. Właśnie tego chcę się dowiedzieć. Na razie proszę mi opowiedzieć w ogólnych zarysach, co było dalej.

- Sporo się działo. Mówiłem. Opiekowałem się nim, póki nie wydobrzeł na tyle, by chodzić. Chodziliśmy na krótkie spacerki. Żeby się dotlenił. Któregoś dnia poprosił mnie, żeby go zaprowadzić do kościoła.

- Skąd mu się to wzięło?

- Pytałem go, ale nie chciał powiedzieć. Widać było, że mu bardzo zależy.

- Zabrał go pan?

- Tamtego dnia nie. Od rana lało. Ulice były zalane. Chodził w tę i z powrotem, w tę i z powrotem. Bardzo podniecony. Napięty. Nie rozumiałem, co mu się tak śpieszy. Pod wieczór się roz pogodziło, więc zabrałem go do kościoła koło ogrodu Getsemani.

Meral pokiwał głową.

- Bazylika Agonii.

- Tak.

- Kto wybrał ten kościół, pan czy on?

- On.

Meral pochylił się ku Wilsonowi z wielkim zainteresowaniem.

- I co robił w kościele? Spotkał się z kimś?



- Jak by to powiedzieć... - Wilson zamilkł i zastanawiał się chwilę. - Właściwie tak.

- To znaczy? Z kim się spotkał.

Wilson znów popatrzył na Merala.

- Kościół był pusty, nikogo poza nami nie było. On najpierw przez dłuższy czas stał w nawie, bardzo cicho, nieruchomo. Z początku wydawał się przestraszony, czujny, jakby skulony w sobie dla ochrony, mały, pomniejszony. Patrzył prosto przed siebie, przez te wysokie kamienne kolumny na Skalę Agonii pod ołtarzem. Na tej właśnie skale, powiadają, modlił się Jezus w nocy przed ukrzyżowaniem.

- Wiem. Znam ten kościół.

- Aha, dobrze. Podążyłem wzrokiem za jego spojrzeniem, ale nagle usłyszałem ciche zdławione jęknięcie, jakby zduszone łkanie, popatrzyłem na niego, twarz miał ściągniętą bólem. Potem postąpił krok naprzód, ruszył powoli i niepewnie w stronę ołtarza. Ręce rozłożył szeroko, dłonie tym poparzoną białym wnętrzem do góry, a gdy dotarł do żelaznej barierki w kształcie cierniowej korony otaczającej Skalę Agonii, upadł na kolana i jego ciałem targnęły spazmy. Pochylił głowę, uczeplił się dłońmi barierki i łkał. Podeszedłem za nim do ołtarza i słyszałem, jak cicho szlocha i powtarza: „Przepraszam za wszystko, co uczyniłem. Przepraszam”. Powtarzał to po wielokroć.

Wilson umilkł.

- A potem?

- A potem nic. Czekałem, aż to przejdzie, później pomogłem mu wstać i poszliśmy do domu.

Nazajutrz targnął się na swoje życie. Wziął truciznę.

- Jest pan pewien?

- Ależ tak! Przecież powiedziałem, że pomagałem mu w tym.

- Tak. Ale bywa, że pomoc idzie za daleko.

- Co pan ma myśli?

- Nic takiego.

- Zaraz, zaraz. Chwileczkę! Podejrzewa pan, że go zabiłem?

- Powtarzam: nic takiego.

- Ładne mi nic.

- No dobrze, w zasadzie nic. Będę szczery. Dlaczego pańskim zdaniem on się zabił? Jeśli zabił się sam, to na pewno wyjawiał panu powód. Jaki to był powód? Miał dość bólu wywołanego nowotworem?

Wilson spojrzał na bazylikę - jakieś małżeństwo uspokajało rozhisteryzowaną córeczkę uczesaną w kucyki, która bała się wejść do ciemnego wnętrza. Nie chciała wchodzić tam, gdzie zabito i pogrzebano Jezusa. Wilson wpatrywał się w nią.

- Tak - odpowiedział cicho i spokojnie. - Pragnął, by skończył się wszelki ból.

Dziewczynka przestała płakać, ojciec wziął ją za rękę. Gdy wchodzili do kościoła, mała obejrzała się przez ramię i popatrzyła na Wilsona.

Meral dopił kawę, odstawił filiżankę na spodeczek do góry dnem i zaczął ją obracać. Porcelana zadzwoniła delikatnie.

- Podobno - powiedział Meral - podobno po śmierci żony wpadł w depresję, dręczyły go wyrzuty sumienia.

- Jego żona zmarła?

- Zdarza się, że żona umiera. A ból jest czasem tak dojmujący, że nie można złapać tchu. - Meral przestał się bawić filiżanką. Zamyślił się. Cisza się przeciągała. Poczawszy na sobie spojrzenie Wilsona, policjant podniósł wzrok i przyjrzał się twarzy rozmówcy. Co to jest, co on ma w oczach? Czulość? Współczucie? A może to jest coś, co nie ma ziemskiej nazwy?

Wilson skrzyżował ręce na piersi i spojrzał w dół.

- Wciąż trudno mi uwierzyć - rzekł. - Chodzi mi o tego człowieka... Chyba się pan myli. To po prostu nie mógł być żaden Dimiter. Nie mógł.

- Musi pan to przyjąć do wiadomości.

Wilson podniósł wzrok.

- Jest pan pewien, że jego żona nie żyje? Mówił o niej tak, jakby żyła. Pokazywał mi jej zdjęcia.

- Naprawdę?

- Ależ tak.

- Cóż, może to jakieś urojenia. Z powodu morfiny.

W krótkofalówce Merala rozległy się trzaski. Odczepił ją od paska i wgniół przycisk.

- Tu Meral, słucham. - I wcisnął guzik odbioru.

- Sierżancie, dzwonił z Kfar Szaul, chcą z wami porozmawiać. - To był Zev, komendant.

- Muszę tam jechać?
- Nie, wystarczy zadzwonić. Ale jeszcze dzisiaj. Poproście doktora Walida.
- Przyjąłem.

Rozłączyli się. Meral zerknął na zegarek.

- Muszę lecieć - powiedział. - Mam na głowie ciężko chorego przyjaciela, uciążliwych Albańczyków, szaleńca w domu wariatów i cały świat. Niech się pan nie przejmuję tymi przywłaszczonymi rzeczami ze szpitala. Nie będziemy z tego robić sprawy. Niemniej jednak obaj mamy jeszcze sporo pracy przed sobą. Sporo. Moim zadaniem jest wyjaśnienie, co ten pański podopieczny tutaj robił. Proszę o tym pomyśleć. Może coś spisać. Zaintrygowało mnie to, co pan opowiedział o jego przeżyciach duchowych. - Nagle przypomniał się Meralowi „zgarniacz krów” zamontowany w land-roverze.

- Ale prawdę mówiąc, nie bardzo mi się chce w to wierzyć. Podejrzewam go raczej o mroczne skłonności. Jednak kto wie? Zwierzał się panu ze swoich przeżyć duchowych? Zdarzyło się jeszcze coś prócz tej sceny w bazylice Agonii? Ciekaw jestem.

- Owszem. Dużo mówił o życiu pozagrobowym. Meral podniósł ręce, żeby klasnąć na kelnera, ale opuścił je.

- Czyżby? - powiedział. - Naprawdę?
- Kiedy odbędzie się jego pogrzeb? Chciałbym go pożegnać.
- Tu nie będzie, zabierają go do domu.

Wilson odwrócił głowę i w milczeniu patrzył chwilę na kościół. Potem cicho rzekł:

- Kiedy on już tam jest.

Meral poczuł jakieś drgnienie wewnętrzne.

- Musimy ustalić plan naszych spotkań. To był dopiero początek. Zaledwie liźnęliśmy temat.

Nie ma pan nic przeciwko temu? Pójdzie mi pan na rękę?

Wilson się zachmurzył. Był jakby zakłopotany.

- Czy musimy się spotykać w komisariacie?
- Absolutnie nie. Ale tutaj też nie. Chciałby pan coś zaproponować?
- Może u mnie w mieszkaniu?
- Może być. A czy pracuje pan dziś po południu w domu pielgrzyma?
- Owszem.

- No to może pan zajrzy do mojego pokoju, jak pan skończy? Jestem od siódmej. Przyjdzie pan?

Wilson uśmiechnął się z zadowoleniem.

- To się doskonale składa. Meral spojrzał mu w oczy.

Znów ta dwuznaczność. Co on tak naprawdę ma na myśli?

Meral zaklaskał na kelnera.

W oczekiwaniu na rachunek sierżant podniósł swoją odwróconą filiżankę i pokazał ją Wilsonowi.

- Niech pan zobaczy, jak się ułożyły fusy, gdy ją postawiłem do góry dnem i obróciłem. Są tacy, co wróżą z fusów. W plamach z kawy na dnie filiżanki widzą obrazy. Proszę spojrzeć. Niech pan powie, co pan tu widzi.

Wilson wziął filiżankę, przekrzywił głowę, żeby się lepiej przyjrzeć białym wewnętrznym ściankom, a Meral nagle stracił świadomość siebie i poczucie czasu. Wilson znieruchomiał jak w stopklatce filmu; niemego, bo dźwięki świata zewnętrznego zostały wymazane. Wszystko wokół przesyciła jakaś tętniąca niezmierną, której skłębione fale, przy pierwszym dotknięciu lodowate i wycieńczające, omyły Merala i mimo pierwszego wrażenia odświeżyły go i rozgrzały. Wręcz odrodziły.

- I co pan widzi? - zapytał Wilsona, odzyskawszy poczucie normalności.

Wilson podniósł na niego wzrok i uśmiechnął się.

- Dobre wieści.

Podczas lunchu przy stoliku Merala siedział okrągły i nieodmiennie wesoły ojciec Mancini. Obierał właśnie pomarańczę ze skórki, gdy Meral, który przez cały posiłek milczał i rozmyślał, spojrzał na niego z drugiej strony stolika i zapytał:

- Niech mi ojciec powie, czy to może być cytat z Pisma Świętego?

- Co?

- „Chcieli go zabić, lecz On przeszedł przez środek ich i oddalił się”.

Meral ufał księdzu, odkąd odpowiedział mu na nurtujące pytanie w kwestii wiary. To było tak:

„Ksiądz wierzy, że Jezus umarł za nasze grzechy?”.

„Co to za pytanie? Oczywiście, że tak”.

„A przecież Jezus mówił, że Ojciec pragnie miłosierdzia, nie ofiary”.

„Rozumiem, dokąd pan zmierza. Stary problem z Bogiem Ojcem jako kimś w rodzaju nieprzeblaganego azteckiego bóstwa. Domaga się cierpienia i krwi, aby ułagodzić jego precyzyjne poczucie sprawiedliwości. O to chodzi?”.

„Tak, o to, proszę księdza. Jak ojciec może w to wierzyć?”.

„Nie wierzę. Przynajmniej nie w ten sposób, jak rozumie to wiele osób. Jezus umarł za nasze grzechy. Tak, w to wierzę. Na pewno. Ale teraz zadam panu pytanie. Gdyby Jezus umarł na raka czy jakąś ciężką gripę w wieku osiemdziesięciu kilku lat, a potem zmartwychwstał, to jak pan sądzi, wieść o tym przetrwałaby do dzisiaj? Nie. Jego śmierć musiała być dramatyczna, na widoku, i dlatego, jak sądzę, musiał umrzeć na krzyżu: po to, byśmy wiedzieli o niej i o zmartwychwstaniu, bez których nasza wiara byłaby tylko wonią i dymem kadzideł.” - Tak - odparł Mancini na pytanie o cytata. - To z Łukasza. Gdy Chrystus nauczał w Nazarecie, tłum uniósł się takim gniewem, że wyprowadzono go na stok góry, aby strącić w przepaść. „On zaś oddalił się, przeszedłszy przez środek ich”, pisze Łukasz.

Mancini nadgryzł kolejną cząstkę pomarańczy.

Sok prysnął na pulchne palce.

- A co ich wprawiło w taką złość?

- Jezus powiedział, że za proroka Elizeusza było w Izraelu wielu trędowatych, ale jedynym, który został przez proroka uzdrowiony, był nie-Żyd. To był Naaman.

- Kto?

- Naaman. Syryjczyk imieniem Naaman.

Meral patrzył oniemiały, a poczucie nierealności spowiło go po raz drugi tego dnia. Świat zdał się nagle jakimś mglistym, widmowym sztucznym konstruktem, w którym zdarzyć się mogło wszystko, bo prawa natury przestały być czymś niezmiennym.

- Dziwnie pan wygląda - powiedział ksiądz. - Coś nie w porządku?

Tego dnia po spotkaniu z Wilsonem Meral zadzwonił do Kfar Szaul i porozmawiał z doktorem Walidem. Rozmowa przebiegła następująco:

„Pamięta pan, sierżancie, tego syryjskiego żołnierza, który zabił drugiego wariata Chrystusa w szpitalu Hadassa? Wiem, że pan nie prowadzi tej sprawy, ale słyszałem, że interesował się pan tym chłopakiem, więc pewnie ucieszą pana dobre wieści”.

„Dobre wieści?”.

„No, właściwie może i nie najlepsze. Bo teraz będzie musiał stanąć przed sądem. Dobra wieść jest taka, że całkowicie wyzdrowiał. Już nie uważa się za Chrystusa”.

Wiadomość od lekarza zdumiała Merala. W Hadassie nie mieli żadnej wątpliwości, przyjmując żołnierza, że jest nieuleczalnie chory psychicznie. Konsylium w Kfar Szaul to potwierdziło. A teraz taka radykalna zmiana. Co się stało?

Meralowi przychodziło do głowy tylko jedno: Wilson. Wilson i jego odwiedziny u żołnierza.

Meral wrócił myślami do jadalni „Casa Nova”. Dopił kawę i z lekkim stuknięciem odstawił filiżankę na spodeczek do góry dnem. Gdy zaczął ją obracać, rozległo się ciche dzwonięcie porcelany.

- Nie, nie, wszystko w porządku - odpowiedział ojcu Manciniemu, wciąż przyglądając się filiżance. - Po prostu się zamyśliłem.

- O śledztwie, które pan prowadzi?

- Nie, myślałem o dziwnym zbiegu okoliczności.

Mancini pochylił się i ugryzł kolejną soczystą cząstkę pomarańczy.

- Nie ma zbiegów okoliczności - wymamrotał.

- Sierzancie Meral!

Policjant popatrzył w stronę wołającego Patience'a.

- Telefon! Pilny!

Meral wstał pośpiesznie, potrącając przy tym stolik. Odwrócona filiżanka przewróciła się na bok. Fusy nie wróżyły nic dobrego.

## ROZDZIAŁ 23

Z czołem zmarszczonym z niepokoju Meral wkroczył energicznie do gabinetu Maya i od razu podszedł do kanapy, na której lekarz spał na wznak, przykryty miękkim kocem w czerwono-białą szachownicę. Policjant przyjrzał się poszarzałej wychudłej twarzy przyjaciela. Słyszał jego nieregularny płytki oddech. Usłyszał za plecami szept.

- Panie Meral...

Odwrócił się i zobaczył Samię. Siedziała na krześle za biurkiem Maya. Wstała, przyłożyła palec do ust na znak ciszy i gestem zaprosiła Merala na korytarz.

- Co mu się stało? - zapytał Meral. Na co się rozchorował?

- Tego nikt nie wie. Zbadaliśmy mu krew, owszem, wyniki nie są rewelacyjne, ale nie wskazują na nic poważnego. Cały czas czuje się zmęczony, z każdym dniem słabszy. Ciągłe śpi. Przysięgłabym, że umiera z powodu złamanego serca. Obudzić go? Sierżancie, ktoś mu musi powiedzieć, że powinien się położyć na oddział. Wciąż mu to powtarzam, ale mnie nie słucha. Ani trochę. Jest uparty jak osioł. Może pana posłucha. Zajrzy pan tu wieczorem?

- Dziś nie. Jestem umówiony.

- To jutro?

- Tak, jutro. Muszę mieć czas. Do zobaczenia.

Meral ruszył do wyjścia, lecz zatrzymał się i odwrócił.

- Chciałbym siostrze bardzo podziękować.

- Za co?

- Za informację o Wilsonie i o tym człowieku.

- Co? O jakim człowieku? - Samia przez chwilę nie wiedziała, o co chodzi, zorientowała się jednak szybko: - Aha. Tak. O tym facecie, który z nim mieszkał. Racja. Ale nie ma za co dziękować.

- Jak to?

- Sama bym nie powiedziała. To był pomysł Wilsona.

Tego wieczoru po kolacji Wilson odwiedził Merala w jego pokoju.

- To pan powiedział siostrze Samii, żeby się ze mną skontaktowała?

- Tak.

- Dlaczego tak to pan załatwił?

- Chciałem panu pomóc.

- Mógł pan się sam zgłosić.

- W ten sposób nie można. To pan musi przyjść do mnie.

Meral ściągnął brwi.

- Nie rozumiem.

- Niedługo pan zrozumie.

Meral spojrzał w chłodne niebieskie oczy Wilsona i poczuł falę przestachu, jakby wyczuwał, że wkroczył w labirynt myśli tak zagmatwanych, że nie tylko można wśród nich pobłądzić, ale nawet nie da się zgadnąć, dokąd mogą prowadzić. Porzucił więc tę linię przesłuchania i wrócił do głównego tematu.

- Dajmy temu na razie spokój. Proszę sobie przypomnieć wszystko, co człowiek, którego zidentyfikowaliśmy jako Dimitra, mówił panu w tygodniach przed śmiercią, a zwłaszcza co mówił na temat powodów swojego przyjazdu do Jerozolimy.

Zmiana tematu okazała się owocna, bo odpowiedzi Wilsona były jak najdalsze od zdawkowych czy zagadkowych. Gorliwie zrelacjonował Meralowi każde słowo, każde poczynanie człowieka, któremu uratował życie. Z jednego spotkania po kolacji zrobiło się dwanaście, a z każdą nową opowieścią oczy Merala otwierały się szerzej ze zdumienia. Spisując raport końcowy z tych rozmów, Meral nie miał wątpliwości, że ten dokument nie tylko rozjaśni ciemności, lecz także niejednego wprawi w oszołomienie.

Pewne informacje, a zwłaszcza wnioski, postanowił jednak zachować dla siebie.

W niedzielę Meral przychodził z całodniowymi odwiedzinami do Maya, którego położono w końcu na oddziale neurologii. Choroba, która lekarza wyniszczała, pozostawała wciąż nierozpoznana. Mayo słabł i obojętniał z każdym dniem. Samia starała się przebywać z nim jak najwięcej, poświęcała mu praktycznie cały swój wolny czas. Niekiedy zasypiała w fotelu przy łóżku, przykryta miękkim kocem w czerwono-białą szachownicę. W niedzielę zauważała dziwne zmiany u Merala. W miarę jak stan Maya się pogarszał, Meral stawał się jakby żywszy



i świeższy. Czy to się teraz odwróci? - zastanawiała się rankiem siedemnastego maja. Był to dzień, gdy jasne się stało, że więcej już niedzielnych odwiedzin nie będzie.

Nie, to nie może być prawda - mamrotał oszołomiony Meral.

Granatowy zimowy mundur zamienił na letni, błękitny, który robił wrażenie groteskowo niepasującego do sytuacji, gdy sierżant odsłonił prześcieradło i patrzył na zwłoki przyjaciela z dzieciństwa. Samia zadzwoniła do niego na komisariat i zawiadomiła, że Mayo umiera. Popędził do szpitala, ale dotarł za późno.

Odwrócił się do pielęgniarki. Stała przy łóżku z mokrą od łez chusteczką w przyciśniętej do piersi garści.

- Jak to się stało? - zapytał.

- Tego nikt nie wie. Po prostu umarł.

- Zwyczajnie umarł?

- Przestał oddychać. To wszystko. Tak, zwyczajnie umarł.

Meral popatrzył ze smutkiem na ciało.

- Mój ostatni przyjaciel - wymamrotał ochryple.

- Nie. Nie ostatni.

Meral spojrział w zapłakane oczy Samii.

- Dziękuję. Dziękuję.

Usiadł na krześle przy łóżku i siedział dłuższą chwilę w żałobnym milczeniu, póki nie zaczęły go nękać niepokojące myśli: „Znam wiele różnych sposobów, nie wzbudzających żadnych podejrzeń i nie do wykrycia w żadnym badaniu... żadnym badaniu... nie do wykrycia w żadnym...” Podniósł wzrok na Samię.

- Czy wie siostra, co robił tuż przed zachorowaniem?

- To co zawsze.

- Nic niezwykłego?

- Nie. Raczej nie. No, może jedno.

- Co?

- Chciał, żebym mu sprawdziła dziwną rzecz, jak z powieści szpiegowskiej.

- Szpiegowskiej?

- A tak. Jak się zdejmuje odciski palców za pomocą plastra.

- A po co mu to było?

- Nie mam pojęcia.

- Czy miał jakieś podejrzenia co do tej choroby?

- Nie. W każdym razie mnie nic nie mówił. Nie wiedział.

- Zmarł we śnie?

- Drzemał. A potem zobaczyłam, że powieki mu się podnoszą, usłyszałam, jak mówi: „Siostró...”, ale głos miał słaby. Ledwie słyszałam. Powiedział: „To ja, Moses. Jestem tutaj”. Pochyliłam się... - Głos uwiązł Samii w gardle. Zamilkła, lecz po chwili ciągnęła: - Nachyliłam ucho do jego ust, a on powiedział coś, jedno zdanie. I umarł.

- Zrozumiała siostra, co mówił?

Sarnia kiwnęła głową. W oczach zabłysły świeże łzy.

- „Teraz zjem rosół, zostawię kluski”.

- Co takiego?

- To takie powiedzenie, ma to wypisane na ścianie. O, tam.

Meral popatrzył we wskazanym kierunku na tabliczkę z cytatem z Efraima Kiszona.

- A potem... potem... - zaczęła pielęgniarka drżącym głosem, rozplakała się jednak i wybiegła z pokoju. Meral słyszał jej szybkie kroki, coraz cichsze, aż wreszcie rozpląnęły się w ciszy jak uderzenia serca Maya. Meral spuścił głowę, podszedł do drzwi. Stamtąd odwrócił się jeszcze raz, by pożegnać spojrzeniem przyjaciela. Mniej go zastanawiała zagadka niewyjaśnionej śmierci, a bardziej fakt, że poczuł w oczach łzy.

Ten „mur” zaczyna się kruszyć.

Aż podskoczył, słysząc głos Samii, która niespodziewanie wróciła.

- Jeszcze jedno!

Odwrócił się.

- Powiedział jeszcze coś. Na koniec.

- Co? - zapytał Meral.

- Powiedział: „ksiądz”.

## ROZDZIAŁ 24

PRZESŁUCHANIE STARSZEGO SIERŻANTA PETERA V. MERALA W DNIU  
17 MAJA 1974 R. W KWATERZE GŁÓWNEJ WYWIADU IZRAELA.

Przesłuchujący: Mosze Zui.

Pytanie: Sierżancie, tym razem jesteśmy sami. Amerykanów jakoś przestało to interesować.

Odpowiedź: Widzę.

P.: Coś nie w porządku?

O.: Co pan przez to rozumie?

P.: Robi pan wrażenie zadumanego. Jakby gruntownie pan coś przemyślał.

O.: To prawda, przepraszam.

P.: Chodzi o Mosesa Maya?

O.: Tak.

P.: Co się stało? Słyszałem, że ma pan jakieś podejrzenia?

O.: Może raczej przecucie. Jeszcze nieskrystalizowane.

P.: Chce pan, żebyśmy chwilę poczekali?

O.: Nie. Zaczynamy.

P.: No to dobrze. Więc mamy pański najnowszy meldunek. Fascynujący. Ulica Remli. Wypadek. I tak dalej. Ten Wilson opiekuje się Temescu, to znaczy Dimitrem, a potem pomaga mu w samobójstwie. Czy skieruje pan wniosek o akt oskarżenia?

O.: Raczej nie. Wilson jest prostoduszny. Nie głupi. Co to, to nie. W żadnym razie. Po prostu naiwny. Ale w dobrym tego słowa znaczeniu.

P.: Zerknijmy [zagląda do dokumentu]. W Izraelu od siedmiu miesięcy?

O.: Wilson?

P.: Tak.

O.: Teraz już od ośmiu.

P.: W porządku, od ośmiu. Więc tak, Temescu to w rzeczywistości Paul Dimiter. Dobrze. Pozostaje jednak pytanie, co u nas robił. To musiała być jakaś misja, a ponieważ Amerykanie trzymają gęby na kłódkę, wnioskuję, że cholernie ważna. I kluczem do tej sprawy jest Wilson. Opiekował się Dimitrem, mieszkał z nim przez parę tygodni. Musi coś wiedzieć, prawda? Pan się z Wilsonem spotkał i rozmawiał... ile? Z dziesięć razy?

O.: Jakoś tak.

P.: Domyślałam się, że to były owocne spotkania. Okazał się pomocny? Jeśli chodzi o misję Dimitra, rzecz jasna.

O.: Tak.

P.: Naprawdę? To świetnie. Niech pan opowie, sierzancie.

O.: Sprawa jest bardzo skomplikowana.

P.: W jakim sensie?

O.: Tak naprawdę nie wyszły na jaw żadne konkrety, które mogłyby rzucić światło na tę kwestię. Prawdę mówiąc, na żadną kwestię. A na dodatek okazało się, że kilka tak zwanych faktów to wcale nie fakty. Mówię o tym, co Dimiter opowiadał Wilsonowi. Część z tego to albo kłamstwa, albo urojenia wywołane morfiną. Myślę raczej, że to drugie. Ten człowiek umierał. Nie miał więc po co kłamać. Raczej przeciwnie.

P.: Mógłby pan podać jakieś przykłady, sierzancie, żeby zrozumiał, o czym pan mówi?

O.: Oczywiście. Gdy Wilson pytał Dimitra o wiek, ten odparł, że nie potrafi powiedzieć, ile ma lat. Początek życia miał niezwykły: znaleziono go w szpitalu jako płód po poronieniu. Wykonano tracheotomię i umieszczono go w inkubatorze. Został z tego inkubatora wykradzony przez pielęgniarkę i przeschmugłowany do domu. To była niezamężna kobieta, Albanka z pochodzenia. Nadała mu swoje nazwisko i wychowała go.

P.: Dlaczego pan sądzi, że to nieprawda?

O.: No wie pan: „wykradzony”, „przeszmugłowany”... To brzmi jak fantastyczny wymysł.

P.: Ale blizna po tracheotomii jest prawdziwa.

O.: Na jednym fackie można zbudować domek z kart.

P.: Nie poddaje się pan, Meral.

O.: Staram się.

P.: Racja. Stara się pan. A jeszcze jakieś przykłady kłamstw?

O.: Mówił Wilsonowi, że jego żona żyje.

P.: A tak, była o tym mowa. Żona, która zginęła. Miała na imię Jean.

O.: Wilsonowi podawał inne imię.

P.: Naprawdę? No to może rzeczywiście ma pan rację. To pewnie morfina.

O.: Pewnie.

P.: Wracając do misji Dimitra. Ma pan jakieś domysły?

O.: Tak. Ponieważ nie miałem twardych faktów, pomyślałem, że najlepiej będzie przyjrzeć się jego ewentualnej misji bardziej ogólnie.

P.: To znaczy?

O.: Wziąłem pod uwagę jego życie duchowe, niech się pan nie dziwi. Chodzi o głębokie zainteresowanie religią, jakie wykazywał Dimiter. Wilson twierdzi, że był nią wręcz opętany. Skąd przychodzimy? Po co tu jesteśmy? Dokąd dążymy?

P.: Teraz ja bym chciał zadać właśnie to pytanie: dokąd dążymy?

O.: Mimo wszystko ku rozszyfrowaniu misji Dimitra. Przekonania człowieka wpływają na jego dążenia.

P.: Czy my przypadkiem nie gonimy w piątkę, sierzancie? Najgroźniejszy skrytobójca na świecie poszukuje Boga?

O.: Są precedensy.

P.: Dobrze. Ale pytam: czy to ma jakiś sens?

O.: Zupełnie nie. Ale prawda i sens to dwie różne rzeczy. Stało się coś, co tego człowieka zupełnie odmieniło.

P.: Ach, przeżycie mistyczne!

O.: Otóż to! Mam mówić dalej?

P.: Może lepiej zrobmy przerwę.

O.: Przerwę?

P.: Bo pan znowu odbiegł myślami. Zrobmy sobie przerwę.

O.: Nie, nie trzeba. Lepiej będzie, jak będę mówił dalej. Mogę?

P.: Ale nie będzie pan bujał w obłokach?

O.: Oczywiście, że nie.

P.: To proszę mówić.

O.: Wilson powiedział mi, że Dimitra przez całe życie prześladował problem zła na świecie. Nazywał to „tajemnicą wbijającą nóż w serce”. Ale z czasem zaczął być przekonany, że istnieje tajemnica znacznie głębsza, a nazwał ją „tajemnicą dobra”.

P.: Nie nadążam.

O.: Wszystko się wyjaśni.

P.: Mam nadzieję.

O.: Twierdził, że skoro jesteśmy niczym więcej niż pozbawioną głębszego sensu materią, to dlaczego nie jest tak, że dbamy tylko o nasze egoistyczne potrzeby? Przecież wciąż napotyka się ludzi, którzy poświęcają życie dla innych. Widzimy poświęcenie w życiu zwykłych ludzi, nie tylko bohaterów. W każdym razie on był o tym przekonany.

P.: I o to chodzi? Uważa pan, że to właśnie wpłynęło na motywy jego działania?

O.: Do pewnego stopnia. No i było jeszcze to przeżycie mistyczne.

P.: Opowiadał o tym Wilsonowi?

O.: Częściowo. Powiedział, że zdarzyło się to pod koniec jego misji w Albanii. Tej drugiej misji. Chociaż już wcześniej coś czuł, tak mi mówił Wilson. Miał niechęć do zabijania, jeśli tylko dało się tego uniknąć. Ale gdy skończył wyświęcać tych młodych mężczyzn na księży... Wie pan, o jakim wydarzeniu mówię?

P.: Tak, wiem.

O.: W tym właśnie momencie, jak opowiadał, wypełniła go jakaś „siła”. Coś „większego niż wszechświat, choć mniejszego niż ziarnko grochu”. To są jego słowa.

P.: Widzę, że zagląda pan do notatek.

O.: Tak, sporządzałem notatki po każdym spotkaniu z Wilsonem.

P.: Proszę kontynuować, już nie przeszkadzam.

O.: Potem Dimitra opowiadał o pewnym zadaniu, które wypełniał w Somalii. Panował tam głód, ludzie tysiącami umierali z głodu. A pewnego dnia rano usłyszał śpiew, chóralny, i zobaczył Sudańczyków, setki ludzi wycieńczonych, wychudzonych jak szkielety, którzy siedzieli w kręgach, klaskali i śpiewali. Umierali. A mimo to uśmiechali się. Śpiewali, a na twarzach mieli szczęście. Radość. Promieniowali, emanowali wszechogarniającą prawdą, chwałą, która spłynęła na Dimitra. Ale wtedy poczuł tylko ułamek, nawet nie jedną setną tego, co potem poczuł w Albanii po wyświęceniu młodych księży.

P.: To znaczy, że usłyszał głos Boga czy coś takiego?

O.: Nie. Tego nigdy nie mówił. Wilson twierdził, że nie potrafił tego wyjaśnić bliżej. To było coś, czego nie dało się ująć w słowa.

P.: Zdaje się, że zaczynam rozumieć. W końcu. Rozumieć, do czego pan zmierza. Chodzi o to, że ten człowiek przeszedł taką przemianę, że od tamtej pory nie umiał już wyrządzać zła. O to chodzi?

O.: Właśnie o to. To właśnie chciałem przekazać.

P.: No cóż, któż wie? Może i tak było. Bell i Sandalls bardzo by się ucieszyli. Ale z drugiej strony ta morfina i te zmyślenia... Może kłamstwa. Aha, przypomniało mi się. Żona Temescu. A raczej Dimitra. Zdaniem Wilsona Dimiter twierdził, że nie miała na imię Jean?

O.: Tak jest.

P.: A jak miała na imię?

O.: Moricani.

P.: Naprawdę? Moja żona ma przyjaciółkę o tym imieniu.

O.: Pewnie rumuńskie?

P.: Albańskie. Czy już zakończył pan rozmowy z Wilsonem?

O.: Jeszcze nie. On twierdzi, że dokładnie wie, jaką misję miał tu Dimiter, i obiecał mi wszystko o tym opowiedzieć.

P.: To fantastyczne, sierżancie. A kiedy?

O.: Jak będę gotowy. Tak powiedział.

P.: Co miał na myśli?

O.: Bóg raczy wiedzieć.

P.: Czy nie powinniśmy dać mu jakiejś ochrony?

O.: Pilnować go?

P.: Owszem.

O.: Nie sądzę, by to było konieczne.

P.: Dlaczego?

O.: Przeczucie.

P.: No to dobrze. Na razie wszystko. Dobra robota. Widzę, że znów się pan zamyślił. Wciąż chodzi o Maya? Powinien pan się z tym jakoś uporać, Meral.

O.: Zamierzam.

Zaraz po wyjściu od Zui Meral pojechał swoim służbowym samochodem do dzielnicy Szejk Dżarra. Wjechał w górę stromą ulicą na Givat Szapira, potem jeszcze kawałek w dół, aż znalazł się przy pięciopiętrowym gmachu z beżowego wapienia, w którym mieściła się komenda główna policji państwowej. Przejechał przez otwieraną elektrycznie bramę i posterunek wartowniczy, zostawił auto na parkingu i wszedł przez stalowe obrotowe drzwi do chłodnego cichego holu o lśniącej jak lustro białej marmurowej posadzce. Podeszedł do kontuaru recepcyjnego, za którym stał umundurowany portier. Za plecami miał plakaty pokazujące, jak strzec się przed zamachem bombowym i włamaniem.

W Afryce Wschodniej, na zboczach góry Elgon, żyje plemię, które wierzy, że ludzie mają po dwie dusze i że jedna z nich istnieje tylko dlatego, że druga o niej śni. Poprzedniej nocy Meralowi we śnie wydawało się, że spotkał tego, któremu on sam się śni. W komorze grobowej Jezusa ten dubler Merala patrzył mu w oczy, a palcem pokazywał na siostrzeńca doktora Mayo, Szloma, który ze zmarszczonym czołem w skupieniu opukiwał palcami kamienną ścianę komory, przykładając do niej ucho i nasłuchując uważnie, aż wtem idealnego kształtu błękitna róża wyrosła z miejsca, które opukał. Szlomo zerwał ją ze ściany i triumfalnie zawołał: „Aha!” Następnie rozległ się trzask i łoskot, duży fragment ściany grobu osunął się, rozpląnął, a za nim ukazała się niewielka tajemna komnata, w której stał Moses Mayo i przyglądał się Meralowi. Mayo był szczelnie owinięty w biały całun, na nim miał trencz z paskiem i kapelusz na bakier, co bardzo przypominało Humphreya Bogarta z *Casablanki*. Wypuścił z ust kłęb dymu tytoniowego i wycedził: „Znam różne sposoby nie wzbudzające żadnych podejrzeń. Teraz już wiesz, dlaczego nigdy niczego nie planuję tak daleko naprzód”. Następnie podniósł rękę i wskazując palcem Szloma, dodał zagadkowo: „Idź tropem gazeli!”.

Na tym sen się kończył.

- Z kim pan chciał się widzieć, sierżancie?
- Z inspektorem Szlomem Urisem.
- Pokój sześćset dwadzieścia dwa. Proszę na górę.



Siostrzeniec Maya siedział rozparty za biurkiem i przyglądał się gościowi. Nie miał krawata, kołnierzyk błękitnej koszuli z krótkimi rękawami był rozpięty. Nosił szerokie jaskrawoczerwone szelki. W chwili gdy Meral wchodził, trzymał nogi na biurku i kulkami z pogniecionych formularzy policyjnych meldunków rzucał do zielonego metalowego kosza ustawionego na komodzie na akta w kącie pokoju.

- Cześć, Meral! Jeszcze trzy rzuty i kończę. Wchodź, siadaj.

Meral usiadł i rozejrzał się po gabinecie. Widać było pewne pokrewieństwo z Mayem: ściany gabinetu obwieszały plakaty, głównie z koncertów rockowych z całego świata. Centralne miejsce zajmował jednak ogromnych rozmiarów plakat z komiksowym bohaterem kapitanem Marvelem.

- No więc?

Meral skierował wzrok na Urisa. Skończywszy rzucać kulkami z papieru, postawił stopy na podłodze i siedział pochylony do przodu, z rękami złożonymi przed sobą na biurku, starając się mocno, by wyglądać rzeczowo i poważnie. Na ścianie nad biurkiem wisiało czarno-białe zdjęcie lotnicze z naniesionym planem Jerozolimy.

- Pozwól, że ci złożę kondolencje - zaczął Meral.

- To raczej ja tobie złożę. Byliście ze sobą tak blisko. Jak bracia.

Wzrok Merala padł na symbol widniejący z boku telefonu na biurku Urisa. To była gazela w skoku.

- Tak, jak bracia - odparł cicho Meral.

- Czym ci mogę się dzisiaj przysłużyć? Meral podniósł wzrok.

- Znajdź człowieka, który zamordował twojego wuja.

## ROZDZIAŁ 25

Bębniący deszcz ze smętnego porannego nieba nad Nowym Jorkiem zostawiał plamy w kurzu na pożółkłych szybach wychodzących na brooklińską ulicę. Ciężarówki łomotały, przejeżdżając po pokrywach studzienek kanalizacyjnych, ale starsza pani w jasnoróżowej koszuli nocnej i brązowych ciepłych kapciach prawie ich nie słyszała. Z okrągłego stolika w maleńkim salonie podniosła zdjęcie w ramce i pokazała nieco młodszej kobiecie, ubranej w niebieską sukienkę w kwiaty i rozpinany sweter, które pachniały sklepem z używaną garderobą.

- Mój chłopak - tęsknie wymamrotała starsza kobieta. Na zdjęciu był wysoki, dobrze zbudowany blondyn w habicie franciszkańskim.

- Dobrze - powiedziała druga kobieta.

Trzymała w ręku wieczne pióro, a przed nią leżała na stoliku kartka z taniej papeterii.

Starsza kobieta odstawiła zdjęcie.

- No więc najpierw napisz im, że zrobiłam wszystko, jak kazali, ale nie dostałam nic, złamanego słówka odpowiedzi. Powariowali. Tego nie pisz. Po prostu...

- Zaczekaj.

Starsza kobieta przyłożyła dłoń do ucha i głośno spytała:

Pisząca powtórzyła głośniej:

- Zaczekaj.

- Aha, zaczekaj. Dobrze.

Pióro skrobało chwilę po papierze. Zatrzymało się.

- No dobrze, i co?

- Co co?

- No, co dalej?

- Napisz im, że już trzeci raz piszę do nich w tej sprawie.

- Mary, może ja zadzwonię? Chcesz?

- A mogłabyś?

- Jasne, zrobię dla ciebie wszystko. I dla Dennisa.

W tej samej chwili w Jerozolimie dalekopis w pokoju łączności komisariatu policji Kiszla wypluwał linijka po linijce zdjęcie, na które ze znużeniem, przestępując z nogi na nogę i błądząc myślami, czekał Meral. W końcu zdjęcie wysunęło się do końca i urządzenie umilkło.

Meral przyjrzał się fotografii.

Znużenie minęło jak ręką odjął.

## ROZDZIAŁ 26

Szlomo Uris przechadzał się niecierpliwie po gabinecie z rękami w kieszeniach bojówek. Czekał na telefon. Na chwilę zatrzymał się przy wąskim stoliku pod oknem, gdzie trzymał ustawione schludnie rodzinne zdjęcia. Podniósł jedno. Było to jego własne zdjęcie z dzieciństwa: mały Szlomo u wuja Mosesa na rękach. Zadzwoił telefon, więc Szlomo odstawił zdjęcie, podszedł do biurka i podniósł słuchawkę.

- Halo, tu Uris. Słucham? Tak, proszę połączyć.

Zerknął na list leżący na biurku. Był adresowany pierwotnie do ambasadora Stanów Zjednoczonych w Tel Awiwie. Przysłała go kobieta z nowojorskiego Brooklynu. Przekazany dalej kanałami oficjalnymi trafił w końcu na biurko Szloma. Inspektor przejrzał rejestr rozmów telefonicznych odebranych przez Maya w ciągu ostatnich trzech dni przed pojawieniem się objawów choroby. Jedna z tych rozmów miała związek z listem z Nowego Jorku.

- Halo? Czy pan mnie słyszy? Dobrze. Nazywam się Szlomo Uris. Jestem inspektorem policji państwowej w Jerozolimie. Tak, w Jerozolimie. Tak. Ach tak, panu też wszystkiego najlepszego. Dzwonię w sprawie jednego z waszych ludzi. Sprawa pilna. Chciałbym prosić o przesłanie drogą telegraficzną zdjęcia. Nie, nie! Nie kogokolwiek. Konkretnego człowieka. Z tego co wiem, dopytywała się już o niego jego matka. Co? Nie, nie mam numeru telefonu. Jego matka niedosłyszy i...

Uris słuchał przez chwilę, a potem pokiwał głową.

- Tak, chodzi o niego - potwierdził. - O Dennisa Mooneya.

## ROZDZIAŁ 27

Siedząc przy okrągłym stoliku w kuchni, Samia skrupulatnie notowała w swoim dzienniku. „Czym jest na prawdę miłość?” - napisała niebieskim atramentem, drobnym i zgrabnym charakterem pisma. Siedziała zmęczona i smutna. Nie przebrała się z pielęgniarzkiego kitla, zdjęła tylko sztywny czepek i zarzuciła sobie kraciasty koc Maya na ramiona. Był wieczór, zrobiło się chłodno, a centralne ogrzewanie nawalało. Usłyszała ciche pukanie do drzwi. Dzwonek też się zepsuł.

- Kto to? Kto tam? - zawołała.

- Meral.

Zdziwiła się, ale uspokoiła.

Wstała, zamknęła dziennik, wrzuciła do szuflady i zatrzasknęła ją.

- Już! - zawołała. - Już otwieram.

Pośpiesznie się ogarnęła, podeszła do drzwi, zerknęła przez judasz, po czym kolejno odsunęła trzy zasuwki, wreszcie wpuściła Merala. Na jego twarzy nie malowały się emocje. Był w mundurze, w ręku trzymał czarną skórzaną teczkę.

- Cześć - powiedziała wesoło.

- Dzień dobry, siostrzo. Przepraszam za najście. Mogę zająć chwilę?

- No pewnie! - wyrwało się jej, lecz opanowała się. - Ależ oczywiście, sierżancie, proszę - dodała swobodniej. Z korytarza dobiegały rozradowane piski dwójki dzieci bawiących się piętro wyżej w berka z głośnym wesołym tupaniem. - Czemu nie.

Meral wszedł, Samia zamknęła za nim, dziecięce głosy zostały za drzwiami.

- Chodźmy do kuchni - powiedziała pielęgniarka zapraszając Merala machnięciem ręki. - Tam jest cieplej. Włączyłam palniki kuchenki. Centralne nie działa. Gospodarz jest beznadziejny. Zrobił to pewnie specjalnie. Na pewno tym Żydom z góry nie wyłączył. Niech pan siada. Na tym krześle przy kuchence.

- Dziękuję.

Usiadł. Postawił teczkę na podłodze koło krzesła, lecz wciąż zerkał do salonu. Trzy ściany salonu były różowe i gładkie, a czwarta cała w malowanych niebieskich kwiatach.

- Ma pani urocze mieszkanie - powiedział.

- To nora, ale próbuję ją jakoś ożywić.

- Podoba mi się ta ściana w kwiaty.

- Mnie też - powiedziała. - Niebieskie irysy. Nie mogę uwierzyć, że mnie pan odwiedził.

Może kawy? Zrobię.

- Nie, dziękuję. Proszę sobie nie robić kłopotu.

- Niech pan da spokój. Przecież to żaden kłopot. - Samia wstała i wyjęła z kredensu utensylia do kawy. - Ma być z wodą różaną?

- Tak, proszę. Jeśli to nie sprawi kłopotu.

- Skąd się pan tu wziął? Jakies śledztwo u sąsiadów czy co? O co chodzi?

- A o co chodzi z tym oknem, Samio?

- Co pan ma na myśli?

- Okno - powtórzył. - O, tam.

Pokazał na tors plastikowego wampira wielkości człowieka ustawiony na parapecie okna salonu. Wampir szerzył długie kły, a w dłoni trzymał trzydziestocentymetrowy sztylet.

Sarnia rzuciła okiem w tamtą stronę i wróciła do parzenia kawy.

- W tej sprawie pan przyszedł? Ktoś złożył skargę?

- Nie. Nikt się nie skarżył. Ale po co to tam stoi?

- Dla bezpieczeństwa. Jak ludzie to widzą, myślą, że tu mieszka jakiś wariat, więc wolą ze mną nie zaczynać. Ludzie się boją wariatów.

- Jacy ludzie?

- No wie pan, włamywacze. Zresztą wszyscy. Wszyscy oni. W nocy oświetlam go lampką. Naprawdę można się przestraszyć.

Meral przyglądał się spokojnie, jak odmierzała zmieloną na brązowy pył kawę do błyszczącego mosiężnego tygielka z długim uchwytem.

- Nie mój rewir, ale z tego co wiem, to najbezpieczniejsza dzielnica Jerozolimy. Włamań tu praktycznie nie ma.

- I to jest właśnie problem. Rachunek prawdopodobieństwa mówi, że teraz na nas kolej.

Na to Meral nie miał odpowiedzi.

Pielęgniarka postawiła tygielek na gazie i siadła po przeciwnej stronie stolika.

- Ma pan do mnie jeszcze jakieś pytania na temat Wilsona, prawda?

- Nie, nie po to przyszedłem.

- Po prostu wpadł pan?

- Można tak powiedzieć.

- Źle się pan czuje? Zabłądził pan? To jest mieszkanie numer dwa „be”. Ja mam na imię

Samia.

- Przyniosłem pani prezent.

- Żartuje pan.

- Nie, nie żartuję.

- Co to takiego?

- Powiem po kawie.

- Ma być niespodzianka, co? Nakaz aresztowania?

- Nie, nic takiego.

- Dobra czy zła niespodzianka?

- Nigdy bym nie przyniósł nic złego.

- No tak, chyba nie.

Przyglądała mu się łagodnie, z głową przekrzywioną na bok.

- Wygląda pan jakoś inaczej niż zwykle, sierżancie.

- Inaczej? Pod jakim względem?

- Nie mam pojęcia.

- A pani jest trochę smutna.

- Tak?

- Trochę. Tylko trochę. Z powodu Maya? Pielęgniarka rozłożyła ręce, potem opuściła głowę,

pochyliła się i oparła na łokciach.

- Tak, chyba tak.

- Mnie też jest smutno.

- Bez niego czuję się samotna.

- Nie miała pani innych przyjaciół?

- Takich jak on nie.

- A rodzice? Żyją jeszcze? Rodzeństwo?

Pokręciła przecząco głową.

- Nie mam nikogo. - Podniosła głowę, spojrzała na kuchenkę, czy kawa się gotuje. - Tak jak pan - dopowiedziała rzeczowym tonem.

Meral milczał.

- Prawie gotowa - powiedziała Samia. - No, niech pan się przyzna. Niech pan powie, sierzancie. Co to za prezent? Co mi pan przyniósł? I z jakiej okazji? Niech mi pan wyjaśni. O co chodzi?

- Po kawie - odparł twardo.

- Ach, uparciuch z pana.

Nalała obojgu kawy, zaproponowała przejście na „ty”, przez chwilę gawędzili o tym i owym.

- Wkurzająca jest ta Jerozolima - oświadczyła w którymś momencie. - Nie ma ani jednej meksykańskiej knajpy. Ci Żydzi chyba myślą, że Meksykanie to Arabowie, którzy nazwali arak tequilą.

- Nie, w tym co mówisz nie ma żadnego sensu, Samio. Naprawdę. Przecież w Jerozolimie jest pełno arabskich restauracji.

- No tak, bo gdyby je pozamykali, byłaby to zbyt jawna dyskryminacja.

- Co ty opowiadasz?

- Oczywiście. Dlatego czepiają się tylko Latynosów.

Samia wypła kawę, odstawiła filiżankę.

- No dobrze, Meral. Kawa wypita. Co mi przyniosłeś?

Meral sięgnął do teczki i wyjął z niej dwie rzeczy. Położył je na stole i powiedział:

- To. Udało mi się to dla ciebie zdobyć. Ale chciałem, żebyś się najpierw napiła czegoś ciepłego.

Z oczami pełnymi smutku i czułego wspomnienia Samia patrzyła na plakat turystyczny ze zdjęciem kalifornijskiego wybrzeża Big Sur, który kiedyś wisiał na ścianie gabinetu Maya. Podniosła go delikatnie.

- Dziękuję, Meral. To będzie moja najcenniejsza pamiątka. Naprawdę. Bardzo mi miło. To było jego marzenie, wiedziałeś o tym pewnie. A może nie wiedziałeś. Marzył, że kiedyś tam wróci i zamieszka. Mieszka tam kobieta, którą kochał.

- W Carmel-by-the-sea?



- Tak, w Carmel. Powiedział, że byłby szczęśliwy, gdyby mógł ją od czasu do czasu zobaczyć. Przypadkowo, na ulicy, w sklepie... Mógłby się uśmiechnąć, pomachać ręką. Poznać jej syna.

- Kim ona jest? Wiesz?

- Nie znam nazwiska. Jakaś gwiazda filmowa. Pod koniec, jak był bardzo chory, mówił coś o niej. - Odłożyła plakat obok drugiego prezentu: zdjęcia przedstawiającego Maya i Merala jako małych chłopców. - I to! - powiedziała, podnosząc zdjęcie. - Dziękuję, Meral. Jesteś fajny gość...

- Dlaczego?

Samia odłożyła zdjęcie.

- Bo tak. Chcesz jeszcze kawy?

- Nie, już dziękuję. - Meral rzucił okiem na zegarek i podniósł się od stołu. - Niestety, muszę już lecieć.

- A potem dodał: - Nie, zaczekaj - i usiadł z powrotem.

- Mam jeszcze coś. - Sięgnął do teczki i zaczął to coś wyjmować.

- Napis o rosole i kluskach?

- Nie, Samio, tym razem to nic z rzeczy Maya. Coś innego. Może to nie taka bardzo ważna sprawa, ale skoro już tu u ciebie jestem...

Położył na stole zdjęcie. Była to przesłana dalekopisem kopia zdjęcia mężczyzny w mundurze wojskowym. Mayo podał kartkę pielęgniarce.

- Dostałem to właśnie dzisiaj - wyjaśnił. - To mało prawdopodobne, ale czy może przypadkiem nie był to ten człowiek, który jak mówiłaś, mieszkał z naszym dobrym znajomym Wilsonem?

- O mój Boże!

- To on?

- Myślę, że tak.

- Na pewno?

- Jestem prawie pewna. Niech się przypatrzę.

Samia wzięła fotografię z rąk Merala i przyjrzała się jej dokładnie.

- Tak, jestem zupełnie pewna - powiedziała w końcu. - To on!

Odłożyła zdjęcie i popatrzyła na Merala.

Policjant wyglądał na przejętego.

- To jakaś ważna sprawa? - zapytała. - Kim on jest?

- Zaginiony, który się odnalazł.

Skrzyżowawszy ręce na piersi, pielęgniarka patrzyła, jak Meral wsuwa zdjęcie do teczki, wkłada na głowę czarny beret, poprawia go.

- O to ci chodziło? - zapytała. - Wykorzystałeś mnie i wracasz do pracy?

- Muszę.

Ale przez dłuższą chwilę policjant nie wychodził. Stał ze spuszczonej oczami, z dłonią na stole. Milczeli. Słychać było tylko szum błękitnych płomyków kuchenki gazowej.

- No dobrze - powiedział w końcu.

- Co dobrze?

Popatrzył na nią, jakby widział ją po raz pierwszy i sprawiało mu to przyjemność.

- Nie zwróciłem nigdy uwagi, że masz takie długie falujące włosy.

- No tak, wam wystarczy eleganckie czarne berety, a my musimy nosić te wielkie sztywne, krochmalone białe czepce. Po co Arabowie muszą oglądać tę wielką gwiazdę Dawida na naszych czepkach? Nie mógłby być falafel albo kibbeh? A z powodu białego koloru mógłby to być po prostu jogurt.

Meral przez chwilę przyglądał się jej z sympatią w oczach.

A potem wstał energicznie.

- Naprawdę muszę lecieć. Mam mnóstwo roboty.

Samia wsparła się o stół obiema dłońmi i wstała.

- Ja też mam co robić. Tyle spraw do załatwienia. Cieszę się, że wpadłeś.

- Nie ma sprawy.

- I dobrze.

Przechodząc przez salon, Meral zatrzymał się przy ścianie w błękitne irysy.

- Ładne - zauważył. - Musiały cię kosztować kupę forsy.

- Poświęciłam na to jeden dzień. Sama namalowałam.

Meral niezmiernie się zdziwił.

- Malujesz? Nigdy się nie chwaliłaś.

- Nie. Jak się ma taki fenomenalny talent jak ja, trzeba się z tym kryć. Żeby nie wzbudzać zawiści.

W oczach Merala znów błysnęła sympatia. Stał chwilę i przyglądał się twarzy pielęgniarki. Samia odprowadziła go do drzwi, otworzyła je, wyszła za nim na korytarz. Tu Meral jeszcze raz się odwrócił. Widać było, że już jest myślami gdzie indziej.

- Dzięki za kawę - rzekł.

- Na miłość boską, nie mógłbyś się uśmiechnąć? Chociaż raz! To cię nie zabije, Meral. Spróbujesz? Chociaż raz się uśmiechniesz?

Meral spuścił głowę.

- Dzięki za pomoc - powiedział. Po czym odwrócił się i odszedł.

- Wpadnij jeszcze kiedyś - zawołała za nim Samia. - Może w przyszłym tygodniu?

- Mam tyle roboty, że nie wiem. Ale dziękuję.

- No to jeszcze za tydzień. I przynieś zdjęcia węgierskich spadochroniarzy!

Pielęgniarka patrzyła za nim, jak szedł po schodach, a gdy policjant znikł jej z oczu, powoli zamknęła drzwi. Przez chwilę stała, rozmyślając, patrząc w podłogę i kręcąc głową. Potem podniosła głowę, poszła energicznie do kuchni, usiadła przy stoliku, wyciągnęła szufladę i wyjęła z niej swój dziennik.

- „Cieszę się, że wpadłeś”. „Nie ma sprawy” - naśladowała z drwiną w głosie i na twarzy. - Nie ma sprawy? - rozmawiała sama ze sobą. - Nie ma sprawy? - Oparła czoło na dłoni, później znów podniosła głowę, nabrała powietrza i wzięła do ręki pióro. „Wpadł do mnie, moje serce od razu zadrżało i zaczęło tańczyć - napisała. - Wyglądał jakoś inaczej niż zwykle. Nie umiem wytłumaczyć, na czym to polega. Po prostu inaczej. Ale na koniec jego wizyta okazała się w interesach, jak zwykle. To jakaś tajemnicza sprawa. Cieszę się, że jestem tylko zdziwaczalą pielęgniarką, a nie policjantką. Wygląda na to, że daję za wygraną. Tak, znów romantyczne wieczory Samii to będą płyty Franka Sinatry z głośnika i szklaneczka whisky. Niedługo tak jak Mayo w marzeniach o Carmel-by-the-sea znajdę radość w przelotnym spotkaniu od czasu do czasu, uśmiechu czy pomachaniu ręką”.

Przeczytała ostatni fragment i wykreśliła wzmiankę o uśmiechu.

Po wyjściu z kamienicy, w której mieszkała Samia, Meral wsiadł do służbowego samochodu i przez chwilę patrzył na przesłane dalekopisem zdjęcie albańskiego oficera sił ONZ na wzgórzach Golan, którego zaginięcie zgłoszono przed paroma tygodniami. Zdjęcie człowieka, którego Samia rozpoznała jako mężczyznę przygarniętego przez Wilsona. Odpowiadał całkowicie rysopisowi Temescu, ale to zdjęcie, w przeciwieństwie do fotografii w prawie jazdy, było ostre, wyraźne. Przedstawiało mężczyznę o zdecydowanej, mocno ciosanej twarzy, z blizną przecinającą wargi, co nadawało im pozór szyderczego skrzywienia. Pułkownik Jeton Agim Vlora.

## ROZDZIAŁ 28

Wilson podszedł z wolna do fotela stojącego pod oknem jego małego mieszkania na Wzgórzach Jerozolimskich. Pod oknem było jaśniej, a jemu potrzebne było światło. Z pochyloną głową i nieodgadnionym wyrazem twarzy zasiadł w fotelu i przez bardzo długą chwilę wpatrywał się w kopertę z listem, którą parę minut wcześniej wyjął ze swojej skrzynki na korespondencję. „Michael Wilson, 17 Rue Melee, Jerusalem Hills, Israel 90835”. Przekręcił kopertę tak, aby promienie słońca padły na blado odbity stempel. Znaczek był izraelski, miejscowy, pieczętka poczty jerozolimskiej. Przyglądał się charakterowi pisma na kopercie. Był boleśnie znajomy. W końcu otworzył kopertę, wysunął ze środka list i zaczął go czytać. Potem osunął się powoli na kolana i klęczał nieruchomo dłuższy czas, patrząc przez żółknącą szybę, jak cienie pełzną w górę po ścianach budynków, a coraz bardziej rdzawe geometryczne plamy światła zmieniają kształty, jak w kalejdoskopie ze szkiełkami dwóch tylko kolorów, aż w końcu wszystko ustępuje melancholijnej szarości. Wstał i przeniósł się do kwadratowego stolika do pisania, wysunął szufladę, wyjął pióro i papeterię i zaczął pisać list, który dołączy do przewiązanego fioletową wstążką stosiku innych listów. Listów nigdy nie wysłanych i nie doręczonych.

„Najdroższa Jean!” - zaczął.

A potem spuścił głowę i zapłakał.

## ROZDZIAŁ 29

Meral wszedł do pokoju, zdjął kurtkę, powiesił na wieszaku, a potem usiadł na łóżku. Dzień był dłuższy i bardziej męczący niż zazwyczaj. Zszedł mu na poszukiwaniach Wilsona. Nie znalazł go ani w jego mieszkaniu, ani w szpitalu Hadassa. Wilson nie pokazał się też po południu w „Casa Nova”, chociaż miał przyjść i coś naprawić. Meral przybity spuścił głowę, pokręcił nią, po czym podniósł wzrok na zdjęcia stojące na biurku. Trzeba będzie kupić ramkę na jeszcze jedno.

Chwilę później, leżąc już w łóżku, uznał, że łatwiej mu się zaśnie, jeśli uspokoi rozbiegane myśli jakąś lekturą. Wysunął więc szufladę szafki nocnej, gdzie trzymał książki do poduszki, i znalazł coś, czego nigdy przedtem tam nie było. Skąd to się wzięło? - nie mógł się nadziwić. Usiadł na łóżku i słuchając przytłumionych dźwięków koncertu skrzypcowego, dochodzących z pokoju którejś z zakonnicy, przyglądał się znalezisku. Był to stos niewysłanych ręcznie pisanych listów związanych fioletową wstążką.

Wszystkie listy zaczynały się zwrotem „Najdroższa Jean!”.

## ROZDZIAŁ 30

Poruszając się powoli, bezgłośnie jak duch, szedł sklepieniami mrocznymi korytarzami, mijał krużganki i potężne kolumny, w końcu zatrzymał się przed wielką salą, gdzie - jak napisano w liście - mieli się spotkać. To były tak zwane Stajnie Salomona, ogromna przepastna hala z kamienia pod Wzgórzem Świątynnym. Ciszę oczekiwania, głęboką jak sam Bóg, przerywało ciche gruchanie gołębic w jakiejś niszy na zewnątrz budowli, nad ulicami rozświetlonymi obietnicami składanymi przez promienie porannego słońca, które wsączały się ukośnie do środka. Przesunął się w bok, oparł o ścianę. Czekał. Nasłuchiwał. Wreszcie usłyszał lekki krok, na który czekał. Krok tak dobrze mu znany. Zobaczył, jak idzie ku niemu, wyłania się zza kolumny, wkracza w skośny słup słońca, zatrzymuje się i patrzy w milczeniu głęboko zapadniętymi oczyma w twarz wyniszczoną przez narkotyki, która - tak jak cały świat - jest już tylko wspomnieniem dawnego piękna.

- Witaj, Paul - powiedziała głucho.

- Witaj, Jean.

Spojrzenie Paula Dimitra pobiegło w lewo, bo spoza innej kolumny wynurzył się Stephen Riley. Wciąż miał na sobie habit Dennisa Mooneya, ale w ręku trzymał pistolet z tłumikiem na lufie.

- Dzień dobry, stary kumplu i mistrzu.

- Dzień dobry. Zmieniłeś się bardzo.

- Operacja plastyczna. Wiesz, jak to jest.

- Dobra robota, Steve.

- Chrzań się, koleś. I ani kroku dalej! Nie ruszaj się!

- Nie ruszam się.

- Stój! I rączki w górę! Tak, dobrze. Nie opuszczaj. Wiesz, nie do wiary, że dałeś się nabrać.

Że tu przyszedłeś. Nie zastawiłeś pułapki, Paul? Żadna siatka na mnie z góry nie spadnie?

Żadna zapadnia się nie otworzy? Gadaj. Gdzie pułapka?

- Nie ma pułapki.

- Nie do wiary! I przyszedłeś bez broni! - Riley nie posiadał się ze zdziwienia.

- Przeciwnie, mam broń - odparł Dimiter spokojnie.

- Nie widzę jej.

- Bo jest niewidzialna. Ale mam ją.

- Zaczynam myśleć, *amigo*, że te pogłoski na twój temat mogą być prawdziwe. Może rzeczywiście zabrakło ci piątej klepki? A zresztą do diabła z tym. Wariat czy nie, stanie się to, co się musi stać, niestety. Będzie nam cię brakowało.

- Chcecie mnie zabić?

- Teraz już jestem pewien, że ci rozum odebrało. Oczywiście, że tak - parsknął Riley - Jean, zejdz na bok. Zasłaniasz mi.

- Dobrze - odpowiedziała potulnie - na bok.

Ale zamiast odejść, postąpiła niepewnie krok w stronę Dimitra, wyciągnęła do niego błagalnie dłoń.

- Paul, tak strasznie cię przepraszam - zaczęła. Głos jej drżał. - Ja...

- Zamknij się, Jean! - krzyknął władczo Riley, nie odrywając oczu od Dimitra. - No więc tak, Paul. Przyjechałeś tu za nami. Skąd się dowiedziałeś, że tu jesteśmy?

- Przyjechałem tu w innej sprawie, Stephen.

- Nie gadaj bzdur.

- Kiedy to prawda. Póki tu nie przyjechałem, myślałem że nie żyjesz.

- A co się tutaj takiego stało, że zmieniłeś zdanie?

- Rozpoznałem cię.

- Jak?

- Po krokach.

- Po krokach...?

- Steve.

- Jean, zamknij się - ostro rozkazał Riley, wciąż nie odrywając wzroku od Dimitra. - Ja mam w to uwierzyć?! Że znalazłeś się tu przypadkiem?

- Przypadki nie istnieją - odparł spokojnie Dimiter.

- A więc przyznajesz się. Przyjechałeś tu, żeby nas znaleźć.



- Nie. Szukałem kogoś innego. To jest prawda. Nie was. Zabijecie mnie niezależnie od tego, co powiem. Po co miałbym kłamać?

- Bo...

- Widzisz? To wszystko jest niepotrzebne, Steve. Niepotrzebne, do cholery - krzyczała Jean Dimiter do Riley'a.

- On nas wcale nie szukał!

- Nie wierzę mu - odparł jej Riley stanowczo.

- A teraz odsuń się na bok, Jean. Szybko!

- Wybaczam ci, Jean - powiedział do niej Dimiter.

- Zapamiętaj. Zapamiętaj na zawsze. Wybaczam ci.

- Przepraszam, Paul - powiedział Riley, mierząc z pistoletu. - Przeżyliśmy razem niejedno. To były dobre czasy! Naprawdę! A teraz, Jeannie, kochana, odsuń się, proszę! Szybko! Odsuń się, już!

- W porządku, Stephen - odezwał się Dimiter. - Ja to zrobię. Ja się przesunę. No dalej, Stephen. Nic ci już mnie nie zasłania.

Gdy Dimiter odsuwał się na bok, nie spuszczać z żony spojrzenia pełnego czułości, Jean Dimiter nagle zalała się łzami i podbiegła ku mężowi z szeroko rozłożonymi rękami, żeby go objąć, i w tej właśnie chwili kula trafiła ją w głowę, rozpalając białe światło w jej oczach.

- Jezu Chryste! - krzyknął Riley w szoku.

Dimiter popatrzył na leżące skulone ciało żony. Potem spojrzął na Riley'a.

- Tobie też wybaczam.

- Co ty do cholery wygadujesz, pieprzony wariacie?!

Wystrzelone bez skruchy dwa pociski nie chybiły celu.

Dimiter upadł koło żony.

Gdy ich znaleziono rano, leżeli jak para kochanków, którzy zasnęli. Nie było to wrażenie odległe od rzeczywistości.

Nie ma rozstań.

CZEŚĆ TRZECIA

**RAPORT KOŃCOWY**

7 CZERWCA 1974 ROKU

## ROZDZIAŁ 31

KOŃCOWE PRZESŁUCHANIA I ZAMKNIĘCIE SPRAWY WYPADKU PRZY ULICY REMLI, PAULA DIMITRA JEAN DIMITER, STEPHENA RILEYA I PUŁKOWNIKA AGIMA JETONA VLORY.

Obecni: Mosze Zui, wywiad; William Sandalls, Charles Bell, Ambasada USA; st. sierż. Peter V. Meral, komisariat Kiszla; Szlomo Uris, Komenda Główna Policji, Jerozolima.  
Protokółantka: Annette Assaf.

ZUI: W porządku, przedstawmy sprawy Bellowi i Sandallsowi. Bill, masz przed sobą wszystkie kopie?

SANDALLS: Nie, nie wszystkie. Ale w porządku. Możemy zaczynać. Po to się spotkaliśmy, prawda?

ZUI: Dobrze. Inspektorze Uris, może pan zacząć. Albo może nie. Najpierw zrekapitulujmy sprawy podstawowe. A więc tak: Stephen Riley, udający franciszkanina Dennisa Mooneya, oraz Jean, żona Paula Dimitera, byli szantażowani przez Rosjan i na ich żądanie uśmiercali pewnych ludzi, których Rosjanie chcieli się pozbyć. Robili to w ten...

SANDALLS: Skąd macie te informacje?

ZUI: Mamy dobrego informatora.

SANDALLS: Kogo?

ZUI: Zaczekaj, Bill. To niespodzianka. Zdobyliśmy też jako źródło informacji plik niewysłanych listów, które Dimiter pisał do żony.

SANDALLS: Skąd je wzięliście?

ZUI: Sierżant Meral znalazł je w pokoju.

SANDALLS: W pokoju Dimitra?

ZUI: Nie, w swoim.

SANDALLS: Powtórz, bo nie rozumiem.

ZUI: Nie, dobrze usłyszałeś. Meral znalazł je w swoim pokoju w „Casa Nova”. Nie wiadomo, jak się tam znalazły. Czy mogę kontynuować, koledzy?

SANDALLS: Dawaj.

ZUI: No więc tak: Riley i żona Dimitra mieli potajemny romans. Zdobyli plany, po które ich wysłano, upozorowali własną śmierć, sprzedali plany Rosjanom, zrobili na tym majątek, a Stephen Riley poddał się operacji plastycznej, żeby zmienić wygląd. Potem przybyli tutaj, żeby się ukryć. Jak dotąd szło dobrze. Ale Rosjanie powiedzieli sobie: „Aha! Przydałby się mały szantażyk!”. I zmusili ich, żeby dla nich pracowali od czasu do czasu jako skrytobójcy. Polegało to na tym, że najpierw zakażali żywność albo napój ofiary salmonellą, więc ofiara lądowała w Hadassie, a tu Riley, udając zakonnika, katolickiego duchownego, mógł ją wykończyć niewykrywalnym zastrzykiem. Szpital to doskonale miejsce. Ludzie umierają codziennie. Nikt nie zwraca uwagi. Później jednak pojawił się tu Dimiter jako Wilson. Nie miał zamiaru pakować się w żadne kłopoty. No i... Proszę tego nie protokołować, Annette: Sandalls i Bell, popatrzcie na siebie, cieszyć się, jakbyście wygrali w izraelskie lotto!

SANDALLS: Dziś upijamy się na twój koszt w barze „Król Dawid”.

ZUI: Dobrze. Do usług. Wracajmy do rzeczy. Riley zauważył gdzieś Dimitra i doszedł do wniosku, że Dimiter ich wytropił i chce pozabijać. Dlatego najpierw wynajął jakiegoś jemeńskiego strzelca wyborowego i zamachowca, żeby wykończył Dimitra na wieży cerkwi rosyjskiej. Zamachowiec przeciągnął drut na schodach w dniu, kiedy Dimiter zwykle przychodził na wieżę, i schował się w pakamerze na szczycie wieży. Dimiter przyszedł zgodnie z przewidywaniem, ale zauważył drut, więc gość musiał się na niego rzucić. Riley chyba mu nie powiedział wszystkiego o Dimitrze, bo skończyło się tym, że facet się potknął, spadł ze schodów i skrzył kark. Niech spoczywa w spokoju i cholera z nim. Riley uznał, że sam musi się tym zająć, a najlepiej będzie, jeśli żona Dimitra zwabi go w pułapkę.

SANDALLS: I skąd to wszystko wiecie? Znowu z listów?

ZUI: Częściowo. Chodzi o list, który Dimiter dostał od żony. Napisała, że chce się z nim spotkać w Stajniach Salomona. Był wśród tych listów, które Meral znalazł w swoim pokoju. Ona go przeprosza za wszystko, a nawet opowiada o tym zamachu z drutem, żeby jej skrucha wyglądała prawdopodobnie. Tak się przynajmniej domyślam. Dodatkowe potwierdzenie mamy od naszego wiarygodnego informatora.

SANDALLS: Mosze, chciałbym wrócić do jednej sprawy.

ZUI: Jakiej?

SANDALLS: Chodzi o tę żonę. Czy ona wiedziała, co Riley szykuje na jej eksmałżonka?

ZUI: Tak, wiedziała.

SANDALLS: Zimna suka.

ZUI: To nie do końca tak. Ona cała była pokłuta. Zastrzyki. Heroina. W czasie sekcji wyszło, że przyjęła dużą dawkę niedługo przed śmiercią. Może sama przyjęła, może wstrzyknął jej Riley, w każdym razie tuż przed przyjściem do Stajen. Przypuszczalnie tym właśnie Riley zapewniał sobie jej posłuszeństwo.

BELL: Wygląda na to, że jesteś tego pewien.

ZUI: Nasz informator. Jej ostatni list. No i jeszcze coś.

SANDALLS: Co?

ZUI: Riley strzelił jej w tył głowy.

SANDALLS: Aha. Czy przekażecie nam te wszystkie listy?

ZUI: Tak, dostaniecie je. Tam jest wszystko. Chciałem to tylko nakreślić w ogólnych zarysach. Dowiedzieliśmy się nawet, jaką miał misję.

SANDALLS: Kto? Dimiter?

ZUI: Tak.

SANDALLS: O, nie! Wracamy do tego tematu? Dopiero co powiedziałaś, że przyjechał tu do wód. Dla zdrowia. Bez żadnej misji.

ZUI: Niezupełnie.

SANDALLS: Mam wrażenie, że znalazłem się po drugiej stronie lustra.

ZUI: Nie, nie. Poczekaj, Bill. Wszystko się wyjaśni. Zajmiemy się teraz człowiekiem znalezionym w Grobie Jezusa, a potem wypadkiem przy ulicy Remli, w którego sprawie prowadził śledztwo Meral. Zajmiemy się tym wszystkim. I misją Dimitra.

SANDALLS: Naszą misją na Andromedę.

ZUI: Możemy kontynuować?

SANDALLS: Staram się nadażyć.

ZUI: No to po kolei. Chciałbym prosić inspektora Urisa, by podsumował nam świetną robotę, którą wykonał. Inspektorze, proszę.

URIS: Szlomo, proszę mi mówić po imieniu.

ZUI: Szlomo. Powiedz nam, jak złapałeś Riley'a.

SANDALLS: Co?! Macie go?!

BELL: Macie Riley'a?!

ZUI: Tak, mamy go i mam nadzieję, że nie będziemy się kłócić, kto go ma sądzić.

SANDALLS: Wspaniale! Świetnie! Jak go dostaliście?

URIS: Żadna moja zasługa. Sam nam włożył w ręce. Mój wuj, Moses Mayo, był lekarzem w szpitalu Hadassa i zmarł z nieustalonego powodu. Po prostu stopniowo gasł. Sierżant Meral pierwszy nabrali podejrzeń, że to mogło być morderstwo. Mój wuj był na jakimś tropie. Chciałem więc ustalić, gdzie był i co robił, zanim zaczęło mu się pogarszać. Pewnego dnia odwołał wykład dla studentów, bo jak powiedział, musi gdzieś jechać za miasto. Ale nie powiedział dokąd. Podejrzane. Sprawdziłem więc, z kim rozmawiał telefonicznie w dniach poprzedzających ten wyjazd. Jak zobaczyłem jeden z tych telefonów, aż podskoczyłem. To było połączenie z rozmównicą publiczną w Bet Sahur. Znajduje się tam kaplica franciszkanów prowadzona przez księdza Dennisa Mooneya, który mieszkał w przyległej plebanii. Miał stałą gospodynię, która mieszkała w domku gościnnym przy plebanii.

SANDALLS: A dlaczego podskoczyłeś, jak zobaczyłeś, że dzwoniło z Bet Sahur?

ZUI: Właśnie do tego dochodzimy. Prawdziwy Dennis Mooney miał matkę na Brooklynie w Nowym Jorku. Ojciec już zmarł, matka jest stara i ledwie słyszy. Syn się nie odzywał do niej od kilku lat. Pisała do niego wielokrotnie, prosiła o zdjęcia, także o zdjęcia kaplicy Aniołów na Polu Pasterzy i tak dalej. Odpowiedzi nie było. Ani zdjęć. Nic. Napisała do przełożonego zakonu franciszkanów. Odpisali jej, że skontaktowali się z synem, napisał do nich, wszystko u niego w porządku, wysyła do niej zdjęcia, a listy od matki z niewiadomego powodu do niego nie dochodziły.

Ale przez następne dwa miesiące matka nie otrzymała ani zdjęć, ani listu. Napisała znowu do przełożonego franciszkanów i dostała taką samą odpowiedź: telegrafowali do syna i powiedzieli, że ma napisać do matki i wysłać jej zdjęcia.

Teraz Riley dzwoni do przełożonego franciszkanów, przysięga, że zdjęcia wysłał, i nie rozumie, dlaczego ona tych listów i zdjęć nie dostaje, i że zaraz do niej napisze. A potem jak zwykle matka nic nie dostaje.

Więc tym razem naprawdę się zdenerwowała. Ktoś jej poradził, żeby zwróciła się do Departamentu Stanu, no i w końcu doszło do tego, że ambasador zwrócił się do nas, sprawa

wylądowała na moim biurku, a kiedy zobaczyłem tego księdza z Bet Sahur, pomyślałem: „Aha!”. Zadzwoiłem sam do przełożonego franciszkanów i poprosiłem, żeby mi przysłali zdjęcie Mooneya, przysłali mi, a ja ze zdjęciem w ręku przejechałem się na Pole Pasterzy, niby jako turysta. No i wylądowałem w kaplicy - ja, Żyd, śpiewając katolickie kolędy wśród tych wszystkich gojów, obrazów, posągów aniołów, z całym szacunkiem, przysięgam, i na własne oczy widzę, że Dennis Mooney to nie żaden Dennis Mooney, bo prawdziwego Dennisa Mooneya zabili i pochowali, zanim biedaczysko dotarł z lotniska do „Casa Nova”, aby nikt nie zobaczył, jak naprawdę wyglądał Dennis Mooney.

Jak to zobaczyłem, wróciłem do osady Bet Sahur, poszedłem na miejscowy posterunek policji, zadzwoniłem do Tel Awiwu po silną ekipę, przyjechali i zgarnęliśmy go, tego mamzera Riley'a. Szybko zmiękł. Wyśpiewał wszystko. Nawet to, o co go wcale nie pytaliśmy.

BELL: To mnie dziwi bardziej niż cokolwiek innego.

ZUI: Wy macie swoje metody. My mamy swoje.

SANDALLS: A czy wasze są zgodne z prawem?

URIS: Raczej nie. Postraszyliśmy go, że będziemy mu czytać haiku w języku jidysz. Oczywiście domyślacie się, kto był księżą gospodynią w Bet Sahur...

ZUI: Oczywiście. Żona Dimitra.

SANDALLS: Nie rozumiem tylko, po co Riley zabił twojego wuja. Czy to prawda?

URIS: Tak. Dał wujowi parę fig, w które wstrzyknął śmiertelną truciznę nie pozostawiającą śladów w ciele. Uruchamia proces, a potem się rozkłada.

ZUI: Bardzo dziękujemy, inspektorze Uris.

URIS: Szlomo.

ZUI: Szlomo. Świetna robota.

SANDALLS: Musimy się wybrać kiedyś na kielicha, Szlomo.

URIS: Z miłą chęcią.

ZUI: Dobrze, teraz porozmawiamy z sierżantem Meralem.

BELL: Ho, ho, co my tu mamy! Paradę gliniarzy z wydziału zabójstw?

ZUI: Chwileczkę. Muszę zerknąć w notatkę, którą właśnie dostałem.

[czyta] W porządku, piętnaście minut przerwy.

SANDALLS: Naprawdę?

ZUI: Tak.

[przerwa od 9.44 do 10.02]

ZUI: Czy zechce pan zacząć od wyjaśnienia wydarzeń przy ulicy Remli, sierzancie?

MERAL: Wolałbym zacząć od Vlory.

ZUI: W porządku.

SANDALLS: Vlora? O co chodzi?

MERAL: To jest ten człowiek, którego znaleziono martwego w Grobie Pańskim. Ten, którego najpierw zidentyfikowano jako Josefa Temescu, a potem, znów rzecz jasna błędnie, jako Paula Dimitra. W rzeczywistości był to oficer albańskiej służby bezpieczeństwa, który doczepił się jakoś do kontyngentu albańskiego na wzgórzach Golan.

SANDALLS: W głowie mi się kręci. Co ten Vlora tam robił? Po co tu przyjechał?

MERAL: Chciał zabić Dimitra.

SANDALLS: Dlaczego?

MERAL: Bo Dimiter zabił jego syna.

SANDALLS: To jest jakiś powód.

MERAL: Owszem. Ale to coś głębszego, co panu czy mnie trudno zrozumieć. Vlora gardził swoim synem. Vlora kazał ludzi torturować, bo wierzył, że odbywa się to dla dobra wyższego, społecznego. Jego syn natomiast zadawał ból, bo czerpał z tego przyjemność. Albańczycy mają prawo zwyczajowe rodzaj kodeksu, który nazywają besa. Jeśli ktoś zabije ci krewnego, musisz zabić zabójcę albo któregoś z jego krewnych. Mężczyznę. Nawet dziecko, jeśli nie ma innych. To taki imperatyw kategoryczny. Vlora polował na Dimitra nie z namiętności, ale z obowiązku. Kwestia zasad. Honoru. Powinności.

BELL: Kiedy Dimiter zabił mu syna?

MERAL: Gdy pełnił tę misję w Albanii, podczas której wyświęcał nowych księży. Schwymano go, przesłuchiowano, torturowano. Potem udało mu się uciec, podczas ucieczki zabił syna Vlory. Czy dotąd wszystko jest jasne?

SANDALLS: Okaze się.

MERAL: Potem sprawy przybrały dziwny, niezwykle obrót. Dimiter najpierw uratował Vlorę z wypadku samochodowego, który najpewniej skończyłby się śmiertelnie, gdyby nie ta interwencja, zawiózł go do szpitala państwowego w Jerozolimie, a potem gościł u siebie w mieszkaniu na Wzgórzach Jerozolimskich, gdzie w końcu doprowadził do jakiego takiego



stanu. Karmił go, pielęgnował, czytał mu, dodawał otuchy. Samą swoją obecnością potrafił człowieka podnieść na duchu, wiem to z pierwszej ręki.

SANDALLS: Co to znaczy: „z pierwszej ręki”?

MERAL: Chodzi mi o to, że samo jego towarzystwo wpływa pozytywnie na człowieka.

SANDALLS: Jak wpływa?

ZUI: To nie należy do rzeczy. Wróćmy do Vlory, sierżancie. Na czym stanęliśmy?

MERAL: Pułkownik Vlora był zdumiony. Nie spodziewał się takiego traktowania ze strony człowieka, którego kazał torturować przez wiele dni najbardziej wymyślnymi w swym okrucieństwie metodami i którego potem chciał zabić. Zachowanie Dimitra przypominało besę na opak! Vlora się zmienił. Pod wpływem Dimitra przeszedł przemianę wewnętrzną. Odrodził się jako nowy człowiek. To było jego własne przeżycie mistyczne. A później wydarzyło się coś naprawdę zdumiewającego.

SANDALLS: Znów mówimy o listach?

MERAL: Tak, właśnie tak.

SANDALLS: Dostaniemy te listy do rąk?

ZUI: Tak, przekazemy wam wszystkie. Słowo honoru.

SANDALLS: Dziękuję, Mosze. A co takiego zdumiewającego się wydarzyło, Meral?

MERAL: To naprawdę zdumiewające. Vlora wiedział, że ktoś na Dimitra poluje. Sam Dimiter mu to powiedział. Więc po paru tygodniach poprosił Dimitra, żeby go zaprowadził do bazyliki Grobu Pańskiego, a kiedy już tam dochodzili, wyjawiał swój zamiar. Powiedział Dimitrowi, że jeśli on, Vlora, zginie w jakiś spektakularny sposób, pozorując na dodatek, że to zginął Dimiter, i jeśli ta śmierć zdobędzie duży rozgłos, to wtedy ten ktoś, kto na niego, Dimitra, czyha i chce go zabić, uwierzy, że ten, kogo ściga, już nie żyje, a Wilson wcale Dimitem nie jest. Dimiter przecież miał taki zmienny rysopis. Vlora planował umrzeć w taki sposób, żeby go wzięto za Dimitra. Dlatego też wcześniej rano w dniu, gdy miał ten plan wykonać, udał się do mieszkania, które wynajął, ale w którym faktycznie nie mieszkał, i podrzucił tam te wszystkie dokumenty, żebyśmy zgadli, że mieszkał tam Dimiter. Gdy Vlora opowiedział mu o swoim zamiarze, Dimiter był zbulwersowany i przerażony. Nie chciał się na to zgodzić. W żadnym razie. Przynajmniej na początku. Nie mógł zresztą nic poradzić, bo jad już krążył w organizmie Vlory. A to prowadzi mnie do drugiej części rozumowania Vlory. Vlora pomyślał o jeszcze jednym: nikt nie będzie podejrzewał samobójstwa. Któż odbierałby sobie życie

w niewiarygodnych bólach wywołanych jadem skorpiona, gdy garść pigulek nasennych załatwiłaby sprawę równie dobrze? Zdaniem kogoś takiego jak Vlora, który świat postrzegał w kategoriach bezlitosnej albańskiej besy, to byłby podstawowy argument, że Dimiter naprawdę został zamordowany; argument, który musiał przekonać tego kogoś, kto na niego polował.

SANDALLS: Może tak, może nie.

MERAL: Otóż to. A co jeszcze ciekawsze: nie było żadnej gwarancji, że jego plan się powiedzie. Vlora wybrał nieludzko bolesną śmierć, mając tylko ułamek szansy, że jego plan wypali.

SANDALLS: Chyba rozumiem. Co było dalej?

MERAL: Dimiter już nic nie mógł zmienić, dlatego poszedł z Vlorą do Grobu Pańskiego. Tam Vlora, gdy tylko ludzie wyszli z komory, przyjął dużą dawkę wodzianu chloralu, położył się na płycie grobowej, skrzyżował ręce na piersi, zamknął oczy i czekał na śmierć.

BELL: Skrzyżował ręce na piersi? Co to miało znaczyć? To jakiś obyczaj albański?

MERAL: Nie. Chciał tylko wzmocnić aurę tajemniczości, dodać coś, co zainteresowałoby prasę i opinię publiczną. Dimiter obiecał Vlorze, że zostanie z nim do końca. I kiedy już się dokonało, wyslizgnął się najpierw z komory Grobu, potem z kościoła. Koniec historii.

SANDALLS: A kto podrzucił do mieszkania Vlory dokumenty Dimitra? Vlora?

MERAL: Tak, Vlora. Dimiter dołożył do tego piłeczki do żonglowania i przebranie klauna. Vlora nie wiedział o nich, więc Dimiter dołożył je, żeby mistyfikacja była jeszcze lepsza. Chciał, żeby ofiara Vlory przyniosła owoce.

SANDALLS: Dobrze, dziękuję.

MERAL: Proszę. Inspektorze?

ZUI: Dobrze, przejdźmy do misji Dimitra.

SANDALLS: Będę powtarzał do upojenia. Przyjechał tu samodzielnie, nie miał żadnej misji.

ZUI: A jednak miał.

SANDALLS: Na rany Chrystusa, Mosze!

ZUI: O, właśnie trafiłeś w sedno!

SANDALLS: Co masz na myśli?

ZUI: Jeśli chwilę spokojnie posłuchasz, dowiesz się.

SANDALLS: Dobrze, słucham. Zamieniam się w słuch.

ZUI: Świetnie. Więc sprawa wiąże się z waszym świętym Pawłem, który najpierw był naszym Szawłem i podobnie jak Dimiter słynnym skrytobójcą. Polował na chrześcijan i zabijał ich bez pardonu. I pewnego dnia po drodze do Damaszku, dokąd jechał z kompanami w celu wykończenia tamtejszej wspólnoty chrześcijańskiej, doznał przeżycia mistycznego, w ramach którego jakaś siła rzuciła go na ziemię, spłynęło jakieś białe światło, usłyszał też głos i wkrótce nasz Szawel stał się waszym świętym Pawłem. Coś podobnego przydarzyło się Dimitrowi. Miał mistyczne przeżycie, które go oszołomiło. Miało to coś wspólnego z Jezusem Chrystusem. Dimiter podobnie jak Szawel najpierw nie wiedział, co mu się stało. Ale co zrobił jako doświadczony wywiadowca? Oczywiście pojechał do Jerozolimy, żeby się dowiedzieć, co go tak rzuciło na ziemię. Czy też zrzuciło z konia, jak twierdzą niektórzy.

BELL: Wciąż nie mogę pojąć. Dlaczego właśnie do Jerozolimy?

ZUI: Może lubił słuchać nieustannych kłótni. Sierzancie Meral? Może pan opowiedzieć dalej?

MERAL: Tak. Jak panowie wiedzą, Paul Dimiter w ramach przygotowań do każdej misji, ilekroć dostawał rozkaz popełnienia zamachu na kogoś wysoko postawionego, przez wiele tygodni, czasem miesięcy zapoznawał się z życiem osobistym człowieka, którego miał wytropić i zabić. Dowiadywał się, co obiekt je, jak chodzi, jak się ubiera, co czyta, co go śmieszy, smuci, złości i tak dalej, i tak dalej, docierał do każdego faktu, do którego mógł dotrzeć, ale najbardziej interesowało go, jak obiekt myśli, dlatego też gdy Dimiter kończył przygotowania do zamachu, stawał się tożsamy z obiektem.

SANDALLS: Słuchaj, może jestem tępy, ale co to wszystko ma wspólnego z Jerozolimą? Po co tutaj przyjechał? Czy nie zgodziliśmy się przedtem, że podążał za jakąś ideą, nie za osobą?

MERAL: Nie, to była osoba. „Obiekt X”.

SANDALLS: Pan żartuje, sierzancie? Jest pan pewien?

MERAL: Tak. Absolutnie.

SANDALLS: Więc kogo tu szukał?

MERAL: Jezusa Chrystusa.

[10.55 raptowne zakończenie przesłuchania]

W pełnej napięcia rozmowie, która nastąpiła później, Bell i Sandalls zażądali kopii „listów Dimitra”, a gdy je dostali, wyszli w pośpiechu poirytowani, a nawet wzburzeni. Odmówili pozostania, choć Zui namawiał, żeby jeszcze przedyskutować „nowy i niepokojący rozwój sytuacji”. Kiedy obaj Amerykanie i sierżant Meral wyszli, Zui westchnął, podniósł notatkę, którą mu doręczono wcześniej, i powoli pokręcił głową, czytając ją jeszcze raz.

- Poczekajmy, aż to usłyszą - mruknął. - Poczekajmy!

## ROZDZIAŁ 32

Trzymając się dużymi dłońmi czarnej żelaznej barierki na szczycie wieży cerkiewnej, Meral stał i patrzył w kierunku wschodnim, na czerwonawobrazowe urwiste i suche grzbiety gór Moabu o słonych zboczach wybielonych słońcem, na rozpostarte u ich podnóży rozległe łąny żółtych mniszków w wysokiej trawie, błyszczących niczym obietnica deszczu i odkupienia. Gdy tu przyszedł, na szczycie wieży przebywała grupa turystów, ale właśnie sobie poszli, co Merala ucieszyło. Chciał pobyć sam. Gdy przychodził tu o świcie, a czynił to już wiele razy wcześniej, był zawsze sam. Przychodził nasłuchiwać echa kroków Dimitra, oddychać ostatnimi śladami jego obecności. O świcie bywało inaczej. Świat był przyciszony, a słońce wysuwało się zza krawędzi jak lśniące błogosławieństwo. Dziś jednak, po złożeniu raportu końcowego, jakiś nieodparty impuls kazał Meralowi przyjść tu o innej porze dnia, nie tak sprzyjającej. Czekał teraz. Na co? Przyszło mu coś do głowy. Czyżby czekał na jakiś znak? Pomyślał o liście, w którym Dimitr pisał, jak dostrzegł drut. Pisał o swoim „myśleniu specjalnym”; to był jedyny list o jego wizytach na wieży. Czy znak się pojawi? Meral stał samotnie przez dłuższą chwilę. Potem spojrzął na zegarek i już miał zejść, gdy nagle, znikąd, zerwał się wściekły wiatr, tak silny, że przygniótł go do muru wieży. Po chwili ucichł tak samo nagle, jak się zerwał. Powietrze znów było nieruchome. Meral zaczął schodzić, wciąż nie rozumiejąc, co go przyciągnęło tu, na górę, o tak niespokojnej porze dnia. Pamiętał list Dimitra o „myśleniu specjalnym”.

Ale zapomniał o wzmiance o nagłym silnym wietrze.

## ROZDZIAŁ 33

Meral wszedł do swojego pokoju, ściągnął i powiesił kurtkę munduru, a potem usiadł jak zwykle na łóżku i przyglądał się z czułością zdjęciom na biurku. Jedno było nowe. Zdjęcie Maya. Następnie popatrzył na szufladę biurka. Pochylił się i wyciągnął ją, sięgnął do środka i wyjął pojedynczą kartkę papieru, na której miłość stwarzająca urodę rzeczy napisała własny list. Ostatni list Dimitra do żony.

Meral go sobie zatrzymał.

Był przekonany, że to list tak naprawdę adresowany do niego.

*Najdroższa Jean!*

*Żyjesz! Co za radość! Ty żyjesz! Wyznałaś mi wszystko, co uczyniłaś, co uczyniłaś wraz ze Stephenem i co macie zamiar zrobić - czyli zabić mnie. I chcesz się spotkać ze mną, tylko ze mną, potajemnie, bez Stephena. Twierdzisz, że go znienawidziłaś. Że się go boisz. Chcesz, bym Ci pomógł uciec od niego. Chcesz do mnie wrócić, powiadasz, masz wyrzuty sumienia. Jeśli to prawda, to jest to jedyna prawda w tym, co do mnie pisałaś, bo przysłałaś mi zaproszenie na śmierć. Myślę jednak, że jeszcze jedno z tego, co do mnie pisałaś, jest prawdą. Że mnie nadal kochasz. Ach, wiem, wydaje Ci się, że jest inaczej. Ale część Twojej duszy pozostała nietknięta, nieskalana w tym upadku, ta część jest Tobą, dawną Jean, którą tak długo kochałem.*

*Przyjdę na to spotkanie. Przyjdę tam. I nie będę stawiał oporu. Przyjdę, żeby Ci powiedzieć, żeby Ci pokazać, że Ci wybaczam, bo któż wie, jaka radosna i niespodziewana łaska może pewnego dnia pociągnąć Twe serce tam, gdzie jego miejsce. A wtedy w końcu będę mógł wybaczyć sam sobie.*

*Będę kochał Cię zawsze, moja Jean.*

*Twój Paul*

Ze spuszczoną głową Meral nie przestawał patrzeć na list.

- Tak, wybaczyć sam sobie - wyszeptał. Ten list różnił się od pozostałych nie tylko tym, że był pisany dla Merala, lecz także tym, że dotarł do adresata.

## EPILOG

- Patience, poproszę wytrawne sherry.
- „Jeśli to, co się ma stać, stać się musi...”
- Otóż to. I bądź łaskaw niczego nie dolewać.

Meral stał przy bufecie barku w „Casa Nova”. To był koniec kolejnego dnia pracy, sierżant przebrał się w granatową lnianą marynarkę, oliwkowe spodnie, białą koszulę i letni jasnobłękitny krawat. Do kolacji zostało trochę czasu. Rozejrzał się po salce. W barze były poza nim jeszcze tylko dwie osoby, więc wolna była większość krzeseł na nóżkach z czarnych metalowych rurek, z oparciami i siedziskami wyściełanymi wielbłądzią skórą. Usiadł na jednym z nich, nie spuszczać oka z Patience’a.

- Witaj, stary! - Meral odwrócił głowę. To był Scobie ze złożoną gazetą w dłoni. Popatrzył w stronę barmana. - Proszę to co zwykle - zawołał, a potem usiadł na krześle niedaleko Merala. - Nie masz nic przeciwko temu, że się przysiadę?

- Absolutnie nie. Będzie mi miło.
- Scobie zmrużył oczy i popatrzył z powątpiewaniem.

- Serio?
- Oczywiście, Scobie. Zapraszam!

Scobie przyglądał mu się jeszcze chwilę podejrzliwie, a w końcu rozwinął gazetę.

- Czytałeś już o ostatnich wyczynach tych cholernych durni z Szin Bet?
- Nie.

- Nie? Zawieruszyli gdzieś zwłoki tajnego agenta, i to bardzo znanego na dodatek. Słyszałeś o Dimitrze? Cymbały! Najpierw się mnie czepiali, że ich wprowadziłem w błąd! A teraz to. W tym kraju nie da się żyć!

Meral odwrócił się ku niemu. Scobie trzymał w obu rękach rozłożoną gazetę i niemal jeździł nosem po stronie, szukając w czegoś w tekście.

- Co ty wygadujesz, Scobie?



Scobie oderwał się od płachty.

- Naprawdę nic nie słyszałeś?

- Zgubili zwłoki?

- Słuchaj, trzymali go w chłodni w kostnicy, bo mieli wysłać do Stanów, a teraz się okazało, że ciało znikło! Nie mogą go znaleźć! - Wrócił do gazety. - Co za palanty! Wyobrażasz sobie?! Wpadka jak cholera! Zawieruszyć zwłoki!

Meral spojrzał w bok, pograżył się na chwilę w myślach. Głos Scobiego dochodził jakby z dalekiej planety, ledwie się przebijając przez szum galaktyk.

- No wiesz, ten Dimiter, to był gość. Znałeś go?

- Tak, dał mi kiedyś kwiat słonecznika - rzekł Meral.

- Jestem.

Meral odwrócił się i zobaczył Samię.

- W porządku? - zapytała. - Mogę tu być w tym, co mam na sobie?

Była w jasnobłękitnej spódnicy, różowych sandałach i biało-czerwonym T-shircie z wizerunkiem Beethovena. - No bo wiesz, Beethoven nie był katolikiem - ciągnęła. - Był protestantem. Czy to nie będzie przeszkadzać tym klechom tutaj, Meral?

- Nie, nie będzie. - Wstał. - Jest ci w tym ślicznie - dodał. - Najpierw drink, potem kolacja? Na moją prośbę szef kuchni dziś przyrządził dania meksykańskie. Co się stało? Nie cieszysz się?

Samia wpatrywała się w jego twarz z z troskaniem.

- Jesteś jakiś zamyślony - powiedziała. - O czym myślisz?

- Nie uwierzyłybyś, gdybym ci powiedział.

- O mnie?

Meral się uśmiechnął.

## PODZIĘKOWANIA

Pod koniec lat 60. XX wieku brałem udział w skromnym przyjęciu wigilijnym w domu jednego z moich przyjaciół, świetnego powieściopisarza i scenarzysty Burtona Wohla, i poznałem tam Marca Jaffe'a, dyrektora literackiego wydawnictwa Bantam Books. Wiedział, że pisuję powieści humorystyczne, i spytał mnie grzecznościowo, nad czym pracuję. Już mu miałem odpowiedzieć, że jestem bezrobotny, ale po chwili wahania, ryzykując, że straci dla mnie szacunek, zacząłem mu opowiadać o pomysle na poważną powieść. Mówiłem przez minutę czy dwie, roztropnie zatajając fakt, że próbowałem już tę powieść sprzedać różnym domom wydawniczym i studiom filmowym Hollywood i że wszyscy mnie spławili. Ale nie Marc Jaffe. Gdy skończyłem, on, nie wahając się ani chwili, popatrzył mi w oczy i powiedział, cytując: „Ja to wydam!”. I wydał. To był *Egzorcysta*. Dziś, czterdzieści lat później, a przez cały ten czas nie mieliśmy ze sobą kontaktu, Marc Jaffe znów to dla mnie zrobił: dołożył wszelkich starań, żeby znaleźć mi odpowiedniego wydawcę na tę książkę; najważniejszą dla mnie osobiście powieść w moim dorobku.

Brak mi słów, żeby mu podziękować.

Moja wdzięczność jest bezgraniczna.

Dziękuję także Vivienne Jaffe, która wraz z Markiem, udzieliła mi nieocenionej pomocy w redakcji i przygotowaniu maszynopisu, w czym także brała udział moja żona Julia.

Są też tacy, którym chciałbym podziękować - pułkownik armii Stanów Zjednoczonych William R. Corson, przedstawiciel personelu szpitala Hadassa w Jerozolimie, Izraelska Policja Państwowa oraz Isser Harel, „ojciec wywiadu izraelskiego”, który obmyślił plan schwytania Adolfa Eichmanna i ogromnie pomógł mi w zbieraniu materiałów - choć niektórzy odeszli już z tego świata; mimo to składam im podziękowania, wierząc, że do nich dotrą.

## NOTKA AUTORSKA

Będę bardzo wdzięczny moim czytelnikom z Jerozolimy, jeśli zechcą się powstrzymać przed pisaniem do mnie z informacją, że w Jerozolimie nie ma i nie było ulicy Remli. Wiem o tym. Ale tylko nazwa tej ulicy jest fikcyjna, nie sama ulica, która naprawdę nazywa się Hativat Jeruzalaim. Nazwę tę zmieniłem tylko dlatego, że oryginalna zaburzała rytm każdego zdania, w którym chciałem jej użyć. Z ulicą Prawosławnego Patriarchatu Ormiańskiego nawet nie próbowałem nic zrobić. Szalom.